

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Czy uda się zmniejszyć polską nienawiść?
- Trucizny, czyli broń polityczna
- Szczerek idzie przez Polskę w ruinie
- Czy USA nadal trzymają z Izraelem?



**WYSOKIE
OBCASY**
**Aleksandra
Kluczyk:** Historia
trudnej miłości



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

GENIUSZ,
KŁAMCZUCH,
MIZOGIN
Napoleon

FOT. UNITED INTERNATIONAL PICTURES SP. Z O.O.

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Galicja. Piekło czy raj
Norman Davies
w krainie, której już
nie ma



Oczy na Wschód
Ośrodek Studiów
Wschodnich - kuźnia
kadr polskiej dyplomacji

Halo, tu mówi Polska!
Dzięki Radiostacji Babice
rozmawialiśmy z całym
światem

Sobota-niedziela, 25-26 listopada 2023 | Redaktor prowadzący **Marcin Kącki** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 274.10466, 1

Nakład 96 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JUŻ W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra



MARIA DĘBSKA:
Uczę się odpuszczać
KATARZYNA KASIA:
Jaka jest cena szczerości

Agnieszka
Kublik

Wpadliśmy w covidową dziurę Dudy

Chorych na COVID-19 przybywa, ale rząd tego nie monitoruje. Znowu. Lekcja z pandemii obłana spektakularnie.

Według danych resortu zdrowia codziennie pojawia się ponad tysiąc przypadków zakażeń. Ale eksperci alarmują, że chorych jest nawet kilkanaście razy więcej. I choć wiele osób przechodzi go w miarę bezproblemowo, nie można tego bagatelizować i traktować jak „zwykły katar” – wciąż jest szczególnie groźny dla przewlekle chorych. Może nawet groźniejszy, niż był po opadnięciu kolejnych fal pandemii – bo nie ma ani nowych szczepionek, ani skutecznego leku przeciw wirusowemu. Chorzy zostali sami z COVID-em.

A to obowiązek rządu, by chory miał szansę na leczenie.

Tylko którego rządu?

Który rząd ma zająć się szczepionkami na COVID-19 – stary Morawieckiego, nowy Morawieckiego czy Tuska?

Bo mamy gabinet Morawieckiego w stanie dymisji, lecz pełniący obowiązki. Przyszły rząd Morawieckiego, który powstaje, ale nie powsta-

nie. I wreszcie rząd Tuska, który jest skompletowany i zostanie w końcu zaprzysiężony.

Dudę bardzo ekscytuje umowa koalicyjna nowej ekipy (a jednocześnie lekceważy to, że Morawiecki żadnej umowy nie ma, podobnie jak programu, i nadal nie wie, z kim mógłby rządzić), brak szczepionek i leków umyka mu z pola widzenia. Morawieckiego nie zapytał, ministra zdrowia też nie.

A przecież lekarze już na początku jesieni ostrzegali, że COVID-19 wróci. I alarmowali, że szczepionka powinna być najpóźniej w październiku – już we wrześniu było widać przyrost chorych – by zdążyć przed falą zachorowań.

Ma być 6 grudnia, ale czy to pewne? Na Zachodzie szczepionki są dostępne już od ponad dwóch miesięcy. U nas zaszczepić się nie można, bo Adam Niedzielski, poprzedni minister zdrowia, rozpętał aferę z Pfizerem – jednostronnie zerwał umowę. Pfizer właśnie pozwał Polskę. Chce od państwa polskiego 6 mld zł. Czyli Niedzielski się pokłócił, a my za to płacimy. Przy okazji doprowadził do tego, że pacjenci nie mają dostępu do leku na COVID-19, bo produkuje go... właśnie ta firma.

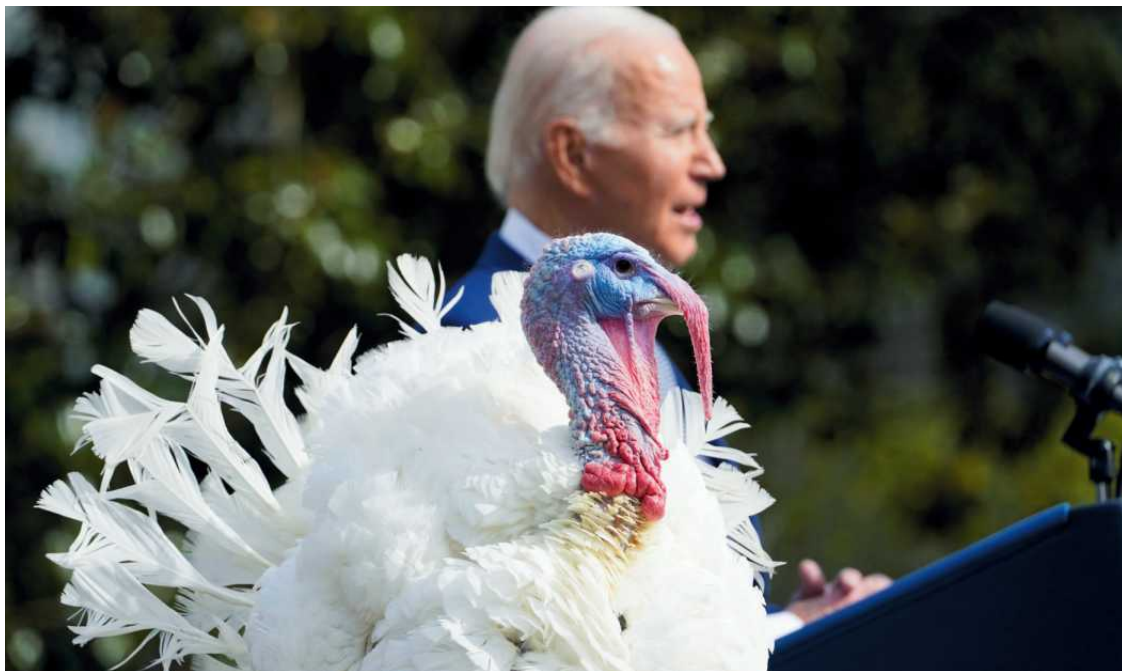
Lekarze mają pojedyncze opakowania, żadnych zapasów w szpitalach. A to lek skuteczny na początku choroby, trzeba go szybko zażyć, nie można czekać. W innych krajach – i sąsiednich, i na Zachodzie – lekarze je mają i mogą skutecznie leczyć. U nas musi je kupić rząd, a właściwie Agencja Rezerw Strategicznych; pacjent, owszem, może załatwić sobie lek na własną rękę – buląc 6 tys. zł za pięciodniową terapię. Ale Morawiecki tak się zaangażował w tworzenie gabinetu, który wszystko, co ma, to mniejszość, że nie dostrzega zagrożenia, jakim jest niemonitorowany i nieleczone COVID-19.

Jego rząd już nie rządzi, bo tak chciał Duda. Rząd Tuska jeszcze nie, bo tak chciał Duda. COVID-19 wpadł w tę dziurę Dudy i ma się coraz lepiej. Chorzy – coraz gorzej. Państwo PiS na odchodnym naraża nasze życie i zdrowie. ●

Andrzej rysuje



**Waszyngton
Wolne indyki**



Prezydent Joe Biden ułaskawia indyka z okazji Święta Dziękczynienia, podczas specjalnej ceremonii na trawniku koło Białego Domu w Waszyngtonie. Szacuje się, że podczas Święta Dziękczynienia Amerykanie zjadają około 46 mln indyków.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl**



**Donosy agenta
Tomka**



Najpierw agent policji, potem człowiek Prawa i Sprawiedliwości, dzisiaj agent skruszony. O czym donosi Tomasz Kaczmarek?

Czytaj ► Wyborcza.pl

**Iza Dłużyk
Wpływowa Polka**

Jest niezwykła nie tylko dlatego, że jest młodą kobietą w zawodzie zdominowanym przez mężczyzn, ale także dlatego, że jest niewidoma od urodzenia – napisała redakcja BBC, wyjaśniając, dlaczego Iza Dłużyk zasługuje na miejsce wśród 100 najbardziej wpływowych kobiet 2023 roku.

Miała 10 lat, kiedy ciocia przyniosła jej w prezencie encyklopedię PWN na CD-ROM-ie. Do opisu niektórych umieszczonych tam ptaków były przypisane nagrania głosowe. Dziewczyna zaczęła ich słuchać i wsłuchała na dobre. Kupuje dyktafon i zaczyna nagrywać ptaki przed domem, kupuje nagrania od niezującego już Zdzisława Palczyńskiego, który jako pierwszy tworzył profesjonalne



przewodniki o ptakach polskich.

Dziś Iza ma 34 lata, skończyła filologię angielską oraz rosyjską i pracuje w biurze tłumaczeń w Gdańsku. Jej największą pasją jest nagrywanie ptaków. Jest niewidoma od urodzenia, ale dzięki wyostrzonemu zmysłowi słuchu jest w stanie rozpoznać kilkadziesiąt gatunków ptaków.

Nagrywała je m.in. nad rzeką Tambopata w amazońskiej dżungli. W wyprawie towarzyszył jej brat. – Teraz wiem, że poradziłabym sobie też sama.

Plasko, bez stromych podejść i nawet na lokalnym lotnisku była asysta – mówiła Iza. Dłużyk nagrywała też ptaki w Puszczy Białowieskiej i nad Biebrzą, w Ujściu Warty, na Mierzei Wiślanej, w rezerwacie Beka.

– Ludzie są wzrokowcami, dźwiękami natury interesują się minimalnie. Dużo przez to tracą, bo słuchanie jest bardzo cenną umiejętnością i nie chodzi tylko o ptaki. Bo bez niej można słuchać, ale tak naprawdę nie usłyszeć – mówi Iza. ●

Anna Woźniak

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

**I z czego teraz się
pośmiejemy**

Żartowanie z lewicy stało się niebezpieczne. Oni się czują wyjęci spod oceny. Każda krytyka tych środowisk spotyka się z hejtem – mówi Robert Górski, frontman Kabaretu Moralnego Niepokoju i Prezes z „Ucha prezesa”





PATEK PHILIPPE

GENEVE

DAJ POCZĄTEK NOWEJ TRADYCJI



ZEGAREK PATEK PHILIPPE NIE NALEŻY TYLKO DO CIEBIE.
DBASZ O NIEGO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.

CALATRAVA PILOT TRAVEL TIME REF. 5524R

W. KRUK

1 8 4 0

Europejski Boutiques · Hotel Raffles Europejski Warsaw
Krakowskie Przedmieście 13 · 00-071 Warszawa
Tel. +48 783 458 150 · wkruk.pl

CZY POSTERUNKOWY SIĘ UŚMIECHNIE



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

Tu komisariat policji.
Zapraszamy
w poniedziałki
w godzinach 7-14

Piotr Głuchowski

W roku 2007 przywracaliśmy apolityczność policji po dwóch latach PiS; teraz mamy do odkręcenia lat osiem, więc i działania będą bardziej radykalne – zapowiada senator Grzegorz Schetyna, niegdyś minister spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Tuska. – Scenariusze mamy gotowe – dodaje. – Trzeba rozpocząć audyt: kto nadużywał prawa, kto je łamał, kto wydawał polityczne rozkazy, a kto je wykonywał bez szemrania, chociaż mógł odmówić – wylicza generał Adam Rapacki, wiceminister w resorcie Schetyny w latach 2007-12, a wcześniej zastępca komendanta głównego policji.

– Audyt będzie we wszystkich komendach wojewódzkich, bo i tam się załęgły lokalne układy – ciągnie Brejza. – Jednocześnie przeprowadzimy wymianę kierownictwa tak, by zerwać osobiste więzi między

wyższymi policjantami a politykami. Również z naszej formacji.

Zdaniem generalnego inspektora Andrzeja Matejuka, komendanta głównego w latach 2008-12, należy powołać komisję, która od spodu przeświecili policyjne wydarzenia z ostatnich ośmiu lat, bo „nazbierało się wiele”, skutkiem czego społeczeństwo „przestaje policji ufać”.

– PiS-owskie władze zniszczyły autorytet tej służby – dopowiada Brejza. – Autorytet, na który policjanci pracowali ponad 20 lat, odbudowując markę po niesławnych wyczynach Milicji Obywatelskiej. Pamiętamy ciężkie lata 90. i walkę z trzęsącymi Polską grupami przestępczymi. Mam za to wielki szacunek dla policjantów, więc tym bardziej boleję, że PiS ten kapitał zniweczył. Że stworzył w policji, prokuraturze i na szczytach władzy taki układ układów.

Jeszcze przed wyborami Brejza, jako senator KO, zachęcił policjantów sygnalistów, aby zgłaszali doń przypadki politycznych nacisków. Jak zdradza, pierwsze zgłoszenia już ma: – Oficerowie mówią mi o nieformalnym trójkacie decyzyjnym, a jego wierzchołki stanowią minister Mariusz Kamiński, prokurator krajowy Dariusz Barski, który kiedyś próbował być posłem

z listy PiS, oraz komendant główny Jarosław Szymczyk. Rozbijemy ten trójkąt.

...

Po pierwszym półroczu rządów Zjednoczonej Prawicy, w marcu 2016 dobrą ocenę wystawiało policjantom 72 proc. ankietowanych przez CBOS. Złą – ledwo 16 proc. Reszta nie miała zdania.

W marcu 2018 ocen dobrych było już tylko 68 proc. Ufność wzrosła na krótko za sprawą pandemii: wiosną 2020 dobrze oceniło pracę mundurowych ośmioro z dziesięciorga rodaków. A potem zaczęły się pacyfikatorce protestów aborcyjnych i ogólnie ulicznej opozycji.

Mimo że prorządowe media – z TVP na czele – latami wypuszczały materiały o sprawności funkcjonariuszy i wysokim poczuciu bezpieczeństwa w Polsce (w odróżnieniu od Europy Zachodniej, gdzie obywatele boją się nielegalnych migrantów), wedle CBOS w marcu 2021 dobre noty wystawiło policjantom już tylko 62 proc. rodaków, dwa lata później – 63 proc., o punkt więcej, mocno jednak przybyło ocen negatywnych – aż 25 proc. badanych dało ocenę „złą”.

Wedle Instytutu Finansów – a to placówka rządowa – jest nawet jeszcze gorzej – w maju zaufanie do policji wynosi-

ło 58 proc., 16 proc. mniej niż osiem lat temu. Lekarzom ufa – wedle tego samego badania – 72 proc., strażakom – 68 proc., nauczycielom – 65. Nad policjantami są jeszcze żołnierze, naukowcy i psychologowie.

„Pozytywnie o pracy policji wypowiadają się osoby popierające PiS oraz Polskę 2050, identyfikujące się z prawicą i uczestniczące w praktykach religijnych co najmniej raz w miesiącu” – czytamy w tegorocznym „Komunikacie z badań CBOS” nr 39. „Relatywnie często są to ankietowani 65 plus i mieszkańcy wsi. Wyższym niż przeciętne poziomem niezadowolenia wyróżniają się natomiast zwolennicy Koalicji Obywatelskiej, Lewicy oraz – w mniejszym stopniu – Konfederacji”.

Policja stała się instytucją bliską PiS i tak też jest postrzegana.

...

– Oczywiście, że mundur ustawia się pod władzę i nie trzeba do tego żadnych, nawet ustnych dyrektyw – mówi mi nadinspektor A., emerytowany komendant wojewódzki z północnej Polski. – Im dłużej dana ekipa rządzi, tym bardziej się z policją zrasta. Politycy i komendanci piją razem musujące wino na różnych oficjalnych uroczystościach, znają swoje żony i dzieci.

– Właśnie z tym – twierdzi poseł Brejza – nadchodząca władza chce skończyć.

– Życzę powodzenia. Ja widziałem, że za Platformy policja była platformiana, teraz jest PiS-owska, jak przyjdzie w grudniu władza koalicyjna – będzie służyć jej.

– Z tego, co mówią politycy koalicji, rozumiem, że chodzi o to, aby formacja nie służyła władzy, tylko społeczeństwu.

– Chyba władza jest w demokracji jego emanacją... Wiem jednak, o co chodzi. Policjanci mają własne poglądy i faktycznie, jak mi się zdaje, większość ze stu tysięcy sympatyzuje z PiS. To może wynikać z maskulinizacji. Kobiety stanowią 15 procent służby, a to głównie one są dziś przeciw prawicy. Poza tym trudno, żeby policja nie sympatyzowała z partią, która ma na sztandarach prawo i sprawiedliwość. PiS się kojarzy z zaostrażaniem kar, rozbijaniem mafii gospodarczych, zwiększaniem liczby posterunków. Już nie wnिकam, ile się udało zrobić, mówię o deklaracjach.

Na których w zasadzie się skończyło. Liczba mafii (fachowo: grup przestępczych pozostających w zainteresowaniu Centralnego Biura Śledczego Policji) nie zmieniła się od 2015 r. i wynosi około 800. Z obietnic przez Zjednoczoną Prawicę 400 nowych, wiejskich posterunków uruchomiono około 160 i większość jest zamknięta przez sześć dni w tygodniu. W ponad 90 nowo otwartych jednostkach policjant dyżuruje kilka godzin, najczęściej w poniedziałki od 7 do 14, a czasami krócej.

Od siódmej do trzeciej raz na tydzień otwarte jest m.in. policyjne biuro w Świętajnie w województwie warmińsko-mazurskim. W Łysych na Mazowszu godziny urzędowania są krótsze: pierwszy dzień tygodnia 10-14. Przez cztery godziny w tygodniu funkcjonuje również posterunek w podlaskiej Piątńcy. W 14-tysięcznej bogatej gminie Osielsko, gdzie mieszkam, jest galeria handlowa, trzy kliniki zdrowia, sześć przedszkoli, pięć myjni samochodowych i posterunek policji otwarty dwie godziny we wtorek, dwie w czwartek.

Dwa lata temu nawet posłanka związanego z PiS Porozumienia Magdalena Sroka z komisji spraw wewnętrznych stwierdziła w „Newsweeku”, że „posterunek otwarty kilka godzin i to nie we wszystkie dni – mija się z celem”.

– Większym problemem są wakaty, więc choćbyśmy zbudowali tysiące nowych placówek, to mury nie zastąpią funkcjonariuszy, których po prostu brakuje – do dała parlamentarzystka (obecnie w Trzeciej Droże).

Bo „sto tysięcy policjantów”, o jakich mówił mi były komendant z północy, jest już nieaktualne. Ten próg udało się rządowi pokonać pod koniec roku 2021, czym policja i ministerstwo Mariusza Kamińskiego głośno chwaliły się w TVP. W połowie tego roku, przy 107 tysiącach etatów, policjantów było niecałe 95 tys., co oznacza przeszło 12 tys. wakatów (rok wcześniej – 6,2 tys.). Zdaniem Andrzeja Szarego, wiceszefa NSZZ Policjantów, „już 10 tysięcy nieobsadzonych stanowisk jest sytuacją krytyczną”.

Bo przestępczość rośnie – szczególnie ta najbardziej społecznie dokuczliwa: kradzieże, włamania, rozboje, wyłudzenia pieniędzy. Wedle GUS najmniej od upadku komuny było ich w 2018 r.: 348 tys. Rok później już 378 tys. i dalej z roku na rok coraz więcej – aż do zeszłego, kiedy odnotowano 430 tys. „przestępstw przeciw mieniu”.

Tegorocznych danych GUS jeszcze nie podsumował, lecz z danych KGP wynika, że np. liczba kradzieży sklepowych jest o 40 proc. wyższa niż w roku ubiegłym, który również pobili rok poprzedni.

Zdaniem byłego komendanta głównego Andrzeja Matejuka istnieje związek pomiędzy wzrostem przestępczości a obecnym upolitycznieniem policji.

– Przestępcy widzą, że służba koncentruje się na innych wydarzeniach niż ich ściganie. Nie wszyscy policjanci byli zadowoleni z tego, że rzucano ich do rozbijania

kolejnych protestów. Wyszydzani w mediach reagowali różnie. Jedni brutalnością, inni odwracaniem głowy od zadań, przyjeżdżaniem na interwencje po czasie. To są efekty upolitycznienia.

– Prorządowe media przekonują, że za rządów Platformy policja też była polityczna – mówię. – Strzelano gumowymi kulami do górników z Jastrzębskiej Spółki Węglowej...

– ...którzy chcieli sforsować drzwi do siedziby zarządu i rzucali kamieniami, płańcymi racami, butelkami... Ja komendantem wojewódzkim we Wrocławiu zostałem za rządów Akcji Wyborczej Solidarność. Dalej służyłem zarówno pod władzą SLD, jak i PiS. Pierwszą gwiazdkę generalską dostałem od prezydenta Kwaśniewskiego, drugą od Kaczyńskiego. Od nadzorującego policję ministra Schetyny słyszałem zawsze: „Podejmujesz decyzje i za nie odpowiadasz”. Nigdy nie było sytuacji, w której ktoś dzwonił z sugestią, by kogokolwiek zatrzymać, wobec innego być pobłażliwym, albo nadużywać siły na ulicach. Policjanci byli szkoleni w zapewnianiu spokoju, a nie w eskalacji nastrojów. I nigdy nie musiałem się tłumaczyć przed politykami.

● ● ●

Szukając jakichkolwiek pocieszających wskaźników, zwróciłem uwagę na wysokie poczucie bezpieczeństwa Polek i Polaków. Wedle CBOS w zeszłym roku ponad 83 proc. indagowanych uznało kraj za bezpieczny, w tym roku odsetek wzrósł do 88 proc. Jeszcze lepiej rzecz wygląda, gdy ankietę pyta o bliskość okolicę. Swoje sąsiedztwo jako bezpieczne ocenia aż 96 proc. badanych. Rośnie też

■

Posel PO:

Przeprowadzimy wymianę kierownictwa tak, by zerwać osobiste więzi między wyższymi policjantami a politykami.

Również z naszej formacji

wykrywalność przestępstw. W 2013 r. sprawy wykryte stanowiły 37,6 proc. popełnionych deliktów. Dzisiaj wykrywa się 45 proc.

– Statystykę poprawiły wszedobylskie komórki i kamery – zauważyła nadinspektor A. – Telefony są wrogiem nadinspektorów nie tylko dlatego, że ktoś ich sfilmuje, ale też z tego powodu, że sami ich używają, przez co nieustannie rozsiewają ślady. Drugim źródłem poprawy statystyk są pijani kierowcy. Stąd tak wiele patroli czających się w święta, długie weekendy i poranki po nich. Jak się alkotest zaświeci na czerwono, to nie tylko mamy wykrytego, schwytanego na gorącym uczynku sprawcę, ale też sukces w sądzie – praktycznie murowane skazanie.

Niektórzy chcą łapać pijanych, nawet gdy ci leżą w łóżkach. Sześć lat temu mieszkaniec Świdnika, który po wypiciu zgrzewki piw zasnął samotnie przed telewizorem, zdziwił się, kiedy przed północą do drzwi zadzwonił policjant. Chodziło o drobniarz: przestawienie samochodu, który zatkał osiedlową uliczkę. Gdy świdniczanin zszedł na dół, wsiadł do opla i przejechał trzy metry, odblokowując przejazd, chytry funkcjonariusz wyciągnął alkotest. Wyszło 1,2 promila i zakaz prowadzenia pojazdów przez rok.

– To przykład nadużycia władzy, który może jest śmieszny, choć nie dla ukaranego – mówi dalej nadinspektor emeryt.

– Przez ostatnie lata mieliśmy jednak nadużycia straszne, zaczynając od śmierci Stachowiaka...

● ● ●

● 25-letniego Igora policjanci z komendy Wrocław-Stare Miasto zatrzymali 15 maja 2016 r., myląc go z poszukiwanym handla-

rzem narkotyków. Sześciu mundurowych zamęczyło chłopaka na śmierć z pomocą paralizatora. Jarosław Szymczyk, od miesiąca komendant główny, skłamał, mówiąc, że nie zna przebiegu zdarzenia (faktycznie czytał raport zaraz po tragedii). Tym makabrycznym akcentem policja pod władzą PiS zainaugurowała długą serię nadużyć, przekroczeń i wpadek.

● W lutym 2018 policjanci weszli o święcie do mieszkania Władysława Frasyniuka (znów Wrocław). Wyprowadzili go w kajdankach i skutego przewieźli do prokuratury, gdzie przedstawiono mu zarzut wcześniejszego przeszkadzania w miesięcznicy smoleńskiej w Warszawie. Jeszcze w tym samym roku stołeczny sąd (po zażaleniu polityka) uznał obezwładnienie go za „niezasadne”.

● Co najmniej od jesieni 2018 policjanci w mundurach i po cywilnemu całodobowo ochraniają dom prezesa PiS na Żoliborzu – zaangażowanych jest w to rotacyjnie 18 funkcjonariuszy. Chronią też siedzibę PiS przy Nowogrodzkiej, a okresowo również pomniki ofiar katastrofy smoleńskiej i Lecha Kaczyńskiego przy placu Piłsudskiego. W maju posłanka Lewicy Hanna Gill-Piątek zapytała wiceministra spraw wewnętrznych Macieja Wąsika: „Ile to kosztuje?”. W odpowiedzi na interpelację usłyszała: „Nic”. Radiowozy i patrole odwiedzają te miejsca „rutynowo, jak każde inne w Warszawie”.

● Latem 2019 komendant powiatowy z Aleksandrowa Kujawskiego Andrzej Kłos poinformował media, że jego jednostka „wykryła i zabezpieczyła kilkaset krzaków konopi, z których można uzyskać około

■

Wysoki rangą policjant:

Życzę powodzenia.

Za Platformy policja była platformiana, teraz jest PiS-owska, jak przyjdzie w grudniu władza koalicyjna, będzie koalicyjna

330 kg marihuany o czarnorynkowej wartości 5,5 mln zł”. Popłynęły gratulacje z kujawsko-pomorskiej komendy wojewódzkiej i nagrody finansowe w Warszawie. Szeregowy policjant – odkrywca pola ziola z miejsca awansował. Niestety znalazł się właściciel gruntu, który wyjaśnił mundurowym, że to konopie siewne, czyli bez narkotyzującego THC. Laboratorium potwierdziło słowa rolnika, lecz komendant spróbował zawalczyć. Szef jego wydziału kryminalnego osobiście dowiózł do pracowni w Bydgoszczy nowe próbki – z prawdziwą marihuaną. Gdy mistyfikacja się wydała – odszedł do cywila. Kłos dalej jest komendantem.

● W sierpniu 2020 stołeczna policja spacyfikowała siedzący protest aktywistów ruchu LGBT protestujących przeciw zatrzymaniu koleżanki z opozycyjnego kolektywu Stop Bzdurom. Z tej akcji komendant główny Szymczyk musiał się potem tłumaczyć przed poselską komisją spraw wewnętrznych. W trakcie posiedzenia posłanka KO Urszula Zielińska zacytowała złożone w śledztwie zeznania jednego z zatrzymanych: „Zostałem złapany za szyję. Zdołałem zapytać policjanta o powód zatrzymania i wtedy powiedział »nie ze mną takie numery, pedale«, po czym zaczął mnie dusić”.

● W listopadzie 2020 w trakcie proaborcyjnej demonstracji na placu Powstańców policyjny antyterrorysta pobił pałką teleskopową fotoreportera Wojciecha Wójtowicza. Lekarz na obdukcji stwierdził „pięciocentymetrową ranę głowy, zasinienie i obrzęk w lewej okolicy ciemieniowo-potylicznej oraz bolesność opukową”. Aspi-rant Biura Operacji Antyterrorystycznych, który w trakcie bicia dał się komuś nagrać,

został ukarany rozmową dyscyplinującą, a następnie... wysłany na kurs oficerski.

● W sierpniu 2021 czworo policjantów z Lubina, w tym kobieta, obezwładniało awanturującego się narkomana – 34-letniego Bartosza. Gdy przyduszony mężczyzna zmarł, policjantka odebrała jego matce telefon z nagraniem zajścia. Był jeszcze inny film – zrobił go uliczny świadek i zaniósł na komisariat. Ten dowód w dziwnych okolicznościach zaginął.

● W październiku 2021 pod krakowską siedzibą PiS przy ul. Retoryka zjawily się dwie mamy z trójką dzieci. Pocięchy przy pomocy kolorowej kredy narysowały pociąg, drzewa i ludzkie postacie. Matki dopisały hasła nawiązujące do rozgrywającego się właśnie dramatu migrantów na polsko-białoruskiej granicy. Napisały m.in.: „Nikt nie jest nielegalny”. Wezwany patrol zarekwirował kredy i wiaderko, obie matki zabrano na posterunek. Nieco zawstydzeni sytuacją mundurowi wyjaśnili, że mają „nacisk z góry”, bo zadzwonił ktoś z Retoryka. Skończyło się wnioskiem o karę z art. 63 kodeksu wykroczeń – umieszczenie napisów bez zgody zarządcy obiektu, czyli miasta Kraków, do którego należy chodnik.

● W sierpniu 2022 patrol stołecznej policji legitymował Ukrainia – dostawcę pizzy, który źle zaparkował auto. „Jak ci się nie podoba w Polsce, to wypierdajaj na Ukrainę”, „zaraz ci w ryj wywalę, parówno jedna” – tego typu tekstami mundurowi z Warszawy częstowali zapewne niejednego obywatela Ukrainy, jednak akurat ten nagrał ich telefonem i stąd o wszystkim wiemy.

● Na koniec wyliczanki: w połowie grudnia 2022 komendant Szymczyk odpalił w pakamerze przy swym gabinecie ukraiński granatnik przeciwpancerny – prezent od tamtejszych funkcjonariuszy. Eksplozja zniszczyła dwa sąsiednie pomieszczenia i uszkodziła strop. Pracownikowi ochrony w biurze na niższej kondygnacji spadła na głowę lampa. Szef policji szybko dostał „okienko” w TVP po głównych „Wiadomościach”, by mógł się wytłumaczyć, lecz w jego wyjaśnienia – myślał, że granatnik to przenośny głośnik – mało kto uwierzył.

● ● ●

Powyższa lista stanowi tylko część dokonań policji pod władzą PiS. Jak często mundurowi bili antyrządowych demonstrantów – to próbowali ustalić w ramach interpelacji sejmowej posłowie Lewicy Marek Rutka i Maciej Kopiec. Odpowiedzi udzielił Maciej Wąsik: „realizując nałożone zadania (...), funkcjonariusze mogą używać lub wykorzystywać środki przymusu bezpośredniego (...), także prewencyjnie, (...) należy podkreślić, że policjanci, dokonując wyboru środka, kierują się jego dopuszczalnością, skutecznością i możliwie najmniejszą dolegliwością dla osoby, wobec której jest on stosowany...” i tak dalej. Zabrakło informacji o całkowitej liczbie pałowań. Jedyne cyfry, jakie padły, dotyczyły osób zatrzymanych na demonstracjach pomiędzy 23 października 2020 (czyli początkiem protestów aborcyjnych) a 2 marca 2021 – datą interpelacji. W Warszawie przez pół roku zawinięto na dolki i do aresztów 406 osób, w Gdańsku – 14, we Wrocławiu – 10, w Katowicach – 8, w Krakowie i Poznaniu – 5, w Rzeszowie i Kielcach – 4, w Lublinie i Szczecinie – po 2.

Szersze dane przyniósł raport organizacji Obywatele RP z września 2022. Począwszy od roku 2017 do grupy pomocy prawnej działającej przy ORP zgłosiło się 916 osób w różny sposób szykanowanych przez policję za udział w manifestacjach w obronie sądów, przeciwko restrykcjom covidowym, w kontrmiesięcznicach smoleńskich itp. Ile z nich poskarżyło się na bicie – raport nie informuje. Ale przypadki zarejestrowanego kamerą pałowania i traktowania gazem – także kobiet – łatwo znaleźć w sieci.

● We wrześniu podczas otwockiego wiecu wyborczego PiS z udziałem Mateusza Morawieckiego mundurowi zatrzymali i wciągnęli do suki zadającą premierowi niewygodne pytania posłankę PO Kin-

gę Gajewską – mimo że byli głośno informowani, że mają do czynienia z parlamentarzystką. Akcją kierował nadkomisarz Sławomir Grzegorzewski, zwany „Dusicielem” od czasu, gdy podczas protestu w Warszawie chwycił za gardło aktywistę Lotnej Brygady Opozycji. Zdjęcie przedstawiające tę ostatnią scenę zdobyło nagrodę Grand Press.

● Wcześniej, bo w kwietniu 2021, funkcjonariusz w kasku i ochraniaczach brutalnie pobił pałką i poddusił dziewczynę protestującą przeciw obostrzeniom sanitarnym w Głogowie. Potem wyjaśnił, że poszarpała mu mundur, a w ogóle to była już notowana.

● Jeszcze wcześniej na ulicy Wilczej w Warszawie inny policjant tak mocno wykreślił ręką 19-letniej uczestniczki pikietę ekologicznej, że złamał ją w kilku miejscach. Młoda kobieta prawdopodobnie nigdy nie odzyska pełnej sprawności. Mimo to prokuratura umorzyła śledztwo z powodu „braku znamion czynu zabronionego”.

● W trakcie stołecznego Marszu Niepodległości 2020 mundurowy spalił przy stacji Warszawa Stadion robiącą zdjęcia studentkę. Tego samego dnia pałą po nerkach dostała dziennikarka „Newsweeka” Renata Kim.

● W tym samym listopadzie podczas pacyfikacji Strajku Kobiet opodał Dworca Centralnego posłanka Magdalena Biejat z Lewicy bezskutecznie apelowała do mundurowych, aby odstąpić. Pokazywała legitymację. Dostała gazem pieprzowym w twarz.

łań policyjnych, ale również profesorów prawa, przedstawicieli organizacji społecznych. Na jej czele widziałbym rzecznika praw obywatelskich.

– Co komisja miałaby robić w praktyce?

– Ustalić: jakie sugestie wysyłani do protestów funkcjonariusze słyszeli na odprawach? Czy instruowano ich, jak mają się zachowywać, jakie stawiano przed nimi wymagania i kto je konkretnie stawiał? A także: czy zwracano uwagę na przestrzeganie praw człowieka podczas interwencji? Komisja brałaby pod uwagę argumenty dwóch stron. Funkcjonariusze nie powinni sądzić, że zostali zostawieni samym sobie, że wykonując rozkazy, odpowiadają teraz za decyzje swoich przełożonych. Natomiast jeśli komisja stwierdziłaby nadużycia, powiadamiałaby prokuraturę, a ostateczna ocena należy jak zawsze do sądu.

– Jeżeli ktoś łamał ręce ludziom na demonstracjach, jeżeli się wyżywał... odpowie za to karne – zapowiada Brejza. – Poniesie też odpowiedzialność grono komendantów chodzących na sznurku partyjnym. Tych, którzy wydawali decyzje z polecenia Kaczyńskiego albo Kamińskiego, łamiąc wpisaną do ustawy o policji zasadę apolityczności. I następna zmiana, jaką wprowadzimy: nominacje na komendantów czy naczelników w terenie nie będą już przechodzić przez biurka lokalnych posłów, ani partyjniaków z jakiegokolwiek strony, jak dotąd bywało.

*Nie wszyscy policjanci byli zadowoleni,
że rzucano ich do rozbijania protestów.*

Wyszyszczani w mediach reagowali różnie.

*Jedni brutalnością, inni odwracaniem głowy od zadań,
przyjeżdżaniem na interwencje po czasie*

● Tego samego dnia na Trasie Łazienkowskiej inny policjant opryskał pieprzem tak samo okazującą mandat parlamentarny posłankę Barbarę Nowacką z KO.

● Niedaleko, bo na Krakowskim Przedmieściu, dwaj rowerzyści zaczęli idącą z tęczową flagą opozycyjną aktywistkę, przeszło 70-letnią Katarzynę Augustynek, zwaną Babcią Kasią. Jeden ją opluł, drugi rzucił na chodnik. Napastnikami okazali się policjant po służbie i jego syn. Prokuratura odmówiła ich ścigania, postępowanie wewnętrznicze skończyło się dla ojca naganą.

● Młodsze kobiety narażają się na innego rodzaju nieprzyjemności. W styczniu pruszkowscy policjanci legitymowali grupę uczniów stojących przy ognisku opodał przysiółka Dawidy Bankowe. Jedna z dziewcząt powiedziała coś na temat „koguta” w radiowozie, na co policjant zaoferował pokazanie „innego koguta”, a nawet „trójkąta” – niekoniecznie odbłaskowego. Razem z kolegą zabrali do radiowozu jedną z dziewcząt, ta w ostatniej chwili poprosiła o asystę przyjaciółki. Mundurowi tak szybko wieźli obie porwane w zarośla, że rozbili radiowóz na drzewie. Jedyne co mieli do powiedzenia zszokowanym pasażerom, to „Spierdalajcie!”.

● ● ●

– Jak naprawić tę całą sytuację? – pytał Andrzej Matejuka.

– Wyjaśnieniem incydentów z ostatnich lat: przekraczania uprawnień i wydawania politycznych poleceń powinna się zająć powołana w tym celu komisja. Mogłaby skupić autorytety i specjalistów, nie tylko z zakresu dzia-

– Konieczna jest zmiana filozofii – podsumowuje generał Rapacki. – W latach 2015-19 stworzono w MSWiA Biuro Nadzoru Wewnętrzny, komórkę, która opiniowała kandydatów na stanowiska kierownicze we wszystkich rodzajach służb. Czegoś takiego nie było nawet w milicji PRL. To biuro jest do rozwiązania.

– A co jest do zrobienia?

– Apolityczny komendant główny i komendanci wojewódzcy winni mieć zapewnioną kadencję z możliwością przedłużenia, aby być niezależnym od władzy politycznej. Policja winna mieć zagwarantowany budżet proporcjonalnie do PKB, co ułatwiłoby racjonalne planowanie i wydatkowanie środków. Warto rozważyć decentralizację uprawnień tak, aby komendant główny był dysponentem środków pierwszego stopnia, wojewódzki – drugiego, a komendanci miejscy i powiatowi – trzeciego stopnia, bo na razie o wszystkim decyduje Warszawa. Do tego przejrzysta ścieżka kariery zawodowej i kursy na stanowiska kierownicze.

– Zapowiedzi sensowne... Tylko: czy wam się uda?

Senator Schetyna: Zanim Morawiecki ogłosi fiasko swej misji rządowej, będziemy gotowi do zmian.

Posel Brejza: PiS w sprawie policji ma mnóstwo brudów ukrytych pod dywanem, ale też policjanci pochowali pod dywanami dużo notatek służbowych. Prawda o sterowaniu formacją szybko wyjdzie na jaw. Więc po kolei: audyt, depolitycznienie, wyciągnięcie konsekwencji, odbudowa profesjonalizmu. Trzeba przywrócić policję społeczeństwu. ●

KRWISTOCZE

„Zielona granica” to łagodna wersja tego, co oglądaliśmy, będąc na granicy

Hanna Machińska*

A rtykuł Małgorzaty Tomczak „Szara granica” wymaga komentarza. Nie podzielałam obrazu przedstawionego przez autorkę.

Oczywiste jest, że inny będzie punkt widzenia polityków, którzy przedstawiali migrantów/uchodźców jako zagrożenie dla nas, Polaków, funkcjonariuszy Straży Granicznej, którzy wypaczali obraz, uzasadniając wywózki; inny aktywistów, którzy na granicy udzielają pomocy, ratując życie migrantów/uchodźców; i wreszcie inny tych, którzy opisują sytuację, nie będąc na miejscu. Jest wiele grup, wiele osób kompetentnych i niekompetentnych opisujących sytuację na granicy. Przedstawiciele rzecznika praw obywatelskich również mają obraz sytuacji z tytułu bezpośrednich wizytacji i działań interwencyjnych, także w lesie, oraz przystępowania do spraw przed sądami. Są też mieszkańcy, którzy różnie odbierają przybyszów z terenu Białorusi i różnie na nich reagują. Wielu udziela ogromnej pomocy, widząc dramat osób przedzierających się przez granicę.

Na przestrzeni ostatnich lat zetknęliśmy się z rodzinami z dziećmi, kobietami w ciąży, młodymi i starymi ludźmi, młodymi mężczyznami. Pamiętam młodych mężczyzn w Wędrzynie. Wielu to były ofiary udokumentowanych tortur. Pamiętam młodych mężczyzn w ośrodkach strzeżonych, w bardzo ciężkich warunkach, bez właściwej pomocy medycznej i psychologicznej. Pamiętam dziewczynkę z Iraku, która podjęła głodówkę. Lekarze mówili, że jest w bardzo poważnym stanie, a z trudem udało nam się przekonać komendanta Straży o konieczności natychmiastowego skierowania jej do szpitala.

Pani Tomczak mówi o części narracji o dzieciach umierających na granicy. Widziałam w lesie dzieci w okropnym stanie. Znacznie więcej takich obrazów zapamiętały aktywiści. To nie „Zielona granica” utrwala ten obraz. To, co widzieliśmy, nie jest epatowaniem nieszczęściem ludzkim. A przypadki śmierci na granicy? A śmierć Mahlet Kassy, która umarła z różanicem i której nie udzielono pomocy? A wyrzucanie ludzi, w tym dzieci, w nocy? Przecież o tych sytuacjach mówili nam funkcjonariusze Straży Granicznej.

Autorka nawiązuje do książki Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce” oraz filmu Agnieszki Holland. Czytałam książkę, wielokrotnie oglądałam film. Moim zdaniem nie jest to „interwencyjna publicystyka”. To nie jest dokument, ale każda scena ma potwierdzenie w rzeczywistości. To łagodna wersja tego, co oglądaliśmy, będąc na granicy. I książka, i film odgrywają wielką rolę. A wiem, że powstanie książka, która będzie zapisem dokumentalnym.

O jakiej „nadreprezentacji dzieci w opowieściach o migracji” mówi pani Tomczak? Czy nie wie, że w grudniu 2021 r. w ośrodkach strzeżonych była 1/3 dzieci? Czy nie słyszała, że orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka mówi, iż dzieci nie powinny być w detencji? Czy nie słyszała o tym, że 11-letnia dziewczynka chciała się zabić, ponieważ nie chciała być w ośrodku? Powiedziała mi: „Jestem w więzieniu”.

Czy epatuję nieszczęściem dzieci? Nie. Takie były fakty. Jak skomentować sytuację rodziny z dwoma sparaliżowanym chłopcami, którzy uciekali z Iraku, żeby dać szansę swoim dzieciom, chociaż w szpitalu lekarze mówili, że nie ma szans wyzdrowienia chłopców?

A młodzi mężczyźni, o których pisze pani Tomczak, sugerując, że jest jakiś problem w próbach przedostania się młodych mężczyzn do lepszego świata? My też kiedyś uciekaliśmy do lepszego świata i nie zawsze z powodów politycznych.

Tak to wygląda i nie można rozmyślać obrazu. Nie można nie dostrzegać sytuacji, które nigdy nie powinny mieć miejsca i są jawnym naruszeniem prawa.

Film Agnieszki Holland pokazuje fragment tych zdarzeń i odgrywa ogromną rolę. Bo w Europie najczęściej mówi się o sytuacji we Włoszech, w Grecji, a sytuacja na granicy polsko-białoruskiej nie jest znana. Po moim wykładzie w Trybunale Sprawiedliwości UE w Luksemburgu wielu prawników podkreślało, że nie wiedzieli, co dzieje się na tej granicy. A w Parlamencie Europejskim film zwrócił uwagę na ten dramat. To tym ważniejsze, że Parlament Europejski debatuje i będzie debatować o prawie migracyjnym.

Tu należy się odnieść, choćby fragmentarycznie, do regulacji prawnych, które stanowią podstawę pushbacków, czyli wywózek.

10 września 2021 r. Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE na prośbę zastępcy RPO przedstawiło pilną opinię w sprawie rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych i administracji dotyczącego czasowego zawieszenia lub ograniczenia ruchu granicznego na określonych przejściach granicznych. Chodziło o nowelizację tego rozporządzenia, o zmianę ustawy o cudzoziemcach oraz udzielaniu cudzoziemcom ochrony na terenie RP.

W opinii stwierdzono, że przepisy te budzą poważne obawy, a ich wejście w życie naruszałoby obowiązki Polski określone w prawie międzynarodowym oraz jej zobowiązania w ramach OBWE. Wskazywano, że procedura administracyjna w projekcie ustawy może prowadzić do naruszenia zasady non refoulement, czyli zakazu wydalenia czy zwrócenia uchodźcy do państwa, w którym może mu grozić niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia ze względu na rasę, religię, obywatelstwo, przynależność do grupy społecznej lub przekonania polityczne. Zalecono uchylenie lub modyfikację przepisów w rozporządzeniu, a brak zmiany przepisów może skutkować zbiorowym wydaleniem na podstawie wyłącznie protokołu sporządzonego przez Straż Graniczną; ponadto przepisy ograniczają prawo do skutecznego środka odwoławczego dla tych, którzy będą się ubiegać o ochronę międzynarodową.

To były poważne ostrzeżenia na etapie projektów aktów prawnych. Rzecznik praw obywatelskich na późniejszych etapach wskazywał na sprzeczność rozporządzenia z prawem w związku z zwróceniem cudzoziemca na Białoruś i toczącym się postępowaniem sądowym. Wymieniał akty prawne, które naruszono przez rozporządzenie, poczynawszy od Konstytucji RP, Karty Praw Podstawowych, konwen-

RWONA GRANICA



• „Zielona granica” pokazuje tylko niewielki, przefiltrowany wycinek kryzysu migracyjnego na granicy. Rodziny z małymi dziećmi, wykształcona Afganka, ciężarna kobieta – osoby takie, jak przedstawione w filmie Holland, są na granicy wyjątkami.

• Wydaje mi się, że nie wiemy o żadnym udokumentowanym przypadku śmierci dziecka na polskiej granicy. Dyskutowaliśmy z wielkim oburzeniem o dziecku, które nie istniało.

• „Gdyby Straż Graniczna przestrzegała prawa...” – wzdychają aktywiści. Tyle że stosowanie prawa jest właśnie tym, czego większość migrantów na granicy białoruskiej nie chce.

• Procedury azylowe na całym świecie są coraz częściej masową strategią migracji.

• Celem migrantów i aktywistów nie jest przedstawianie szerokiego obrazu rzeczywistości, niuansów, ambiwalencji. Migranci chcą dotrzeć do celu, aktywiści chcą im w tym pomóc.

• Po dwóch latach pisania o migracji i kryzysie na granicy nie mam wątpliwości, że wytwarzamy fałszywą wiedzę.

• Napisła tydzień temu w „Wolnej Sobocie” (tekst znajdziecie Państwo na Wyborcza.pl/magazyn) badająca temat migracji i uchodźców socjolożka, dziennikarka i społeczniczka Małgorzata Tomczak. Tak rozpoczęła poważną dyskusję z udziałem aktywistów i autorytetów prawnych.

prawo odsyłać imigrantów do Maroka, ponieważ zapewniła dostęp do ochrony międzynarodowej – skarżący mogli skutecznie ubiegać się o wizę hiszpańską. Natomiast w sprawie polskiej dotyczącej rodziny czeszczeńskiej – kobiety z dziećmi – która chciała legalnie przekroczyć granicę i czyniła to 35 razy, ETPC jednogłośnie uznał naruszenie przez Polskę europejskiej konwencji. Trybunał zaznaczył, że Straż Graniczna nie przeanalizowała indywidualnej sytuacji skarżących, cudzoziemców wydalało zbiorowo i był to element polityki państwa stosowanej na legalnym przejściu granicznym. Z kolei przywołaną sprawę wydalenia migrantów do Rwandy rozstrzygnął wyrok brytyjskiego SN, który zakazał tego, chociaż nie wprowadził kompleksowego zakazu.

Jak niezwykle trudny jest to problem dla całej Europy, świadczą liczne stanowiska organów zajmujących się prawami człowieka. Tu należy przypomnieć rekomendację komisarzy praw człowieka Rady Europy Dunji Mijatović dotyczącą pushbacków. Komisarz jednoznacznie podkreśla nielegalność tego instrumentu, zaznaczając niewywiązywanie się państw, w tym Polski, ze zobowiązań międzynarodowych.

Kobiety i dzieci nadal przechodzą przez granicę, chociaż jest to trudniejsze. Trzy tygodnie temu Straż Graniczna odmówiła wpuszczenia 17-letniej dziewczyny, której matka była w szpitalu w Hajnówce, a ona tkwiła w nocy przy murze od strony Białorusi, na małym pasie polskiego terytorium. Wysoki funkcjonariusz Straży Granicznej poradził mi, abym przekazała jej, że zostanie wpuszczona do Polski, jeśli przejdzie lasem 100 km i znajdzie się w Terespolu. Ta dziewczyna miała wszystkie dokumenty. Mówię o indywidualnych sytuacjach, ale osób, z którymi rozmawialiśmy w Biurze RPO, było setki, a aktywiści ratujący z poświęceniem ich życie i za to szczytanowani, spotkali ich tysiące.

Mówimy o perspektywie humanitarnej, ale jednocześnie wiemy, że nie wszyscy mogą pozostać w Polsce czy w innych państwach. Wiemy, że Polska nie przygotowała się na kryzys migracyjny i brak jest polityki migracyjnej. Jedyną odpowiedzią są niewpuszczanie ludzi, metody opresyjne, iluzoryczne prawo, które prawem nie jest, łamanie prawa międzynarodowego i budowanie murów.

Nie jesteśmy, niestety, jedyni w takim podejściu. Jednocześnie sami pokazujemy inną drogę dostania się do Polski – poprzez możliwość nielegalnego kupowania wiz. Polityka migracyjna i doprowadzenie prawa polskiego do zgodności z międzynarodowym jest jednym z najważniejszych wyzwań dla nowego rządu. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Dr Hanna Machińska

• prawniczka, obrończyni praw człowieka, była zastępczyni rzeczniczka praw obywatelskich, wykładowczyni Wydziału Prawa i Administracji UW, członkini Rady Fundacji Helsińskiej oraz Rady Fundacji Batorego. Człowiek Roku „Wyborczej”.

cji dotyczącej statusu uchodźców, europejskiej konwencji praw człowieka i jej protokołu 4 art. 4.

Zapadło wiele wyroków wojewódzkich sądów administracyjnych, a także wyrok Sądu Najwyższego oraz Naczelnego Sądu Administracyjnego. Tymczasem autorka pisze, że „możemy skupić się na sprzeczności jednej ustawy z drugą, ale nic z tego nie wyniknie oprócz kilkunastu wyroków sądów administracyjnych, na podstawie których, być może, pojedyncze osoby dostaną kiedyś odszkodowanie”. To zdumiewające stwierdzenie. Czy to znaczy, że wyroki sądów w pojedynczych sprawach nie mają znaczenia? Czy sądy stwierdzające naruszenie prawa i niezgodność prawa polskiego w tej materii z prawem międzynarodowym nie mają znaczenia?

Takie rozumowanie zaprzecza całkowicie zasadzie rządów prawa. To jest rozumowanie Straży Granicznej, która często powtarzała, że pojedyncze wyroki nie mają dla niej żadnego znaczenia.

Sięgnijmy jednak do oceny przedstawionej po ostatniej wizycie na granicy polsko-białoruskiej w raporcie Felipe Gonzáleza Moralesa, specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. praw migrantów. Wizyta miała miejsce w lipcu 2022 r., a oceny zostały uaktualnione na początku stycznia tego roku i przedstawione w czerwcu. Otóż sprawozdawca mówi, że w Polsce migranci stają się politycznym narzędziem. Praktyka pushbacków pozbawia życia wielu ludzi. W 2021 r. zmarło 21 osób – a dziś, dodajmy, nie żyje już 50 – zaś liczba zaginionych wynosi ponad 200. Nie wpuszcza się na te-

ren Polski rodzin z dziećmi, przebywających w dramatycznych warunkach w lesie. Wobec migrantów używa się różnych środków przymusu bezpośredniego, a więc siły. Niejednokrotnie opowiadali o tym migranci, którzy mieli wyraźne ślady użycia siły przez Straż Graniczną. Ja sama rozmawiałam z wieloma kobietami, które po stronie polskiej doznały przemocy polegającej na wielokrotnym wypychaniu na teren Białorusi. Spotkałam kobietę w dziewiątym miesiącu ciąży, która po czterokrotnym wypychaniu podjęła kolejną próbę przejścia i wtedy Straż zdecydowała się przewieźć ją do szpitala. Takich spraw było wiele.

Specjalny sprawozdawca, analizując polskie przepisy stanowiące dla Straży podstawę pushbacków, podkreśla, że powinny być niezwłocznie zmienione. Chodzi o rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych i administracji oraz znowelizowaną ustawę o cudzoziemcach. Oba akty, jak zaznacza, naruszają prawo międzynarodowe – fundamentalną zasadę non refoulement – i znacząco ograniczają możliwość ubiegania się o ochronę międzynarodową.

Dla wyjaśnienia: w ustawie o cudzoziemcach pojawiła się instytucja postanowienia o opuszczeniu przez cudzoziemca terytorium RP w przypadku nielegalnego przekroczenia granicy. Komendant SG wydaje takie postanowienie, na które można się zażalić, ale zażalenie nie wstrzymuje wykonania postanowienia. Jest to więc iluzoryczna procedura. Również składanie wniosków o ochronę międzynarodową może pozostać bez dalszego biegu.

Do wyeliminowania z prawa przepisów dotyczących pushbacków wzywali liczni

prawnicy – prócz sprawozdawcy specjalnego – choćby specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt, komisarz praw człowieka Rady Europy, rzecznik praw obywatelskich. Czy zatem w tak ważnym tekście można pominąć stanowiska organów polskich i międzynarodowych dotyczące regulacji praw migrantów?

Nie można również nie zauważyć orzecznictwa sądów krajowych, które jednoznacznie podkreślały naruszenie prawa międzynarodowego w regulacjach krajowych. Sądy uchylały postanowienia o opuszczeniu terytorium przez migrantów. Warto przytoczyć stanowisko WSA w Białymstoku. Sąd ten podkreślił, że zawrócenie cudzoziemca do linii granicy, czyli pushback, stanowi naruszenie art. 33 ust. 1 konwencji genewskiej oraz art. 19 ust. 2 Karty Praw Podstawowych, wyrażających zasadę non refoulement. Niezwykle istotne jest stwierdzenie, że „ani krajowy przepis, ani okoliczności faktyczne, w tym kryzys migracyjny na granicy zewnętrznej UE, nie mogą wyłączyć nakazu jej stosowania (zasady non refoulement) nawet względem cudzoziemców przekraczających granice RP w sposób nieuregulowany”.

Stanowiska wyrażane w orzeczeniach sądów administracyjnych są spójne. Czy można je ignorować?

Jest jeszcze jedna kwestia dotycząca wspomnianego przez panią Tomczyk wyroku ETPC w sprawie hiszpańskiej. Otóż autorka nie zrozumiała istoty wyroku. Trybunał stwierdził, że Hiszpania miała

POGLĄDY
MŁODYCH
AMERYKANÓW
NA KONFLIKT
IZRAELSKO-
-PALESTYŃSKI
KSZTAŁTOWAŁY
SIĘ W CZASIE
DWÓCH DEKAD
WŁADZY
NETANJAHU.
MAŁO KTO
BARDZIEJ NIŻ
ON PRZYZYNIŁ
SIĘ DO POPARCIA
SPRAWY
PALESTYŃSKIEJ



12 listopada, propalestyński marsz
All Out for Palestine w Austin,
stolicy Teksasu FOT. SARA DIGGINS/AP

IZRAEL MUSI BYĆ WIELKI ABY CHRYSTUS WRÓCIŁ NA ZIEMIĘ

O przewadze Żydów nad Arabami w oddziaływaniu na amerykańską politykę przesądza ich wszechmocny sojusznik: chrześcijaństwo

Maciej Jarkowicz

W maju 2021, w jednym z dziesiątek w ostatnich dekadach kryzysów izraelsko-palestyńskich, według danych potwierdzonych przez ONZ zginęło 256 Palestyńczyków, w tym 66 dzieci, oraz 11 Izraelczyków, w tym 2 dzieci. Prezydent Joe Biden wylądował w tamtym czasie w Detroit, żeby spotkać się z pracownikami fabryki samochodów elektrycznych Ford. Przywitała go Rashida Tlaib, pochodząca z Detroit demokratyczna kongreswoman. W 2019 r. została pierwszą w historii Amerykanką palestyńskiego pochodzenia i jedną z dwóch pierwszych muzułmank w Kapitolu. Teraz wykorzystwała spotkanie z prezydentem, żeby poza protokołem wyrazić

zaniepokojenie działaniami administracji na Bliskim Wschodzie.

Kilkunastominutowa, niezaplanowana rozmowa odbyła się na płycie lotniska. Słynąca z emocjonalnych wystąpień Tlaib chciała wiedzieć, dlaczego USA wysyłają dodatkowy kontyngent broni dla Izraela, podczas gdy cywile w Gazie nie dostają ochrony. Przekonywała Bidena, że jego bezwarunkowe wsparcie dla rządu Netanjahu przyczynia się nie do pokoju, lecz do dalszego rozlewu krwi i łamania praw człowieka. System rządów obowiązujący w Izraelu nazwała apartheidem.

Biden był pod wrażeniem jej energii. Kilka godzin później na oficjalnym spotkaniu w fabryce Forda zwrócił się do niej: „Podziwiam pani inteligencję i pasję do działania na rzecz bliźnich. Jest pani wojowniczką, dzięki Bogu, że mamy takich ludzi”. Obiecał większe zaangażowanie na rzecz ochrony cywilów w Gazie.

Przed dwoma tygodniami Izba Reprezentantów uchwaliła udzielenie Rashidzie Tlaib nagany. Procedura ta wykorzystywana jest rzadko – przez dwa i pół wieku istnienia kraju użyto jej tylko 26 razy. Tlaib została ukarana za „promowanie nieprawdopodobnych relacji dotyczących ataku Hamasu na Izrael z dnia 7 października 2023 r. oraz nawoływanie do zniszczenia państwa Izrael”. Poza republikanami uchwałę poparło 22 demokratów.

W obronie kongreswoman staje lewicowe skrzydło jej partii i spora część społec-

zeństwa obywatelskiego. Tlaib znalazła się w centrum nowej polaryzacji, jaka rozrywa dziś Amerykę i będzie miała wpływ na wybory oraz na decyzje USA dotyczące wojny w Gazie.

Matka Rashidy Tlaib wychowała się na przedmieściach Ramallah na Zachodnim Brzegu, ojciec we wschodniej Jerozolimie. Poznali się w Detroit, w dzielnicy zamieszkałej przez imigrantów z krajów muzułmańskich. Oboje pracowali przy linii montażowej w Fordzie. W domu mówiono po arabsku. Latem Rashida odwiedzała babcię na Zachodnim Brzegu.

Już w liceum się angażowała: demonstracje przeciwników dzikiej deweloperki, eksmisji; politykowanie w arabskim centrum młodzieżowym. Skończyła politologię, później prawo. Zatrudniła się w Sugar Law Center for Economic & Social Justice, organizacji pozarządowej wspierającej najmniej zarabiających. Odbywała staż w biurze Steve’a Tobocmana, szefa większości w stanowej Izbie Reprezentantów. Tak dobrze jej szło, że gdy w 2008 r. jego mandat się kończył, Tobocman namówił Tlaib, żeby wystartowała na jego miejsce. W okręgu zamieszkanym w większości przez Afroamerykanów, Latynosów i Arabów wiele rodzin знаła osobiście z czasów pracy społecznej. Wygrała w cuglach. Dekadę później wystartowała do Kongresu.

Tlaib jest najstarsza z 14 rodzeństwa. Już w podstawówce pomagała w wychowaniu najmłodszych – zmieniała pieluchy, gotowała. Gdy w wieku 16 lat zrobiła prawo jazdy, rozwoziła siostry i braci do szkół ciężarowym furgonem. Odkąd pamięta, jest nieprzerwanie w ruchu i nie dosypia. Ze spotkań na spotkanie, z wiecu na wiec, z jednej misji na drugą misję. W międzyczasie wyszła za mąż, urodziła dwóch synów, rozwiodła się, została samotną matką. „New York Times” zobrazował artykuł z jej kampanijnego szlaku zdjęciem z samochodu – zaferowana rozmawia przez telefon, a kilkuletni syn dosłownie wchodzi jej na głowę.

Kilka dni przed wyborami poszła się pomodlić do meczetu. Na inaugurację założyła tradycyjną palestyńską szatę, która należała do jej matki. W czasie przysięgi położyła dłoń na Koranie, który należał do Thomasa Jeffersona.

Na co dzień nie jest religijna. „Moja Allah jest kobietą” – stwierdza.

W wystąpieniu w Izbie po udzieleniu jej nagany mówiła: „Nie dam się uciszyć i nie pozwolę na wypaczenie moich słów”. Przekonywała, że nie używa mowy nienawiści, lecz reprezentuje ruch na rzecz zawieszenia broni w Gazie oraz sprzeciw wobec stosowania odpowiedzialności zbiorowej przez rząd Netanjahu. „Odpowiedzią na zbrodnie wojenne nie mogą być zbrodnie wojenne. Żaden rząd nie może znaleźć się poza dozwoleńmi krytyki.

Twierdzenie, że krytyka rządu Izraela to antysemityzm, wyznacza niebezpieczny precedens”.

Głos jej się załamał. Urodzona w Somalii Ilhan Omar, druga muzułmańska kongreswoman, podeszła i położyła rękę na jej ramieniu. Tlaib powiedziała przez Izę: „Nie wierzę, że muszę to mówić: Palestyńczycy nie są narodem do wyrzucenia”.

Jednym z głównych powodów nagany było użycie przez nią sloganu „Od rzeki do morza Palestyna będzie wolna” (From river to the sea Palestine will be free). W uchwale został on zdefiniowany jako „ludobójcze wezwanie do zniszczenia Izraela”.

Hasło, które słyszać i widać na propalestyńskich demonstracjach na całym świecie, w ostatnich dekadach służyło Hamasowi do szerzenia ideologii ostatecznej rozprawy z Izraelem. Terytorium między rzeką Jordan a Morzem Śródziemnym miałoby zostać oczyszczone z Żydów.

Jednak slogan był obecny w tradycji narodowowyzwoleńczej Palestyńczyków na długo przed powstaniem Hamasu. Jest żywy w retoryce wielu innych organizacji, również pokojowych. Wyraża dążenie do odzyskania wolności. Dla wielu Palestyńczyków oznacza też pragnienie powrotu do rodzinnych miast i wsi, z których zostali wysiedleni w 1948 roku. Powszechnie hasło biorą na standardy również zwolennicy utworzenia nowego państwa palestyńsko-izraelskiego obejmującego Izrael, Zachodni Brzeg i Gazę, w którym oba narody żyłyby wolne od przemocy.

Tlaib nie ukrywa, że należy do tej grupy. Wpis, w którym użyła hasła, rozpoczął się od słów: „Przepelnia mnie smutek z powodu śmierci Palestyńczyków i Izraelczyków, którzy zginęli wczoraj, zginą dziś i giną każdego dnia”. Opowiada się za rozwiązaniem jedno-państwowym między innymi dla tego, że pozwoliliby ono, w jej opinii, uniknąć wysiedlenia osadników żydowskich z Gazy i Zachodniego Brzegu. Takie wysiedlenia, przekonuje, byłyby powtórką Nakby (w arabskim: katastrofy), czyli brutalnego pozbycia się Palestyńczyków z terenów nowo utworzonego Izraela w czasie wojny izraelsko-arabskiej w 1948 r.

Za porównywanie Nakby z ewentualnym powrotem osadników żydowskich do Izraela Tlaib była krytykowana przez organizacje propalestyńskie.

Gdy Rashida Tlaib publikowała wpis, w którym znalazły się słowa „od rzeki do morza”, republikański kongresman Max Miller wyrażał na antenie Fox News nadzieję, że Gaza „zostanie wkrótce wypatroszona i zamieniona w parking”. Jego kolega, kongresman Brian Mast z mównicy w Izbie Reprezentantów powiedział: „Nie powinno się lekkomyślnie nadużywać sformułowania »niewinni palestyńscy cywile«. Przecież w czasie II wojny światowej nie mówilibyśmy o »niewinnych nazistowskich cywilach«. Senator Lindsey Graham zagrzewał Izraelczyków do boju: „To wojna religijna. Jestem z Izraelem. Do diabła, róbcie, co musicie, żeby się obronić. Zrównajcie [Gazę] z ziemią”. Kongresman Tom Cotton na platformie X: „Jeśli mnie pytacie, Izrael może zamienić Gazę w gruzowisko” – używając określenia „bounce the rubble”, którym Churchill opisywał skutki wojny jądrowej. Żadna z tych wypowiedzi nie stała się powodem do złożenia projektu uchwały o naganie.

Podwójny standard w ocenie tego, co mogą powiedzieć politycy propalestyńscy, a co proizraelscy, wynika z potęgi lobby izraelskiego w Stanach.

Zanim drodzy czytelnicy ulegną emocjom skazującym powyższe zdanie na wyrok unieważnienia ze względu na jego rzekomy antysemityzm, zaznaczmy, że mówimy o lobby żydowskim w znaczeniu politologicznym. Wszelkie teorie spiskowe o tym, jakoby Żydzi rządzili Ameryką, a nawet światem, są nam obce. Nie rządzą, tak jak nie rządzą koncerny farmaceutyczne, zbrojeniowe czy banki, tak jak nie rządzą Polacy, Irlandczycy czy Ormianie

– wszystkie te grupy mają w Stanach swoje lobby.

Wszystkie mają też mniejszy lub większy wpływ na kształtowanie polityki. Lobby żydowskie należy do najsilniejszych. Jeden z jego większych podmiotów Amerykańska Komisja Spraw Publicznych Izraela (American Israel Public Affairs Committee, AIPAC) zrzesza ponad 100 tys. członków i sama siebie przedstawia jako lobby proizraelskie.

Profesorowie John Mearsheimer z Uniwersytetu Chicagowskiego i Stephen Walt z Harvardu w głośniejszej pracy z 2006 r. pokazali, że polityka USA wobec konfliktu izraelsko-palestyńskiego jest kształtowana głównie przez skuteczną aktywność dziesiątek organizacji takich jak AIPAC. Tak jak inne grupy interesu lobby izraelskie działa dzięki bogatym sponsorom za pośrednictwem think tanków, organizacji pozarządowych, komitetów politycznych, mediów.

Lobby arabskie w ostatnim czasie dostaje wsparcie ze strony środowisk studenckich, bo poglądy młodych Amerykanów dotyczące konfliktu izraelsko-palestyńskiego kształtowały się w czasie dwóch dekad władzy Netanjahu. Mało kto bardziej niż on przychylił się w ostatnich latach do masowego poparcia sprawy palestyńskiej na całym świecie. Niemniej zorganizowane lobby arabskie w USA jest w fazie niemowlęcej. Imigracja z krajów arabskich jest stosunkowo nowa. W Stanach żyje za to ok. 7,6 mln ludzi identyfikujących się jako Żydzi. Jeśli policzyć obywateli, których przynajmniej jedno z rodziców jest pochodzenia żydowskiego, liczba wzrosnie do ok. 15 mln. To kilkukrotnie więcej niż licząca nie więcej niż 3 mln diaspora arabska.

Nie to jest jednak decydujące. Wszak nie każdy amerykański Żyd jest członkiem proizraelskiego lobby, a wielu z nich – z jednym z najważniejszych intelektualistów ostatniego półwiecza Noamem Chomskim na czele – to zapalczywi krytycy Izraela. O przewadze Żydów nad Arabami w oddziaływaniu na amerykańską politykę przesądza ich wszechmocny sojusznik: chrześcijaństwo.

Tydzień po ataku Hamasu na Izrael John Hagee, lat 83, Teksasczyk, multimilioner, przemawiał w jednym z ewangelickich megakościołów w Georgii. Hagee jest jednym z najsukceszniejszych teleewangelistów, czyli samowznających pastorów nauczających o Chrystusie za pośrednictwem telewizji, internetu i wszelkich dostępnych mediów. Odbiorcy Dobrej Nowiny telepastorów są w Stanach liczeni w dziesiątkach milionów, majątki dzięki niej generowane – w setkach.

Hagee współprzewodzi też ruchowi chrześcijańskich syjonistów. Jego organizacja, Chrześcijaństwo Zjednoczeni dla Izraela (Christians United for Israel), według badań Mearsheimera i Walta jest najbardziej wpływową grupą proizraelskiego interesu w USA, silniejszą od tych żydowskich.

W Georgii Hagee opowiadał o prorocztwie z nowotestamentowej Apokalipsy św. Jana (tłumaczonego również jako Księga Objawienia), według którego zbliża się czas ostatecznej wojny. Zakończy ona wszystkie dotychczasowe i przyniesie panowanie Jezusa Chrystusa. Według Biblii dojdzie do niej na nieznanym współczesnym mapom gorze Armagedon (z hebrajskiego Har-Magedon, czyli góra Megiddo). Według Johna Hageego zjednoczone armie Chin, Rosji i Iranu napadną na Izrael i zostaną pokonane z pomocą Bożą i amerykańską. „Nastanie czas pokoju, skończy się wybory prezydenckie, fake newsy, cały ten nonsens. Zapanuje nasz król, przywódca, Jezus Chrystus, Syn Boży”. Za pośrednictwem ewangelickich mediów podobna opowieść snuje się w ostatnich tygodniach z usteł listu telepastorów. 90 z nich opublikowało list z poparciem dla „sprawiedliwej wojny” Izraela. Badania pokazały, że 80 proc. amerykańskich ewangelików wierzy, że aby Chrystus wrócił na ziemię, granice państwa Izrael muszą przybrać kształt przewidziany dla nich przez Boga.

Lobby chrześcijańskich syjonistów ma początek w działalności niejakiego Geor-

ge’a Busha, dalekiego przodka późniejszych prezydentów, który w 1844 r. wydał rozprawę przekonującą do wynikającej z biblijnego nauczania konieczności powrotu Żydów do Izraela. Wyrażał przekonanie, że na Ziemi Świętej zostaną oni nawróceni. W przeciwnym razie marny ich koniec, Armagedon przeżyją albowiem tylko wyznawcy Jezusa. Nienawróceni Żydzi i Arabowie, tak jak inni niewierni, zostaną zgładzeni.

Sto lat po Bushu ruch ewangelików zyskiwał coraz większy wpływ na politykę. Jego przedstawiciele stawali się doradcami prezydentów. Mieli wpływ na administrację Reagana, Bushów seniora i juniora. Donald Trump zasłużył na ich poparcie między innymi obietnicą przeniesienia ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy.

Pastor Hagee chwalił się, że decydujący wpływ na decyzję miała kolacja, którą zjadł z Trumpem w Białym Domu. Opowiedział mu, że powrót Żydów do Izraela jest częścią Boskiego planu, który musi się wypełnić przed drugim nadejściem Chrystusa. Wedle przepowiedni to Żydzi z Boskiego nadania muszą panować w Jerozolimie. Wtedy dopiero powróci tam Jezus, zasiądzie na tronie na Wzgórzu Świątynnym, aby wiecznie nam panować.

Ponoć Trump był pod wrażeniem. Hagee dostał zaproszenie na uroczystości otwarcia ambasady i pobłogosławił nową placówkę. W ewangelickiej ideologii wiara, patriotyzm i syjonizm są splecione nierozzerwalnym węzłem – Ameryka musi błogosławić Izrael, bo inaczej zostanie potępiona przez Boga.

■ GDY OBAMA UŻYWA TERMINU „COMPLEXITY”, ZŁOŻONOŚĆ, NA OKREŚLENIE SYTUACJI NA BLISKIM WSCHODZIE I STWIERDZA, ŻE OBIE STRONY – PALESTYŃCZYCY I IZRAELCZYCY – MAJĄ KREW NA RĘKACH, „WALL STREET JOURNAL” WRZUCA GO DO WORKA Z ANTYSEMITAMI

Antysemityzm w USA jest realnym zjawiskiem. Objawia się mową nienawiści w internecie, działalnością grup białych suprematystów, atakami na synagogi, zabijaniem ludzi. W 2018 r. 46-letni Robert Gregory Bowers, wyznawca teorii spiskowej, według której Żydzi sprowadzają do USA imigrantów, aby zgładzić białą Amerykę, wszedł z karabinem do synagogi w Pittsburghu. Zginęło 11 osób.

Według grup monitorujących przemoc na tle rasowym czy etnicznym nienawiść w społeczeństwie rośnie. Dotyczy to również islamofobii. Pierwsze groźby śmierci Rashida Tlaib znalazła w swojej kongresowej skrzynce mailowej w dniu inauguracji. Kilka miesięcy później na posiedzeniu komisji do spraw terroryzmu cytowała korespondencję, jaką otrzymuje: „Przepelnia mnie radość na wieść o 49 muzułmanach zabitych w Nowej Zelandii. To wspaniały początek. Mam nadzieję i modłę się, aby ciąg dalszy nastąpił w naszych starych, dobrych USA. Jedyny dobry muzułmanin to martwy muzułmanin”. Kilka tygodni temu sześćioletni

Wadea al-Fayoume, Amerykanin palestyńskiego pochodzenia z Bridgeview na przedmieściach Chicago, został zasztyletowany przez białego rasistę, miłośnika konserwatywnych stacji radiowych. Morderca zadał 26 ciosów nożem, wołając: „Śmierć wszystkim muzułmanom”.

Czym innym jednak jest realna nienawiść i przemoc, a czym innym wymiana argumentów w debacie publicznej. Tymczasem w tej przestrzeni często o tym, co jest, a co nie jest antysemityzmem, decyduje lobby proizraelskie.

Rashida Tlaib popiera ruch na rzecz bojkotu izraelskich produktów i sankcji wobec Izraela; uważa, że rząd Netanjahu jest nacjonalistyczny i ksenofobiczny. Że zamienił Gazę w więzienie pod gołym niebem. Podobne przekonania dzielają liczne autorytety na całym świecie. Przekonanie o tym, że rząd Netanjahu nielegalnie blokuje Strefę Gazy, łamie prawa człowieka i ma na sumieniu zbrodnie wojenne, podparte jest danymi gromadzonymi przez dziesiątki organizacji, w tym agendy oenzetowskie. Mimo to pozycja Tlaib z mocą uchwały zostaje uznana za antysemicką.

Stempel antysemityzmu dostaje w Stanach niemal każda wypowiedź mniej lub bardziej krytykująca rząd Izraela. Gdy Barack Obama używa terminu „complexity” (złożoność) na określenie sytuacji na Bliskim Wschodzie i stwierdza, że obie strony – Palestyńczycy i Izraelczycy – mają krew na rękach, „Wall Street Journal” wrzuca go do worka z innymi antysemitami. Według lobby proizraelskiego nie ma żadnej złożoności. Sprawa jest prosta – jedni są źli, drudzy dobrzy. „Niewinni palestyńscy cywile” nie istnieją.

Drugą, obok użycia sloganu „od rzeki do morza”, przewiną, która przyniosła Rashidzie Tlaib naganę, było oskarżenie Bidena o przykładanie ręki do ludobójstwa za pośrednictwem amerykańskiego wsparcia dla Netanjahu. W tym samym czasie 44-stronicowy raport ostrzegający Bidena, że w Gazie rzeczywistość może dochodzić do ludobójstwa, wysłali do Białego Domu prawnicy z progresywnej, działającej od 1966 r. organizacji Center for Constitutional Rights.

Głośny artykuł w „New York Timesie” opublikował prof. Omer Bartov, badacz Holocaustu z Uniwersytetu Browna. Tekst jest próbą odpowiedzi na pytanie, czy działania odwetowe Izraela w Gazie mogą zostać uznane za ludobójstwo. Bartov przestrzega przed nadużywaniem tego terminu i zwraca uwagę, że ma on inną definicję niż „zbrodnie wojenne” czy „zbrodnie przeciw ludzkości”. W ludobójstwie ważna jest intencja pozbycia się danej grupy narodowościowej, rasowej lub etnicznej z określonego terytorium. W późniejszych wypowiedziach, m.in. dla CNN, Bartov analizuje atak Hamasu z 7 października. Terrorysty mordują wszystkich, łącznie z niemowlętami, a w swoich dokumentach organizacja deklaruje plan pozbycia się Żydów z terytorium dzisiejszego państwa Izrael. Atak nosi znamiona ludobójstwa – stwierdza Bartov.

W odwecie Izrael zamienia Gazę w gruzowisko. Ginie – jak do tej pory – ponad 11 tys. cywilów, tysiące dzieci. To ewidentnie zbrodnia wojenna, zbrodnia przeciw ludzkości i czystka etniczna – mówi profesor. Powstrzymuje się od użycia terminu „ludobójstwo”, bo nie zna intencji. W sferze oficjalnych deklaracji Izrael prowadzi obronę i prewencyjną operację wojskową i jego zamiarem nie jest rzeź cywilów. Jednak poszczególni członkowie rządu – przypomina Bartov – zapowiadali pozbycie się Palestyńczyków z Gazy. Wojny nie postrzegają oni jako tragedii, lecz widzą w niej szansę realizacji celów politycznych. To sprawia, że może dojść do ludobójstwa.

Artykuł w „New York Timesie” Bartov kończy słowami: „Teraz jest czas, aby powstrzymać Izrael, zanim jego działania staną się ludobójstwem. Nie mamy chwili do stracenia”. ●

Jesteś turystą z Rurytanii, który w dramatyczny sposób trafił z bombą do telewizji. Ale po kolei.

Łądujesz na nieistniejącym lotnisku Centralnego Portu Komunikacyjnego pod Baranowem i wchodzisz w bliski kontakt z polską glebą. Ziemią-matką. Ze słynną polską równiną, z polskimi łąkami zamglonymi, co to na nich topole i diabeł z pieszczalką, z polskim błotem tradycyjnym, słowem: z centrum Otchłani Środkowopolskiej wchodzisz w kontakt bliski, Otchłani znajdującej się w samym śródeczku obwarzanka, o którym mówił wielki Polak litewski – Józef Piłsudski. Że niby „w Polsce wartościowe jest to, co po brzegach”. Wstajesz zatem, otrzepujesz się z tego słynnego, arcyńskiego błota, które, jak kiedyś stwierdził Napoleon Bonaparte, jest „piątym żywiołem”, z którym zetknął się dopiero w Polsce – i wychodzisz jednak szukać jakiegoś asfaltu. Owszem, jest, sporo, w końcu to gdzieś tutaj krzyżują się dwie najważniejsze polskie magistrale: droga krajowa numer 1 od Czech i Słowacji po Gdańsk i droga krajowa numer 2, od Świecka po Terespol, w europejskim systemie drogowym to od Cork w Irlandii aż po Omsk, ale nikt tego nie bierze jakoś specjalnie na poważnie. Polska nie jest częścią całości, Polska jest osobna.

– Jak to jest! – krzyczysz więc w nieistniejącej informacji, domagając się Wielkiej Polskiej Księgi Niespełnionych Życzeń i Nieuwzględnionych Zażeń oraz Próżnych Skarg i Wycofanych Wniosków. – Ten wasz rząd patriotyczny naobiecował i jeszcze nic nie zaczął nawet robić!

– Opóźnienie powstało poza granicami kraju – odpowiadała nieistniejąca pracownica informacji nieco kościelnym, natchnionym tonem, z tym mszalnym zaśpiewem nawet – i może się zwiększyć lub zmniejszyć, a rząd polski nie może za nie brać odpowiedzialności. Cały bowiem świat uwziął się na Polskę i skonstruował antypolski spisek, a jeszcze w kraju tylko trzydzieści procent społeczeństwa to

**Matka Boska
Częstochowska pochylila
się nad Polską,
życzyła jej szczęścia,
ale z tyłu miała dwa palce
skrzyżowane**

Ziemowit Szczerek

niacy, rozdawacze socjału i państwowych pieniędzy. I tylko pieprzyć potrafią...

– Dawnom takich bzdur nie słyszało, ojciec mój libku, jakim dziecko – powiedziało dziecko Batat.

– Nie mów do mnie „libku” – odpowiedział Tata Batata.

– Nie słyszałam, że któryś z poprzednich rządów miał jakiś plan, żeby zrobić coś z rozwojem kolei, tak żeby w końcu doposażyć ją do tego kraju, bo na mapie kolejowej wciąż widać zabory, ojciec mój libku. Dopiero PiS o tym zaczął mówić.

– Mówić to i ja potrafię!

– Nie słyszałam, żebyś to mówił, libku-ojciec.

– Rozwój kolei to może i jakaś tam racja, może coś tam i jest w tym gadaniu o katastrofie klimatycznej i o tym, że nie kaźdego stać na auto, no dobrze, może i przyznaję, ale taka centralizacja Polski, takie Bizancjum, po co to komu, na co, Batacie.

– No a co się dziwisz, że PiS to robi po pisowsku, jeśli nikt wcześniej się za to nie wziął, Tato Batata.

Ojciec zaczął się drzeć na dziecko, że niech się zdecyduje, czy jest z lewej, czy z prawej, dziecko zaczęło płakać, że libki go prześladowają, im bardziej dziecko płakało, tym bardziej się ojciec darł, i odwrotnie, dziecko zaczęło ojcu zarzucać przemocowość, ojciec dziecku – odklejenie, a ty uznałeś, że dłużej tego nie wytrzymasz, i na bramkach wysko-

POLSKA, CZYLI WIELKI SPISEK

Idziesz więc przez środkowopolski, płaski krajobraz, mijasz banery z napisami „NIE DLA CPK”, „NIE DLA WYWŁASZCZENIA”, idziesz pod wiatr, a w głowie Szopen ci gra.

Docierasz do nieistniejącego terminalu nieistniejącego CPK – o mój Boże, jakież to miałyby być ogromne, wielka kopuła pośród Środka Obwarzanka! Kopuła, która, jak Hagia Sophia w Konstantynopolu, rzucalaby na kolana przybyszów z obcych krajów, o której z uznaniem rozpisyaliby się mieszkający w Polsce rosyjscy i ukraińscy youtuberzy nagrywający filmiki typu „Życie w Polsce: pięć rzeczy, które mnie zachwyciły, a których nie ma w moim kraju”, którzy szybko zorientowali się, że aby wyciągnąć z Polaków największą klikalność i kasę, trzeba zagrać na jej schadenfreude i pod niebiosą Polskę wynosić, i pokazywać, jak bardzo góruje ona cywilizacyjnie nad krainami, z których oni sami pochodzą.

Więc tak: w nieistniejącym, wielkim terminalu idziesz do nieistniejącej kasy, w której chcesz kupić bilety na pociąg, by przejechać się po Polsce kolejami wielkich prędkości, najlepiej kilkoma szprychami kolejowymi, które promieniście odchodzić mają od Baranowa, ale zarówno kasa, jak i szprychy nie istnieją jeszcze bardziej, niż nie istnieje terminal, więc nic z tego nie wychodzi.

prawdziwi Polacy, a reszta to nieprawdziwi agenci idący na pasku Wielkiego Zewnętrza. Trudno w takich warunkach prowadzić czynności, amen.

I zatrzasnęła okienko.

OJCZE MÓJ LIBKU

Cóż ci więc czynić: brnąć przez skiby, pola, błoto i nieistnienie, dotarłeś do stacji benzynowej Orlen przy A2, pooglądałeś wisiorki i naklejki z Polską, które można sobie kupić i wozić w aucie, żeby mieć, będąc w Polsce, jeszcze większą świadomość, że jest się w Polsce, niż do tej pory. Pooglądałeś sobie powystawianą tam, jak gdyby nigdy nic, na stojącej prasę straszącą wspomnianym przez panią z nieistniejącej informacji spiskiem Niemiec i Francji skierowanym przeciwko Polsce oraz masturbacją dzieci przez wychowawczynię w przedszkolu w zgnilej, ateistycznej Szwecji, której zresztą już nie ma, i zacząłeś nad średnią latkę z syropem migdałowym zastanawiać się, co dalej, i uznałeś, że najbezpieczniej będzie zdać się na łaskę losu i pójść na stopa. I w ten sposób znalazłeś się w mercedesie Taty Batata i jego zbuntowanego, ubranego w porządne, alternatywne ciuchy dziecka Batata.

Jechali na Poznań.

– Nic dziwnego, że tego CPK nie zrobili – mówił Tata Batata. – Megalomania, ma-

czyłeś bez pożegnania w polską, środkowopolską mgłę. I znów – w pola, w skiby, w szosy asfaltowe, między zabudowę, między tynki, ploty i tuje, aż nagle patrzysz – a tu napis: „Konin”. A poniżej, markerem: „Na wschód od Konina Azja się zaczyna”.

Do Azji to nie, pomyślałeś, do Europy zbyt banalnie. Pójdź granicą.

Centrum Odlotu

I poszedłeś. Idziesz, idziesz, nóg nie czujesz, stopa łapie, wziął cię jakiś pan wesóły, święte rzeczy, mówi, wiozę, obrazki znaczki, kropidła, mamidła, Matki Boskie z odkręcaną główką – na handelek! Do Lichenia!

– A cóż w tym Licheniu?

– Jak co! – obruszył się pan wesóły.

– Największa bazylika na świecie!

– To czemu o niej nie słyszałem? – spytałeś ostrożnie.

– Bo polska! A nie jakaś tam włoska czy niemiecka! A jak polski, to już nikt nie zna. Ja myślę, że to przez antypolski spisek Żydów w Hollywood. Wszyscy turyści na świecie myślą, że w Polsce to tylko Auschwitz! A nie! A jeszcze Lichen jest! I ja tam się rozkladałam, rozumiesz pan, ze straganem, bo turystów tam wali co niemiara, by naszą polską chwałę oglądać...

Patrzysz – a tu się faktycznie wylania. Gigantyczne, wielkie, nawisa nad tym krajobrazem, właściwie, myślałeś, to jest CPK, to jest środkowopolskie Centrum Odlotu. I gdy stanąłeś pod tym wielkim gmaszyskiem,

przed schodami marmurowymi, przed Jezusami powykęcany w cierpieniu tak, pod orłami białymi pod kandelabrami, z oparciami ław kościelnych rzeźbionymi w skrzydła husarskie, gdy zobaczyłeś te złocenia, srebrzenia, diamentowania – to zacząłeś się zastanawiać, czy oni chcą tu południowoamerykański serial kręcić, czy jednak na serio się modlić, i doszedłeś do wniosku, że jedno nie wyklucza drugiego. Oszołomiony poszedłeś jakąś aleją Polskiego Cierpienia, bo wszędzie jakieś krzyże z drutem kolczastym na ciebie wylazły, jakieś kraty, kibitki, wywózki, aż doszedłeś do Golgoty, która, z kolei, cię zachwyciła, bo w końcu zobaczyłeś polską sztukę oddolną, coś, co lokalna ziemia zrodziła na takiej samej zasadzie, na jakiej rodu buraki, cebulę, ziemniaki, agrest i wiśnię: Jezusy i Rzymianie jaskrawo malowani, anioł zwiastujący Pannie Maryjnej z żarówką w dłoniach w Grocie Zwiastowania, i jak się wchodziło do tej groty, to się naciskało włącznik światła i – pyk – żarówka się paliła, i dopiero było zwiastowanie! I tylko jakieś typki pozostawiające za sobą smugę zapachu marihuany coraz to włączały i wyłączały to światło, i chichotały. Albo św. Piotr uginający się pod ciężarem grzechu, a ten grzech był bardzo plastycznie przedstawiony jako jakieś szare bulby, jakaś maź w workach przezroczytych, foliowych. – Wstyd, wstyd – syczał jakiś pan dobrze ubrany, acz luzno, w okulary w pomarańczowych oprawkach,





tak jak się ubierają sześćdziesięciolatek, którym jeszcze w sercu wesola muzyka gra – to tym niby jesteśmy? To tacyśmy są? Tacyśmy? Wstyd! Zasypać, zalać to betonem, zniszczyć, rozjechać, spalić!

– Czemu spalić, czy Meksykanie palą figurki z Dia de los Muertos? Czy Hindusi rozwiązują Bollywood ze wstydu? – zapytałeś, to tak się na ciebie zamachnął, że w te pędy wyleciałeś z Golgoty, a on za tobą, rycząc, że ma już dość władzy ciemnogródu, że postęp, postęp trzeba w końcu wprowadzić! Ledwieś uciekł przez bramę bazyliki, mijając uwiązane tam na smyczy, żeby nikt nie ukradł, Matki Boskiej i Jezusy z cenami przymocowanymi do szyi, jak na targu niewolników, i wpadłeś prawie pod koła białej osobówki z napisem „TVP” na burcie.

Kierowca, ładnie ostrzyżony, z przedziałkiem wygolonym jakby husqvarną, dał po hamplach i z maszyny wyskoczył.

– A ty co! – ryknął. – Życie ci niemiłe?

– Postęp – wystękałeś – mnie goni...

– A to jak postęp – powiedział kierowca – to siadaj.

I pojechaliście.

WIELKIE OTWARCIE CZEGOŚ

– Dokąd jedziemy? – zapytałeś.

– Na Otwarcie. Ponownie Otwarcie.

PiS-owski terminal miał rzucać na kolana jak Hagia Sophia w Konstantynopolu

– Otwarcie czego? – cisnąłeś.

– Parasola w... – przyjrzał ci się krytycznie i nie dokończył. – Pan to chyba obcokrajowiec?

– Tak i nie – odpowiedziałeś. – Z Rurytanii.

– A – niepewnie zerknął kierowca, ewidentnie nie wiedząc, czy to w Polsce, czy już w Niemczech, tylko nie chcąc się przysiąc. – To... to tak. Rozumiem.

– No więc czego otwarcie?

– No, kochany panie, Największego Osiągnięcia Cywilizacyjnego Polski od Czasów Budowy Gdyni!

– Tak? – Zrobiłeś oczy jak balony. – To czemu o tym nie słyszałem?

– Ba! Bo to polskie! A jak polskie, to wiadomo... gdyby było niemieckie czy amerykańskie, toby wszyscy znali, a tak... ja myślałem, że to spisek Żydów w Hollywood, wie pan... Najgorzej, że ten spisek też się roz-

ciąga na Polskę, bo nie wiem, czy pan wie, ale Prawdziwych Polaków to w Polsce to tak, no, że trzydzieści parę procent jest tylko... no więc my zrobiliśmy Wielkie Otwarcie, myśląc, że więcej Prawdziwych Polaków w Polsce się od tego zrobi, że poczują Dumę, Przynależność, że poczują, ale gdzie tam... zdrada wszystkiego, zgwałcone wagoniki przy niemieckiej lokomotywie. Nie przybyło. No to my – jeszcze raz. Drugie Otwarcie. W końcu, myślimy, aż tak ten lud polskojęzyczny nie może być ciemny, musi w końcu zrozumieć, że jego dobra chcemy. Ale też nic. No to my Trzecie Otwarcie, Czwarte... i tak będziemy do skutku.

– A teraz to które otwarcie?

Popatrzył oczami smutnemi.

– Piętnaste – powiedział. – Ale musi pan to zobaczyć. To jest Przełom! To jest Wielkie Wydarzenie Inżynierii Światowej! To

jest Coś, Czego Świat Nie Widział! I nikt tego nie zrobił! Nikt! Tylko my! Polscy patrioci.

No więc jedziecie, jedziecie, ty z niecierpliwości przebierasz nogami, żeby w końcu to cudo zobaczyć, zmienia się nieco krajobraz, jakieś się pojawiają kanały, kanaliki, mgły nad nimi stają, aż w końcu podjeżdżacie pod znak niebieski z napisem białym: „PRZEKOP MIERZEI WIŚLANEJ”.

– To Tu! – mówi ten z TVP i z mikrofonem leci, a tam już kamery, sztandary, wieńce.

No to ty za nim cuda oglądać. I podbiegasz, i jak wryty stajesz, bo oto twoim oczom ukazuje się...

Kanał.

Przekop.

Dość wąski.

Pusty.

– No i gdzie ten cud? – pytasz ludzi.

– Jak gdzie? – obruszają się. – No tu.

– Ale to kanał jest – mówisz.

– No niby kanał, ale to Przekop! Przekop, który od proroków! Przekop, o którym się Tyle Mówiło, a My Zrobiliśmy! – mówi ten z TVP.

– No ale... co by nie mówić...

– A ile było obstrukcji! Że ptaki, że Ruscy, że nie ma po co, że tor wodny do portu docelowego niepogłębiany i statki nie mogą pływać!

– A nie mogą?

– No nie mogą – odpowiada ten z TVP.
– Bo tor wodny niepogłębiony...
– No to jak to – nie możesz się przestać dziwić, ale chyba się jakoś za bardzo dziwisz, chyba się za bardzo antypolsko jakoś dziwisz, nie dziw się na przyszłość tak antypolsko, zresztą jeden jest tylko Dziwisz w tym kraju i więcej go być nie może, więc na ciebie koso patrzą zgromadzeni, koso patrzy Naród Polski i już po chwili, sam nie wiesz jak, ale dajesz drapaką, tłum za tobą, ty widzisz to auto TVP, podbiegasz, patrzysz, kluczyki w stacyjce, alleluja!, myślisz. Wbijasz, włączasz zamek rodzinny, słychać cztery kliknięcia, każde za jednego członka zwyczajnej, porządnej, polskiej czteroosobowej rodziny, matka, ojciec, córka, syn, nie jakieś tam nieokreślone dziecko, jeszcze o imieniu Batat, kurwa, tłum ci się rzuca na okna, na maskę, a ty wycofujesz na tylną – i długa.
I sam nie wiesz czemu – ale na wschód.

MOMENT MISTYCZNY

Jedziesz, jedziesz, krajobraz nawet ładny, pagórkowaty, niemieckoidalna zabudowa, zresztą może nie niemieckoidalna, może po prostu środkoweuropejska, może to po prostu stara, dobra Europa, ale nie możesz się za bardzo skoncentrować na podziwianiu krajobrazu, bo widzisz w tylnym lusterku, że pościg policyjny za tobą gna jak szalony, widocznie TVP dało znać, że samochód im ukradziono, więc migają koguty, słyszysz ijo-ijo, widzisz – pały lecą ką, no to ty długa, między jeziora, między hotele i mariny na Mazurach, włączasz radio, żeby posłuchać, co o tobie mówią, tak się zawsze robi na filmach z pościgami samochodowymi, że uciekinier włącza radio i słucha, czasem nawet zaprzyjaźnia się ze spikerem, no więc włączasz radio, a tam podają numer konta Radia Maryja. Klniesz, zmieniasz stację, a tam znowu numer konta Radia Maryja podają, tylko że jeszcze raz, powoli, wyraźnie, jeśli target nie zdążył. Klniesz znowu i znów uruchamiasz radio, a tam pięciu chłopca zastanawia się, czy Tusk jest agentem rosyjskim, czy niemieckim. Słowem, nic o tobie. No więc wyłączasz, zastanawiasz się, czy na Litwę przez korytarz suwalski nie śmignąć, ale z prawej zajeżdżają ci drogę, z podporządkowanej wyskakuje radiowóz centralnie przed ciebie, więc hamujesz, zastygasz za kierownicą i czekasz, co teraz będzie. Policjanci gramolą się z kii, celują z pistoletów i coś krzyczą, ale ty nie słyszysz, bo są daleko, bo szyba i w ogóle. Oni się orientują, że ty nie słyszysz, więc jeden z nich idzie po rozum do głowy, puka się w tę głowę, otwiera bagażnik i wyjmuje zeń megafon z głośnikiem.

Z jakiegoś powodu, nie wiesz z jakiego, jakieś przeczucie ci ogarnia – i wiesz, co się za chwilę stanie. To jeden z tych mistycznych momentów w życiu, że nie wiesz – a wiesz. I rzucasz się na siedzenia, za kierownicę, za deskę rozdzielczą. W ostatniej chwili, bo jak huknęło, jak strzeliło, tylko dym poszedł w górę, zerkasz zza deski rozdzielczej – a tam barykada z policyjnych samochodów rozwalona, policjanci, po czerniali jak postacie z kreskówek po wręczeniu im wybuchającego prezentu, kręcą się nieprzytomnie po krajobrazie, a ty wykorzystujesz sytuację, dajesz gaz do dechy i tniesz przed siebie. I ledwo zauważasz moment, gdy niemieckoidalny krajobraz kulturowy zamienia się w jakiś taki ogólnowschodnioeuropejski krajobraz kulturowy, że więcej drewna zamiast cegły w starych domach, że miasteczka jakieś takie zgrzebniejsze, choć w sumie ładniejsze, ale może dlatego, że wszędzie przy drodze stoją tablice, że Fundusz Europejski dla Polski Wschodniej to czy tamto, na kościolach coś napisane, że „ostatni będą pierwszymi”, aż w końcu mijasz rozwłócone przyjemnie miasto o nazwie Białystok i kilka kilometrów dalej kończy ci się benzyna, a ty nie chcesz na stację benzynową, bo na stacjach są kamery, a ty aktualnie jesteś osobą poszukiwaną. Przynajmniej na to wygląda. Zatrzymujesz się więc na skraju la-

su i cichutko, cichuteńko w ten las wchodzisz, zastanawiając się – co dalej. I mōdląc się, żeby przypadkiem na Białoruś się nie dostać. Tymczasem wędrujesz Puszcą Białowieską, masz resztki zasięgu w telefonie, więc czytasz, że największa w Europie, że to, że tamto, myślisz – no, tu cię nie znajdą, tu nie ma bata, tu jest za gęsto, tu się możesz ukrywać do woli, partyzanci w czasie wojny tu się latami ukrywali, więc oddychasz głęboko – i odskakujesz z leśnej drożki, bo o mało cię nie rozjeżdża prujący jak popieprzony transporter opancerzony. Z jakimś facetem w helmie, goglach, rękawicach i w ogóle całym tym robocopowym gearze, w jakim teraz biegają żołnierze.
– Stop! – woła żołnierz, patrząc na ciebie. – Tyś Polak?
– Jam? – pytasz, rozglądając się.
– Polak czy migrant?
– No... turysta – uśmiechasz się szeroko, a oni jeszcze szerzej.
– Turysta, kurwa! – rechoczą. – Dawaj typa na Białoruś! Już my znamy takich turystów.
Zamykasz oczy, wzdychasz głęboko – i znów biegniesz przed siebie.

PRZEPRASZAM, CZY PAN ŻUL?

Biegniesz, trzask krótkofalówek coraz cichszy, pogłos coraz cichszy głosów, słyszysz swój własny oddech tylko, nic nie widzisz prawie, bo już noc, docierasz do szosy, mokry asfalt błyszczycy nieco w świetle księżyca, wysokie, bardzo wysokie, przerażająco wysokie sosny o długich pniach sterczą nad krajobrazem jak wschodnioeuropejskie palmy, a ty już nie masz siły, nie masz siły uciekać, masz dość tej Polski, docierasz do jakiegoś parkingu, na którym stoją tiry, podnosisz plandekę jednego z nich, nawet cię nie interesuje, co w nim jest – i idziesz spać.
W nocy śni ci się Matka Boska Częstochowska, która nachyla się nad wycinkiem Europy, od Odry po Bug i od Olzy po Bałtyk, i z całego serca życzy mu szczęścia. A z tyłu, patrzysz, ma dwa palce skrzyżowane.
Budzi cię dźwięk niemieckiej mowy. Otwierasz oczy, ale nadal ciemno, widzisz tylko skrawek jasnego nieba w rozsznurowanej szczerlinie plandeki i podpełzasz do niego.
– Dżem tophy – słyszysz, jak Niemiec próbuje mówić po polsku. – Tymczasofa konthola thogofa.
Klniesz w duchu z całego serca, wyskakujesz spod plandeki, niemieccy policjanci i pogranicznicy zaskoczeni, i może nawet uciekłyś do Niemiec, żeby już się od tej Polski nieszczęsnej wyzwolić, ale tam trudno, tam akurat zastawione, więc cóż ci pozostaje: znów do Polski, do Polski, na ziemię polską, pościg gubić, ślad za tobą zacierać, dobrze zresztą, że Niemcom nie wolno na polską ziemię, więc, co prawda, są nieco zaskoczeni, że tyle jechałeś na pace do Niemiec, żeby przed samą granicą w stronę Polski znowu spieprzać, ale cóż masz robić.
Podkradasz się pod stację benzynową, a właściwie pod cały kompleks, bo tam, co prawda, wielka flaga polska wisi i jakiś dumny pomnik stoi z orłem, że POGROMCOM NIEMIECKICH NAJEŹDŹCÓW I ODZYSKIWACZOM ODWIECZNIE POLSKICH ZIEM ZACHODNICH, ale pod tym wszystkim takie włożenie Niemcom w dupę, że aż ciebie trochę zaczyna w krzyżach pobołwać. Zigaretten, bitte, bitte, Friseur, billig, Zahnarzt, nur zehn Euro, wskakujesz na pakę ciężarówki jadącej w przeciwnym kierunku, pełnej żelków Haribo i hodowanej w Niemczech medycznej marihuany kierowanej na polski rynek aptekarski, bo z jakiegoś niezrozumiałego dla ciebie powodu to właśnie poprzedni, ten dziwnie konserwatywny rząd polski ją do celów medycznych zalegalizował, i nic nie robisz przez najbliższych parę godzin, tylko popalas, żeby się wyluzować po traumatycznych wydarzeniach poprzedniego dnia, za-

jasz kolorowe żelki Haribo i patrzysz, jak sprawnie kierowca ciężarówki omija opłaty drogowe na A2, wjeżdżając na autostradę tam, gdzie ich nie ma, zjeżdżając zaraz przed bramkami, a potem wjeżdżając na nią z powrotem. Mijas Chrystusa Świebodzińskiego, machasz mu wesoło i masz wrażenie, że on ci odmachuje, co cię wprawia w bardzo dobry humor, mijasz poniemieckie miasteczka, po których bardzo wyraźnie widać, że obsługuje je kto inny niż ten, kto je tworzył, po czym znów zasypiasz, mijasz wielką nieistniejącą kopułę CPK, nie wiesz nawet, że kierowca zjeżdża na A1, a kilkaset kilometrów dalej, nadal popalając marihuanę, bo jak zostawić takie skarby niewykorzystane, i zającując żelki Haribo w pół śnie, pół jawie, widzisz, że zjeżdża na A4 – i znów zasypiasz.
W pewnym momencie ktoś cię budzi, ruga nieprzyjemnymi słowy, wyzywa od włóczęgów i zasnanych Polaczków, co w języku Polaka, bo to bez dwóch zdań Polak cię ruga, brzmi jak ciekawe zagadnienie antropologiczne, ale nie masz czasu się nad tym zastanowić, bo jesteś oto na kopcach wyrzucony ze zdecydowanie najprzejmniejszego miejsca, w jakim do tej pory byłeś w Polsce. Na stacji benzynowej Orlen. Na obrzeżu jakiegoś małego, przyjemnego na oko, miasteczka.
Patrzysz w telefon, żeby zrozumieć, gdzie też jesteś. Włączasz lokalizację. Województwo podkarpackie.
Orlen – przypominasz sobie. Kame-ry. Trzeba uciekać. Orlen to część systemu. Część Polski. A ciebie cała Polska ściga. Dziennikarze rządowi cię ścigają. Policja cię ściga. Wojsko cię ściga. Pewnie Orlen też ma jakieś swoje siły zbrojne. Trze-

ba stąd zwiewać. Tylko gdzie? Niedaleko jest Słowacja, ale przypominasz sobie, że tam też ustanowiono tymczasowe kontrole graniczne. No to może na Czechy. Trzeba na Zachód. Wychodzisz tymczasem poza obręb kamer i idziesz przed siebie. Odbija ci się żelkami Haribo i kokosi ci się jeszcze w głowie ciężkie, ale miłe otępienie od medycznej marihuany. Dochodzisz do sklepu Żabka. Zastanawiasz się, czy i on przypadkiem nie jest częścią systemu, któremu na imię Polska, ale masz to gdzieś. Chce ci się pić i masz gastrofazę jak diabli. I z chęcią zjadłbyś coś innego niż żelki Haribo. Wchodzisz więc do Żabki i kupujesz yerbatę, matchbatę, wodę średnio gazowaną Muszynianka, ze trzy rodzaje chipsów, kanapkę z tuńczykiem i z jajkiem, kanapkę z szynką, czekoladę o smaku Oreo, wychodzisz, rozkładasz się z tym wszystkim na ławeczce pod Żabką i zaczynasz jeść, czując jednak, że trochę – po tych wszystkich przygodach – prześmierdłeś potem, błotem, towotem i wszystkim innym, i że wyglądasz jak żul.
I rzeczywiście – kilka już osób minęło cię, patrząc z politowaniem na twoją małą ucztę i komentując, że oto na co żule wydają 500 plus za ich ciężko zarobione pieniądze. Aż w końcu staje przed tobą dobrze ubrana, świetnie uczesana, ale nieco załamana dziewczyna epatująca wielkim miastem tak, jak ty aktualnie epatujesz gastrofazą.
– Przepraszam – zapytała – czy pan żul?
– Ja?
– Przepraszam, jeśli to obraźliwe. Ale wysłano mnie tu z liberalno-lewicowego czasopisma wielkomiejskiego, żeby poznać ludzi z małych miasteczek, z peryferii zaniedbanych, które z powodu tego za-

niedbania głosują na PiS. No i widzę, że pan jest zaniedbany, no i pewnie też ubogi, jak to peryferie, więc chciałabym zapytać – dlaczego pan głosuje na PiS?
– Na PiS?
– No to na Konfederację – prawie płacze dziewczyna.
– Tu jest! – słyszysz nagle. – Tu się schował!
Zza rogu wyskakuje kilku gliniarzy i biegnie w twoją stronę, cholera, myślisz, czyżby Żabka rzeczywiście była częścią spisku, któremu na imię Polska? Zrywasz się, zostawiasz zaskoczoną dziennikarkę z jej dyktafonem nad porzuconymi przez ciebie otwartymi paczkami chipsów i biegniesz przed siebie. Na dworcu autobusowym wskakujesz w ostatniej chwili do luku bagażowego autobusu jadącego na Kraków. W Krakowie wypełzasz, ku zaskoczeniu statecznej ludności dawnego miasta stołecznego i jego gości, spomiędzy waliz, uśmiechasz się do wszystkich szeroko i udajesz się na dworzec, gdzie, już właściwie z nawyku, wsiadasz w szybki pociąg do Warszawy. Siadasz w Warszawie, zamawiasz żurek, flaczki i właściwie co tam mają, zamawiasz piwo za piwem, za resztę pieniędzy, która ci zostaje, placisz karę kanarowi za jazdę bez biletu, patrzysz, jak za oknem pociąg znów zanurza się w Otchłani Śródkowopolskiej i zamykasz oczy. Gdy się budzisz – stoi nad tobą kilku typów ze Straży Ochrony Kolei. No tak. Byłeś głupi i nie pomyślałeś, że PKP też jest częścią spisku. W Warszawie wywlekają cię z pociągu, żeby wezwać policję, ale ty lokalizujesz najsłabsze między nimi ogniwo, obłego wujka z wąsami i rozsznurowanymi butami, popychasz go, wujek się przewraca, a ty

Miało być w Polsce europejskie centrum odlotów, na szczęście jest Licheń – centrum odlotu

skaczesz w powstałą w ten sposób dziurę – i cóż. Znów. Tradycyjnie. Przed siebie. Wybiegasz pod Pałacem Kultury, przez chwilę tłumisz przerażenie, bo przez kilka pierwszych sekund myślałeś, że jesteś w Moskwie, po czym wskakujesz na elektryczną hulajnogę i gnasz przed siebie. Raz po gładkim, raz po kostce brukowej czy kamerdolcach, aż w końcu dojeżdżasz, zmęczony i padający już prawie z nóg, pod najdziwniejszy pomnik, jaki widziałeś w życiu. Czarne schody prowadzące donikąd. Stojące pośrodku upiornie pustego placu.
A ty już nie możesz. Ty już nie masz siły. Zdejmujesz z rączki hulajnogi czarną, gumową osłonkę. Wyciągasz z buta sznurówkę i przywiązujesz ją do tej rączki. Drugą końcówkę sznurówki wpychasz do swojego niewielkiego plecaka, którego przez ten cały czas udało ci się nie zgubić. Wchodzisz na te schody, podnosisz tę rączkę ze sznurówką do góry i krzyczysz, że zaraz się wysadzisz w powietrze.
I tak oto znalazłeś się w telewizji. ●

Arcybiskup Gądecki wyjaśnia Franciszkowi

Te skrajnie niedopuszczalne i niekatolickie tezy

Przy wszystkich swoich dobrych cechach liberalna demokracja nie jest z pewnością jedynym dobrym ustrojem

Abp Stanisław Gądecki

Rzym, 9 października 2023 roku

WASZA ŚWIĄTOBLIWOŚĆ,

w dzień rozpoczęcia Synodu otrzymałem mailem dokument zatytułowany „Decyzja Drogi Synodalnej Kościoła Katolickiego w Niemczech”. Punktem wyjścia do analizy sytuacji Kościoła katolickiego w tym kraju jest kryzys nadużyć seksualnych w niemieckim Kościele.

Autorzy wydają się tak zawstyżeni sposobem reakcji niemieckich biskupów na doniesienia o nadużyciach seksualnych ze strony duchownych, że postanawiają dokonać rewolucji obyczajowej i prawnej w Kościele powszechnym. Jednak wydaje się, że nie byłaby to rewolucja ewangeliczna, lecz raczej inspirowana ideologiami lewicowo-liberalnymi.

W „Instrumentum laboris” postawiono pytanie o stopień autorytetu doktrynalnego, jaki można przypisać rozeznaniu dokonywanemu przez pojedynczą konferencję episkopatu oraz przez zgromadzenie kontynentalne. Chodzi o to, czy mogą one być „pojmowane jako podmioty o konkretnych kompetencjach, łącznie z pewnym autentycznym autorytetem doktrynalnym”? Wydaje się, że poszukując odpowiedzi, nie można abstrahować od tego, co działo się w związku z ogłoszonym przez Waszą Świątobliwość procesem synodalnym, i co może mieć jawny lub ukryty wpływ na przebieg rzymskich sesji Synodu.

Trzy główne tematy, to zmiana ustroju Kościoła, zmiana nauczania na temat moralności seksualnej oraz udzielanie kobietom święceń diakonatu i prezbiteratu. Pierwsze jest warunkiem sine qua non realizacji kolejnych celów. W punkcie wyjścia przyjmuje się zasadę inkulturacji. Kościół powinien jak najbardziej upodobnić się do świata, który w swojej liberalno-demokratycznej wersji stanowi wzorzec humanizmu. Kościół rzeczywiście „docenia demokrację”, ale tylko wówczas, gdy ufundowana jest ona na gruncie poprawnej koncepcji osoby. Przypomina także, że „Ia-two przemienia się [ona] w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm” (CA 46). Pojawia się pytanie, gdzie faktycznie demokracja funkcjonuje w oparciu o poprawną koncepcję osoby ludzkiej, tzn. np. szanując prawo do życia każdego człowieka od momentu poczęcia do naturalnej śmierci? Ponadto przy wszystkich swoich dobrych cechach liberalna demokracja nie jest z pewnością jedynym dobrym ustrojem. Wystarczy przypomnieć sobie klasyfikację ustrojów politycznych dokonaną przez Arystotelesa.

Synodale Weg domaga się, aby Kościół przyjął za swój ustrój polityczny dominujący dzisiaj na Zachodzie, wraz ze wszystkimi zasadami działania demokratycznej biurokracji, poczynając od nadzoru świeckich nad duchowieństwem, transparentnością procesów podejmowania decyzji, uczestnictwem świeckich w obsadzaniu stanowisk kościelnych czy kadencyjnością sprawowania urzędów. Władza papieża i biskupów powinna być ograniczona i podlegać nadzorowi świeckich zorganizowanych w równoległą do hierarchicznej strukturę władzy.

Drugim tematem jest błogosławienie różnego typu związków niesakramentalnych, w tym związków osób jednej płci. Można postawić pytanie, po co błogosławieństwo ludziom żyjącym w grzechu? Udzielona odpowiedź jest stosunkowo prosta: ludzie ci sami zgłaszają się po błogosławieństwo, a poza tym – jak twierdzą autorzy dokumentu – ludzie ci nie żyją w grzechu śmiertelnym i nie są pozbawieni łaski. Grzechem natomiast jest nauczanie Kościoła, które jest odbierane nie tylko jako niemilosierne i dyskryminujące, ale wręcz – zdaniem autorów – czyni Kościół odpowiedzialnym za prześladowania i samobójstwa osób transgender. Kościółowi bowiem nie wolno negatywnie oceniać żadnego ludzkiego zachowania, które podejmowane jest w imię miłości. Miłość usprawiedliwia wszystko i czyni wszystko dobrym. Wszystko, co jest wyrazem auto-determinacji z zasady jest

dobre i za takie powinno być uznane przez Kościół. Uznanie zaś oznacza tu udzielenie błogosławieństwa. Za sprawą uzyskanego benedictio (a nie przez nawrócenie) ludzie chcą ustawić swoje życie w kierunku Boga, mimo iż ich działanie pozostaje sprzeczne z prawem Bożym.

Tradycyjnie w nauczaniu Kościoła relacje między ludźmi, włączając w to relacje seksualne, podlegały moralnemu wartościowaniu. Św. Augustyna wprowało w zdumienie, że nie tylko święci i oddani całym sercem Bogu kierują się w życiu miłością, ale czynią tak również zatwardziali grzesznicy. Wystarczy pomysleć o rabusiach grasujących na drogach, którzy raczej zniosą najcięższe tortury, niż wyjawia imiona swoich towarzyszy. „Nie byłiby do tego zdolni, gdy nie było w nich wielkiego uzdolnienia do miłości” (Facere tamen ista sine magno amore non poterunt).

Istnieją jednak dwa rodzaje miłości: „miłość Boża aż do pogardy siebie samego posunięta” i „miłość własna aż do pogardy Boga posunięta”. Miłość zatem nie wszystko usprawiedliwia i nie wszystko czyni dobrym. Zgodnie zaś z podejściem katolickim traktujemy z szacunkiem każdego człowieka, ale nie każdy ludzki wybór.

Autorzy dokumentu oczekują, że Kościół uzna za dobre i prowadzące do uświęcenia, obok małżeństwa sakramentalnego, także „wolne związki”, związki cywilne, związki partnerskie, związki osób jednej płci itp. Społeczna ich akceptacja – ich zdaniem – musi znaleźć wyraz w liturgii Kościoła. Słuchając tego, trzeba pamiętać, że, zgodnie z dynamiką tego procesu dostrzeganą w świeckim świecie, legalizacja związków partnerskich jest tylko pierwszym krokiem na drodze do „małżeństwa dla wszystkich”. Proponowane vacatio legis tzn. podjęcie decyzji dziś, a wprowadzenie jej w życie „dopiero” w marcu 2026 r. ma na celu osłabienie sprzeciwu ze strony wiernych. Zdaniem Synodale Weg całe nauczanie Kościoła na temat gender powinno być gruntownie zmienione, gdyż nie odpowiada samorozumieniu osób transgender. Zawiera jedynie – jak mówią – kościelne „insynuacje”. Żądanie obejmuje także reinterpretację Biblii, w tym Księgi Rodzaju 1,27.

Autorzy dokumentu wysuwają szereg praktycznych propozycji, poczynając od niezapisywania płci dziecka w metryce chrztu, możliwość zmiany imienia i płci w akcie chrztu, poprzez zapewnienie osobom transgender dostępu do sakramentów, w tym do kapłaństwa i do życia konsekrowanego, po obowiązek używania w Kościele niedyskryminującego języka i treningi dla duchownych, jak służyć osobom transgender. Wszystko w imię tzw. najnowszych osiągnięć nauk społecznych. Istnieje jednak ryzyko, że ustalenia naukowe, na które powołuje się Synodale Weg, są błędne, podobnie jak w przypadku innej popularnej niegdyś teorii rasizmu.

Gdyby konferencjom episkopatów bądź też zgromadzeniom kontynentalnym została udzielona kompetencja doktrynalna, powyższe tezy zostałyby uznane za katolickie i – być może – zostałyby narzucone innym konferencjom kontynentalnego zgromadzenia, pomimo ich ewidentnie niekatolickiego charakteru.

Jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski z synowskim oddaniem i szacunkiem wobec apostołskiego urzędu Następcy Św. Piotra, a jednocześnie z zaskokiem i smutkiem wobec decyzji Niemieckiej Drogi Synodalnej, pragnę zwrócić uwagę Ojca Świętego na te skrajnie niedopuszczalne i niekatolickie tezy Synodale Weg, ufając że depozyt apostołski, którego Stróżem i Powiernikiem jest Wasza Świątobliwość, pozostanie nienaruszony.

Świadomość siły, która tkwi w prawdzie, ożywia moją nadzieję wobec trwającego synodu, by nie był on w żaden sposób zmanipulowany i wykorzystany do autoryzacji niemieckich tez, otwarcie sprzecznych z nauczaniem Kościoła katolickiego.

Matce Kościoła życie i posługę Waszej Świątobliwości powierzam, zapewniając o modlitwie wiernych i pasterzy Kościoła, który jest w Polsce oraz proszę o apostołskie błogosławieństwo. ●

Z synowskim oddaniem,
+ Stanisław Gądecki, Arcybiskup Metropolita Poznański, Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski

Tytuł i lead od redakcji

Życzę powodzenia w przywracaniu monarchii

Porównywanie uczuć gejów czy lesbijek do bandyckiej lojalności względem siebie jest zwyczajnie podle i niegodne przyzwoitego człowieka, a co dopiero kapłana.

Magdalena Czyż

Arcybiskup Gądecki postanowił napisać list do papieża Franciszka. Wolno mu rzecz jasna. Byłby jednak uczciwszy, gdyby rozpoczął go od słów „uprzejmie donoszę...”, problem tego listu polega bowiem na tym, że przybrał formę donosu.

Ale nie forma mnie zniechęca do autora, chociaż już tylko ona byłaby wystarczająca, aby odwrócić się ze wstrętem. Treść listu jest po stokroć gorsza.

Gorsza nie dlatego nawet, że wyraźnie aż do bólu pokazuje rozjazd pomiędzy polskim hierarchą – zaryzykuję, że większością polskich hierarchów kościelnych – a procesami, które obserwujemy w Kościele w Europie.

Gorsza nie dlatego, że wyraźnie aż do bólu pokazuje albo cynizm, albo niezdolność autora do głębszego przemyślenia podstawowych pojęć z zakresu wiedzy o współczesnym państwie. Gądecki, uderzając w demokrację liberalną, powołuje się na Arystotelesa, który w swojej typologii systemów politycznych demokrację uznał za jeden z ustrojów zwyrodniałych. Przypominam, że ustawił ją w jednym rzędzie z tyranią i oligarchią, przeciwstawiając ją monarchii czy arystokracji.

Serio, księżo arcybiskupie?! Na takim poziomie chce ksiądz arcybiskup rozmawiać?! Życzę powodzenia w przywracaniu monarchii w Polsce!

Najgorsze też nie jest to, że ksiądz arcybiskup daje wyraz panicznego lęku przed współpracą ze świeckimi, przed transparentnością procesów decyzyjnych w parafiach, przed nadzorem świeckich nad duchowieństwem. Przypomnę tylko, co się działo w irlandzkich sierocinicach kierowanych przez katolickich duchownych, nad którymi nie było żadnej kontroli świeckich, co się działo w kanadyjskich szkołach katolickich, których kanadyjski episkopat też bronił przed oczyma świeckich.

Ile ludzkich tragedii udałooby się uniknąć, gdyby katolicy duchowni tacy jak arcybiskup Gądecki dopuścili do siebie myśl, że może nie zawsze zachowują się właściwie? Bo tak, księżo arcybiskupie, Kościół jest odpowiedzialny za prześladowania i samobójstwa osób LGBT+, tak jak jest odpowiedzialny za antyjudajizm, którego głoszenie z ambon przez wieki umożliwiło w końcu Zagładę.

To, czym najbardziej zasmuca list, to przedsoborowy ekskluzywizm i klerykalizm arcybiskupa. Jego treść stanowi kwintesencję polskiego katolickiego obskurantyzmu, przemilczając to, co w katolicyście piękniejsze, czyli przesłanie Ewangelii. Mało tego, wypaczając je!

Bo jak inaczej rozumieć zestawienie miłości ludzi o orientacji homoseksualnej z „miłością” wobec siebie „rabusiów grasujących na drogach”? Jak można nie chcieć zrozumieć, że geje czy lesbijki nie czynią nikomu krzywdy swoją miłością.

Porównywanie ich uczuć do bandyckiej lojalności względem siebie jest zwyczajnie podle i niegodne przyzwoitego człowieka, a co dopiero kapłana.

Oni nie czynią nikomu krzywdy, księżo arcybiskupie! Jedyne, czego pragną, to moc przyjść do kościoła w niedzielę, trzymając się za ręce i czując się w nim bezpiecznie, przekazać sobie i sąsiadom znak pokoju. Pokój nam wszystkim, księżo arcybiskupie! ●

Historia Kościoła żywiącego się poczuciem winy wierznych, zależnionego wizją, w której – na równi z kapłanami – oni decydowaliby o jego kształcie. Wbrew pozorom to nie jest książka antykościelna ani antyrelijjna.

„Babilon. Kryminalna historia Kościoła” Artura Nowaka i Stanisława Obirka na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Z **MICHAŁEM BILEWICZEM**, PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM, SOCJOLOGIEM, KIEROWNIKIEM CENTRUM BADAŃ NAD UPRZEDZENIAMI UW, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Da się zakopać topór wojenny w języku polskiej debaty publicznej?

– Dynamika mediów społecznościowych, związane z tym globalne procesy, w których wszyscy uczestniczymy, każałyby sądzić, że to niemożliwe. Przecież algorytmy X, czyli Twitera, czy Facebooka premiuje język bardzo silnie nacechowany emocjami. Ale nie tylko algorytmy. Również zachowania samych użytkowników mediów społecznościowych rządzą się tymi prawami. Z badań przeprowadzonych przez amerykańskiego psychologa Williama Brady’ego wynika, że użycie w tweecie słów pełnych moralnego oburzenia, odnoszących się do emocji zwiększa o przynajmniej 20 proc. szansę, że ktoś poda go dalej. W efekcie rozprzestrzenia się niczym epidemia.

Zespołowi naszego Centrum udało się pokazać coś podobnego, gdy badaliśmy mowę nienawiści wobec przedstawicieli różnych mniejszości, grup etnicznych czy narodowych. Ona również rozchodzi się w sieci w sposób epidemiczny.

Ten proces wydaje się jednostronny i nie widzę specjalnie szans, by udało się go zatrzymać. Wymagałoby to aktywnego zaangażowania podmiotów, które – jak dotąd – nie wykazały się determinacją. Może sposobem jest, i stara się to obecnie robić Unia Europejska, wprowadzanie regulacji nakładających znacznie większą odpowiedzialność prawną za publikowane treści na samych dostawców mediów społecznościowych? Obowiązujące w Niemczech prawo, tzw. Facebook-Gesetz, obliuguje cyberkorporacje do moderowania treści. Gdy ktoś obrazi kogoś na tle rasowym czy etnicznym albo umieści nazistowskie symbole, winny jest także kanał komunikacji, jego właściciel. Ma tydzień na usunięcie albo płaci karę do 50 milionów euro.

Nie ma się jednak co oszukiwać, dynamika mediów społecznościowych jest nieubłagana. Będą prowadzić do coraz większej polaryzacji, również polaryzacji afektywnej, czyli coraz większych emocji między członkami rywalizujących ze sobą, reprezentujących inne wartości obozów.

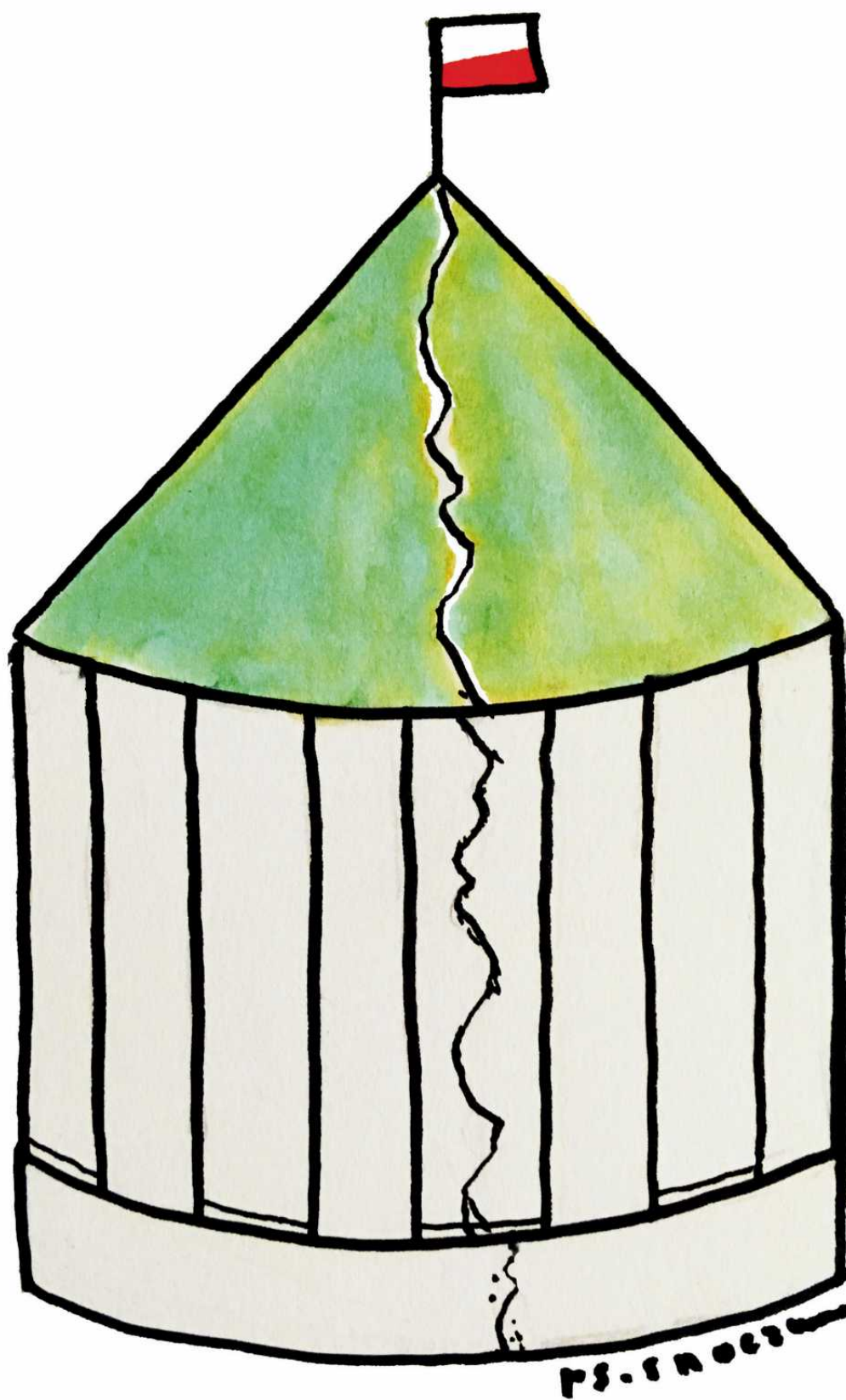
Natomiast to, co ostatnio wydarzyło się w Polsce, wydaje mi się na tym tle bardzo ciekawe.

Dlaczego?

– O tym, kto obejmie władzę w Polsce, zdecydowali w jakiejś mierze ci obywatele, którzy na co dzień nie są silnie upolitycznieni, nie stanowią tak twardego jądra obozu demokratycznego jak znana w sieci grupa Silni Razem, która domaga się zdecydowanych działań odwetowych wobec przedstawicieli PiS-u.

Po reakcjach na pierwsze działania i wypowiedzi nowego marszałka Sejmu widać, że bardzo wielu Polakom podoba się ton Szymona Hołowni i to, że szuka on sposobu na odbudowanie wspólnoty. Przyglądając się temu, pomyślałem o komunitaryzmie, pojęciu dość modnym wśród teoretyków polityki mniej więcej dwie dekady temu, a dziś mocno zapomnianym. Chodzi tu o rodzaj my-

RUSZA POPYT



NA MNIEJSZĄ NIENAWIŚĆ

**Kampania wyborcza PiS-u
była skrojona pod potrzeby jakiejś Korei Północnej,
gdzie obywatele nie znają świata, nie podróżują**

ślenia w kategoriach wspólnotowych. Wiem, że przez osiem ostatnich lat wielu z nas brakowało praw i wolności jednostki, że te dążenia były przez władzę tłumione, ale być może jesteśmy dziś w nieco innym miejscu? Może chodzi o coś większego, właśnie wspólnego i wspólnotowego, ponad podziałami?

Czyli duża grupa obywateli poszła oddać głos, bo nie mogli już znieść nienawiści, hejtu, które zdominowały nie tylko kampanię wyborczą, ale też ostatnie lata życia w Polsce? Również stąd ta wysoka frekwencja?

– Zapewne tak właśnie było i być może chodziło nie tylko o tę agresję, którą dało się zauważyć w wymierzonych w przeciwników działaniach polityków, ale też o tę, której ofiarami byli zwykli ludzie, obywatele.

Nasi studenci przez wiele dni oglądali TVP, systematycznie kodując treści programów informacyjnych i publicystycznych. Co chyba mało zaskakujące, nasz nadawca publiczny nie realizuje ustawowych zadań, ale również publikuje treści nacechowane nienawiścią wobec różnych grup mniejszościowych. Jednak skala nadawanego przez TVP hejtu nawet nas, badaczy, wprawiła w zdumienie. W 71 proc. obejrzanych przez studentów programów pojawiły się wypowiedzi nacechowane nienawiścią wobec uchodźców; niemal połowa programów zawierała treści antyniemieckie. Te drugie miały naturalnie bezpośredni związek z kolejnymi atakami TVP na Donalda Tuska.

Atakami nie samodzielnymi, tylko będącymi efektem decyzji podejmowanych w centrali partyjnej...

– Tak, ale ofiarami tych działań byli również, a być może przede wszystkim, przedstawiciele mniejszości niemieckiej. Praktycznie codziennie mogli usłyszeć, że Niemcy są wrogo nastawieni wobec reszty obywateli, że ich interesy są niezgodne z interesami Polski. Jak poczuło się chodzące do polskiej szkoły dziecko niemieckiego pochodzenia, gdy codziennie słyszało w telewizji, że stanowi zagrożenie?

Ta nienawiść wobec grup mniejszościowych wzrastała z każdym kolejnym tygodniem kampanii. Prawdziwa eksplozja miała miejsce na początku października i trwała do końca, do samej ciszy wyborczej. Dzień w dzień TVP bombardowała odbiorców językiem antyuchodźczym, antyimigranckim i antyniemieckim. Programy epatowały nas obrazami gwałtów zbiorowych, zamieszek, zamachów. Powróciło też straszenie chorobami roznoszonymi rzekomo przez imigrantów. Do tego oczywiście przypomnienie o zbrodniach niemieckich, które miałyby się powtórzyć, gdy tylko wyborca odda głos na opozycję...

Myślę, że dla niezdecydowanego, niekoniecznie jednoznacznie zdeklarowanego politycznie wyborcy ta sytuacja mogła mieć znaczenie motywujące, mogła skłonić go do pójścia do lokalu i oddania głosu przeciw zalewowi hejtu; za inną, bardziej wspólnotową polityką. Dlaczego tak myślę? Bo widzimy wyraźnie w badaniach, że Polacy się zmieniają, że jako społeczeństwo stajemy się coraz bardziej otwarci i tolerancyjni. I to

ILUSTRACJA PATRYK SRODZYŃSKI

właśnie wydaje mi się najciekaw- szym paradoksem ostatniej kam- panii wyborczej – PiS ją przestrze- lił. W Polsce od lat następuje zde- cydowana poprawa i wzrost ak- ceptacji imigrantów. Więcej, z ba- dań porównawczych przeprowa- dzonych przez Sabinę Toruńczyk jasno wynika, że zostawiamy pod tym względem w tyle inne kra- je naszego regionu. Trudno się te- mu dziwić, na co dzień spotyka- my – i już nie tylko w największych miastach – ludzi z różnych czę- ści świata, którzy pracują nie tylko w usługach, którzy stali się naszymi sąsiadami i których nie wytyka się już palcami na ulicach.

Bo gdy na co dzień mamy kon- takt z osobami o innym kolorze skóry, to czy możemy jeszcze dać wiarę, że zaatakują nas hordy nie- wiernych, które będą bić, gwałcić i mordować? Skoro tak, to dlacze- go korzystamy z usług taksówko- wych, wsiadamy do samochodów prowadzonych przez osoby o wy- bitnie niepolskich imionach?

Ci, którymi nas straszono w ostatnich latach, w rzeczy- wistości powoli stają się współ- obywatelami.

– Tak, a nasze dzieci czy wnuki będą miały lub już mają w szkole koleżan- ki i kolegów, którzy są dziećmi tych osób. To samo dotyczy Ukraińców.

Dlatego te lęki, które prawi- ca próbowała w nas wyzwolić, nie padły już na podatny grunt. Tu zaszła niezwykle istotna zmiana w porównaniu z 2015 rokiem, gdy właśnie gra tą kartą bardzo pomo- gla PiS-owi w dojściu do władzy.

Kampania wyborcza PiS-u była skrojona pod potrzeby nie współ- czesnej Polski, ale jakiejś Korei Północnej, gdzie obywatele ży- ją w homogenicznym społeczeń- stwie, ale też nie znają świata, nie podróżują.

Nie bez powodu protesty bardzo często – i tak było też w PRL-u – wybuchają w miastach portowych, których mieszkańcy mają kontakt ze światem, nie dzi- wi też fakt, że wydarzenia Mar- ca '68 były możliwe po tym, jak polscy studenci zaczęli podróżo- wać i mieli porównanie z tym, jak żyje się na Zachodzie. A prze- ciież dziś mamy granice otwar- te na oścież. Nie żyjemy w izolacji, to niemożliwe w dobie Unii Euro- pejskiej – i dlatego ta propaganda oparta na strachu i ksenofobii oka- zała się nieskuteczna.

To nierozpoznanie przez PiS emocji i oczekiwań społecznych jest więcej niż fascynujące, gdy wie się, że partia żegnająca się właśnie z władzą miała nieograniczony dostęp do pieniędzy i badań opinii.

– Nie ukrywam, że bardzo mnie to zaskoczyło. Pozostałe partie mo- gły jedynie marzyć o budżecie, ja- kim w tej kampanii dysponował PiS, a wszystkie badania musiały zama- wiać na zasadach komercyjnych. Tymczasem dotychczasowa władza w ogóle nie ukrywała, a wręcz otwar- cie przyznawała, że przekształciła Rządowe Centrum Analiz w insty- tucję, która zamiast prowadzić po- miary w celu sprawdzenia efektyw- ności polityk publicznych, skupiała się na badaniu emocji panujących wśród elektoratu i szans PiS-u na trzecią kadencję. Dyrektor RCA po wyborach przyznał, że wysyłał do władz PiS-u alerty, że porażka wy- borcza jest możliwa. W ten sposób sam przyznał, że rządowa instytu-

cja, którą kierował, została zamie- niona w wielką partyjną sondażow- nię. I niesamowity pozostaje fakt, że dysponując takimi narzędziami, PiS nie był w stanie wyczuć zmiany spo- łecznej, do której doszło w Polsce.

Oczekiwania wobec nowej władzy są ogromne. Słuchaleś wystąpienia Szymona Hołowni tuż po tym, jak został wybrany na marszałka i drugą osobę w państwie?

– Już sam ten moment, gdy opo- zycja wygrała głosowanie i jej kandy- dat – zresztą przy wsparciu Konfede- racji – triumfował, był dla mnie bar- dzo wzruszający. Miałem poczucie, że skończyła się ośmioletnia smu- ta. Wystąpienie Hołowni było zna- komite, od razu pokazał, jak może wyglądać realizacja postulatu zmia- ny języka debaty publicznej. Ogrom- ne znaczenie miała też z pewnością decyzja o rozmontowaniu barierek przed Sejmem.

To zresztą bardzo ciekawy przykład. Jan-Werner Müller, nie- miecki historyk i politolog, pi- sał, że esencją populizmu jest bu- dowanie opozycji między elita- mi a ludem. I PiS siedł po wła- dzę w 2015 roku, dopominając się o lud, o słynnego suwerena, je- go rolę, pozycję i prawa. A co zro- bił zaraz potem? Odgrodził się od niego barierkami, odciął Sejm od obywateli i zamienił w twier- dzę. Stał się więc przez to niewia- rygodny, zaprzeczył własnym sło- wom. A teraz Hołownia zrobił coś przeciwnego – i nazwałbym to po- pulizmem pozytywnym, bo prze- ciież odpowiedział w ten sposób na żądania obywateli, którzy do- magali się rozmontowania barie- rek i sami zresztą przystąpili do działania, zanim jeszcze marszał- lek oficjalnie poinformował o pod- jęciu decyzji.

Hołownia zapowiada, że Sejm będzie otwarty dla obywateli, że marszałek będzie się z nimi spotykał, prowadził podcast, podróżował po Polsce. Mocno też rozsierdził działaczy PiS-u, którzy od pierwszego dnia pierwszego posiedzenia przy- stąpili do ataku i z pewnością nie zamierzają posłuchać apeli o stosowanie języka, który łączy, a nie dzieli.

– PiS okazał się bezradny wobec te- go, co wydarzyło się w Sejmie, bo cała jego kampania była zbudowa- na na polaryzacji i próbie wyelimi- nowania mniejszych partii.

Z którymi zresztą chciałby stwo- rzyć rząd tzw. koalicji polskich spraw. Trudno doszukać się tu jakiegokolwiek logiki.

– PiS-owi z pewnością zabierze tro- chę czasu dostosowanie się do no- wych realiów i standardów, zrozu- mienie, że doszło do zmiany warun- ków gry. Ale może kiedyś uzna, że warto zrezygnować z języka kon- frontacji?

Na razie jedynie zaostrza kurs.

– Ale nie ma pewności, że to cokol- wiek da. Jarosław Kaczyński i An- toni Macierewicz mówią, że mamy do czynienia z próbą likwidacji pań- stwa polskiego. To jest ekstremum. Wyborcy opozycji demokratycznej, czyli większość z tych 75 proc. Po- laków, którzy wzięli udział w gło- sowaniu, mieliby chcieć upadku lub wchłonięcia naszego kraju przez ja- kieś zewnętrzne siły?

Po co Kaczyński i Maciere- wicz mówią takie rzeczy? Myślę,

że chodzi przede wszystkim o kon- solidację ich środowiska, tak jak miało to miejsce po 10 kwietnia 2010 roku. To budowa twardego rdzenia, dzięki któremu PiS w ogó- le będzie miał szansę przetrwać ja- ko opozycja.

Kłęska PiS-u wyzwala też u nie- których nadzieję na rewanz – by nie używać tu słowa „zemsta”. Nielatwo też pewnie będzie niektórym zwolennikom nowej władzy od razu zmienić sposób myślenia i wypowiadania się o przeciwnikach. W „Wybor- czej” przeczytałem niedawno artykuł, którego autor pisał o „ludzie pisowskim” i o „małpo- ludziej czeredzie”.

– To był straszny tekst. Sformuło- wania szczególnie zdumiewające w ustach dyplomaty.

Wśród zwolenników opozycji demokratycznej nie brakuje osób, które wypowiadają się o zwolennikach PiS-u – o zwy- kłych ludziach, nie o politykach – w sposób prawdziwie pogar- dliwy. I to nie zaczęło się w 2020 roku po Strajku Kobiet, nie za- częło się nawet po zwycięstwie partii Kaczyńskiego w 2015 ro- ku. Znacznie wcześniej pojawiły się „moherowe berety”, „nieuki” itd. To realny problem, którego nie można nie zauważać. Da się te emocje jeszcze jakoś zatrzy- mać?

– Wydaje mi się, że teraz będzie, szczęśliwie, mniejszy popyt na te- go typu język. On jest typowy dla formacji przegranych, co pamięta-

lennicy opozycji demokratycznej. On wynikał w dużej mierze z nie- mocy, z braku możliwości reak- cji na takie sytuacje jak reasump- cja czy anulowanie głosowania przez marszałkinię Elżbietę Wi- tek, na jawne łamanie prawa nie tylko w Sejmie. Coś takiego, przy- glądanie się tego typu działaniom przez blisko dekadę musiało ro- dzić frustrację, która ujęście znaj- dowała w języku. Maciej Gdula na- pisał ostatnio, że najbardziej za- zdrości posłom X kadencji tego, że ich głos będzie miał jakieś zna- czenie. Bo co mogli robić on i wie- lu jego kolegów w Sejmie całko- wicie zdominowanym i przeję- tym przez PiS? Składać interpela- cje, przemówić, o ile nie zdecydo- wano, że dyskusji nie będzie, prze- prowadzać kontrole poselskie. Nic więcej, żadnego wpływu na rze- czywistość. To była kolosalna bez- radność, która udzieliła się wielu przeciwnikom PiS-u. Ci ludzie czu- li się poniżani, dociskani każdego dnia, a to prowadziło do wzrostu liczby nienawistnych wypowiedzi, do pojawiania się kolejnych teorii spiskowych. Ze zdumieniem przy- jąłem swego czasu opublikowany przez „Wyborczą” wywiad z gene- rałem Pytlem, który przedstawiał niezwykle wyrafinowane tezy na temat rosyjskich wpływów w rzą- dzie i w armii. Było to dla mnie po- rażające, ale też jednocześnie zro- zumiałe. Na własne oczy mogli- śmy zobaczyć, jak bezradność kar- mi teorie spiskowe.

Myślę, że ludzie wybrali no- wy parlament także w poczuciu, że już dłużej tego nie chcą, i ufam,

PiS-owi zabierze trochę czasu zrozumienie, że doszło do zmiany warunków gry



my doskonale z USA po kłęsce Trum- pa. To wtedy triumfowali zwolenni- cy QAnon i wtedy odnotowano naj- większe zainteresowanie teoriami spiskowymi.

PiS-owi to się teraz nie uda?

– Nie wybrzmiały jak dotąd słowa o „skradzionym zwycięstwie”, choć słyszeliśmy zapowiedzi, że mogą się pojawić. Powiem to raz jeszcze – PiS nie traci władzy o włos. I przed wy- borami nie grzmiał, że mogą one zostać skradzione, przeciwnie, był przekonany o zwycięstwie, niektó- rzy politycy zapewniali, że trzecia kadencja to oczywistość.

Owszem, PiS zdobył najwię- cej głosów, ale został na scenie po- litycznej sam, bez jakichkolwiek koalicjantów. Ludzie to widzą, wbrew temu, co mówią Kaczyński czy Morawiecki, wiedzą też dosko- nale, że partia ta zrobiła wszystko, by nie mieć jakichkolwiek sojuszników. To naturalnie nie oznacza, że ewentualne teorie spiskowe nie trafiają na podatny grunt, pytanie raczej, jak nowa władza będzie je rozbrajać i czy robi to wystarcza- jąco umiejętnie.

Wracając do języka pogardy, którym posługiwali się lub nadal jeszcze posługują niektórzy zwo-

że większość nie ma już zapotrze- bowania na język agresji, na dal- sze sianie zniszczenia w przestrze- ni publicznej.

Ale są przecież sympatycy PiS-u, blisko 37 proc. tych, którzy od- dali głos. Mechanizm, o którym wspomnialeś, może się urucho- mić – i zapewne się uruchomi – u części z nich. Partia, którą popierają, już pierwszego dnia nowej kadencji Sejmu spekta- kularnie przegrała kluczowe głosowania, utraciła wpływ na parlamentarną rzeczywistość. – Namawiam wszystkich, żeby roz- mawiać. Spokojnie, bez inwektyw – i z tymi, do których nam daleko, i z tymi, którzy wyznają te same po- glądy, ale sięgają po język pogardy i nienawiści. Eksperymenty, które przeprowadzaliśmy w ostatnich la- tach, jasno pokazują, że próby nakło- nienia do refleksji, skonfrontowania się z rzeczywistością i przyjęcie jej mają sens. Innymi słowy – by poroz- umentnie, choćby na podstawowym poziomie, było możliwe, trzeba opu- ścić bezpieczną przestrzeń własnej bańki. To się nie uda, gdy tworzy się anonimowe komentarze w sieci, gdy unika się podania ręki czy pokaza- nia twarzy.

Gdyby nowa władza poprosiła wasz zespół o poradę, co zrobić, by zmienić język i klimat debaty publicznej, co byś zasugerował?

– Od wielu lat profesor Janusz Rey- kowski namawia do przyjęcia w Pol- sce w znacznie większym stopniu zaleceń demokracji deliberatyw- nej, czyli takiej, w której ludzie w ra- mach oddolnych dyskusji i negocja- cji wypracowują postępy w różnych dziedzinach życia. To zakłada także – a tego PiS przez osiem lat w ogóle nie chciał – zwiększenie roli opo- zycji, doprowadzenie do sytuacji, gdy w parlamencie będzie ona w znacz- nie większym stopniu uczestniczy- ła w podejmowaniu decyzji. Co da- lej? Z pewnością włączenie w pro- ces dyskusji i podejmowania decyzji przedstawicieli organizacji pozarzą- dowych, także tych, które masowo powoływał PiS. Odchodząca władza nie dbała o to, wiemy, jak wygląda- ły konsultacje społeczne, ile dawa- no na nie czasu.

Dla przeciętnego obywatela na- prawa tych standardów może się okazać znacznie bardziej istotna od myśli o zemście czy rewanzu. Polacy chcą przestrzegania pra- wa, ale chcą również mieć wpływ na jego stanowienie. Dziś ten ar- gument wydaje się czymś radykal- nym, co tylko pokazuje, jak bardzo PiS zdemolował zasady gry.

I rządzący, i ci, którzy głosowa- li na Koalicję Obywatelską, Trzecią Drogę czy Lewicę, także ci, którzy poparli Konfederację – wszyscy muszą pamiętać, że PiS nie znik- nie w najbliższych tygodniach, a jego wyborcy to istotna część społeczeństwa. Ta partia zdoby- ła największe poparcie, ma 196 po- słów w Sejmie. Jej elektorat będzie się być może powoli wykruszał, zapewne wielu nie spodoba się ra- dykalny kurs obrany przez Ka- czyńskiego. Ale to w żadnej mie- rze nie oznacza, że ci, którzy po- parli PiS, nagle w istotny sposób zmienią poglądy. Nadal w wielu kwestiach – choćby imigrantów czy praw kobiet – będą mieć zda- nie odmienne. A przecież nie ma- my wyjścia, musimy żyć w jednym kraju, czy nam się to podoba, czy nie; tworzymy wspólnotę, która wymaga naprawy.

Badania Pauliny Górskiej sprzed pięciu lat pokazały coś, z czego wielu z nas nie zdawało sobie sprawy. Otóż poziom dehu- manizacji PiS-u i jego zwolenni- ków przez wyborców Koalicji Oby- watelskiej był większy od pozio- mu dehumanizacji wyborców KO głoszonej przez PiS i jego sympaty- ków. W takich właśnie realiach ży- liśmy przez blisko dekadę.

Sytuacja, w której opozycja demokratyczna odniosła wiel- kie zwycięstwo, sprzyja zmianie tych zachowań i standardów. Czas w końcu zrozumieć, że uprzedze- nia, fobie i nienawiść niczego do- brego Polsce i polskiemu społe- czeństwu nie przyniosły. A wyglą- da dziś na to, że społeczeństwo oczekuje od polityków czegoś in- nego niż odwetu. ●

W lutym ukaże się książka Michała Bilewicza **„Traumaland”**, poświę- cona psychologicznym problemom Polaków i ich historycznym źró- dłom.

NA POCZĄTKU BYŁ PASKOWY

Wieczorem pochłaniam programy informacyjne.
Trawię to wszystko. Rano wychodzi z tego obrazek

Z RYSOWNIKIEM **ANDRZEJEM MILEWSKIM**, AUTOREM RUBRYKI „ANDRZEJ RYSUJE”, ROZMAWIAŁ **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

Przed naszymi wyborami prestiżowy „The Economist” zamieścił twój rysunek. Portyk antycznej świątyni, fronton z napisem „Demokracja” opiera się na trzech kolumnach. Dwie z napisami „2015” i „2019” zniszczone, facet w garniturze i z młotem w dłoniach szykuje się, by zniszczyć ostatnią, z napisem „2023”...

– Na szczęście chybił. Ten rysunek wywołał sporą dyskusję na forum tygodnika. Ludzie oburzali się, że gdy wyborów nie wygrywa opcja, którą rzekomo popiera „The Economist”, to redakcja pisze o zagrożeniu dla demokracji. Podobne teksty czytałem też na moich socjalach, że przecież w Polsce odbywają się wybory, więc demokracja ma się dobrze.

Stara śpiewka.

– Byłem na wakacjach, nie za bardzo miałem czas, by im odpowiadać. Ale gdybym miał odpowiedzieć na ten zarzut, tobym powiedział, że sam akt wyborczy nie świadczy o demokracji. Bo gdyby tak było, musielibyśmy mówić, że demokracja ma się dobrze na Białorusi i w Rosji. Demokrację budują też wolne sądy i media, a PiS jedno i drugie próbował zaościć. Czy ludzie, którzy komentowali, mają taką krótką pamięć i nie wiedzą, że PiS próbował z TVN zrobić drugie TVP? Gdyby mu się to udało, gdyby nie protesty w Polsce, gdyby nie Amerykanie, mielibyśmy w Polsce dwa razy TVP i Polsat, gdzie przed wyborami zdjęto z anteny kabarety, bo żartowały z władzy.

Zaraz, zaraz, podczas wyborów byłeś na wakacjach? Nie głosowałeś?

– Głosowałem w Sewilli. Jechaliśmy z zachodniego wybrzeża Hiszpanii. Dochodziły do nas informacje o gigantycznych kolejkach przed konsulatami. W Barcelonie trzeba było stać bite sześć godzin. Byłem przygotowany na to, że żona pójdzie z dziećmi zwiedzać miasto, a ja będę w kolejce trzymać dla niej miejsce. I wtedy samochód się zepsuł. A najbliższa wypożyczalnia otwierała się w poniedziałek... Nie poddałem się. W życiu nie opuściłem wyborów. Zacząłem szukać innych wypożyczalni, znalazłem taką przy lotnisku, oddaloną godzinę drogi od nas. Pojechałem po auto taksówką. A w Sewilli kolejki już nie było. Dużo ludzi przyszło rano, potem tłum się rozładował. Udało nam się pokonać PiS i jeszcze zwiedzić Sewillę.

Opublikowaliście wiele rysunków wzywających do udziału w wyborach. Jeden pokazywał niemądrego

człowieka, który nie ma co na siebie włożyć, nie ma co oglądać w TV i nie ma na kogo głosować. Niegłosującym nie odpuszczaliście.

– Opublikowałem rekordową liczbę rysunków profrekwencyjnych. Lepszego systemu niż demokracja nie wymyślono. Potrafię zrozumieć ludzi, którzy mówili, że nie chcą głosować na mniejsze zło albo że żadna partia ich nie reprezentuje. Ale przecież te wybory sprowadzały się do tego, czy Polska ma kontynuować wycieczkę na Wschód, czy też wrócić do Europy.

Jak ludzie komentowali te prace?

– Metafora się udała, trafiłem. Było sporo dyskusji, do większości przekaz trafił. Mam nadzieję, że chociaż parę osób przekonałem do głosowania i jakoś przyczyniłem się do tej rekordowej 74-procentowej frekwencji. To, że zagłosowało trzy czwarte Polaków, to wielkie osiągnięcie. Ludziom, którzy stali godzinami w kolejkach przed komisjami, poświęciłem specjalny rysunek.

Nie nachodzi cię myśl, że jako satyryk przekraczałeś granicę, za którą był już polityczny aktywizm?



– Podział w Polsce jest tak głęboki, że wszystko można uznać za działalność polityczną. Ale przecież wzywanie ludzi, by skorzystali ze swoich praw i poszli na wybory, nie oznacza, że stałem się politykiem. Zastanawiałem się, czy nie zrobić rysunku, który wzywałby do głosowania na którąś z trzech partii demokratycznych. Ale nie zrobiłem tego, by uniknąć politycznych skojarzeń.

Przeglądałem twoje rysunki sprzed dekady, z czasów, gdy PiS był w opozycji. Już wtedy kpiliś z Kościoła, z przaśnie pojmnowanego patriotyzmu, Jarosława Kaczyńskiego...

– O, sięgnąłeś do prehistorii. Na stronie w internecie, gdzie publikuję wszystkie rysunki, rzadko kto zapuszcza się tak głę-

boko. Prawicowcy często zarzucają mnie pytaniami: „Gdzie byłeś, jak za rządów Platformy Obywatelskiej ABW wchodziła do »Wprost«?”. Albo: „Gdy ABW weszła o szóstej rano do Antykomora?” [internauty, który zrobił grę komputerową, w której strzelało się do prezydenta Bronisława Komorowskiego]. A gdyby chciało im się pogrzebać w moim archiwum, znaleźliby rysunki, w których o tym właśnie była mowa. Mam czyste sumienie.

Ale ja nie byłem przeciwko patriotyzmowi. Byłem przeciwko tej nacjonalistycznej tromtadacji niektórych polityków. Patriotyzm u nas mieszał się ludzom z nacjonalizmem. To było niebezpieczne. Mam wrażenie, że na szczęście nasza liberalno-lewicowa bańka dostrzegła, że patriotyzm to coś więcej niż sprzątanie kup po psie i płacenie podatków. Że podjęto próbę odwojowania biało-czerwonej flagi. Bo prawica wcale jej nie zawłaszczyła. To lewica i liberalowie ją po prostu jej oddali.

A czym cię wtedy drażnił Kościół?

– Kościół od zarania prasy jest po prostu bardzo dobrym tematem dla satyry. Kościół i władza, ci silni, którzy zarządzają świat.

trekowałem ludzi stojących w kolejkach do okienek. Szukałem swojego miejsca. Znalazłem je w redakcji TVN 24, gdzie przez osiem godzin dziennie słuchałem polityki. To było takie natężenie absurdu, że odreagowałem, uciekając w rysunkowe żarty...

Co robiłeś w TVN 24?

– Byłem paskowym.

Oj, ta praca źle mi się kojarzy.

– W przeciwieństwie do pracy paskowych w TVP Info to była ciężka, wymagająca robota. Tysiące informacji, setki dźwięków, które każdego dnia trzeba pochłoniąć i przetworzyć. Praca w szczególnie trudnych warunkach. A do tego, jeśli po siedmiu godzinach zrobiło się choć jedną literówkę w pasku, to wszyscy od razu to zauważali i cała dobra robota szła jak krew w piach. W tekście można literówkę poprawić, w telewizji błędu nie da się cofnąć, ludzie się z ciebie śmieją. Jedno potknięcie czy jeden błąd gramatyczny w tekście skreślają cały komunikat.

Jak na artystę, który zaczynał od rysowania posagów z muzeum, twój obecny styl jest bardzo minimalistyczny.

– Wychodzę z założenia, że im mniej, tym lepiej. Kiedyś było mniej, teraz dodaję więcej elementów, ostatnio nawet cienie, co kiedyś uważałem wręcz za rozpasanie. Prostota wynika z tego, że codziennie do narysowania jest kilka wydarzeń. Gdybym miał każdy rysunek cyzelować, to siedziałbym nad każdym z kilka godzin. A tak szybko szkicuję kilka propozycji, wysyłam je do akceptu, a potem wykańczam.

Dla „Wyborczej” rysujesz od dziesięciu lat. Kto jeszcze u ciebie poza nami zamawia prace?

– Czasami „Economist”, czasami polskie media. Robię też rysunki reklamowe dla znanych marek. Mam sporo obserwujących w social mediach. Dziesięć lat temu, gdy zaczynałem współpracę z „Wyborczą”, miałem na Facebooku 30 tys. fanów. To tylu ludzi, ilu mieszka w Wołominie. Dziś na Fejsie, Insta i Twitterze mam już ponad milion.

A da się w Polsce z rysowania wyżyć?

– To trochę jak z aktorstwem. Kiepskiemu aktorowi trudno, dobremu jak najbardziej.

Skąd bierzesz pomysły na rysunki? Z sociali? Rozmawiasz z ludźmi w Żabce?

– Z ludźmi z kolejki w Żabce jeszcze o rysunkach nie rozmawiałem. Ale inspirują mnie moi znajomi. Mówią, o czym rozmawiają, na co zwracają uwagę, co u nich wywołuje emocje. Codziennie czytam, o czym dyskutuje się na X, dawnym Twitterze. Wieczorem pochłaniam programy informacyjne.

FOT. KATARZYNA MILEWSKA



ne. Trawię to wszystko, w nocy to się jakoś w głowie układa. Rano biorę się do roboty, wychodzi z tego obrazek.

A papierowe wydania gazet? Czytasz je jeszcze?

– No pewnie. Bardzo lubię papier, jestem dinozaurem. W ogóle pracuję na papierze. Rysuję ołówkiem i markerem na kartce. Potem to wrzucam na komputer i dodaję kolor. Jestem zawieszony między rysunkiem analogowym a cyfrowym.

Wrzucasz na komputer, czyli skanujesz?

– Już nie. Aparaty w komórkach są już na tyle dobre, że wystarczy zrobić zdjęcie kartki i ma się obrazek w dobrej rozdzielczości. Ale pamiętam czasy, gdy na waka-

cje brałem komputer i skaner oraz kredki. Ale rysowania piórkami na tablecie jakoś nie mogę sobie wyobrazić. Ja jestem jak pisarz, który pisze na maszynie. Odmawiam poddania się całkowitej digitalizacji.

Ale dlaczego? Przecież tak jest wygodniej.

– Po prostu lubię papier. Dotyk, szelest. To przyjemne fizyczne doświadczenie, tak jak rysowanie ołówkiem czy markerem na kartce jest bardziej fizyczne, namacalne. Daje więcej bodźców.

Wiele się mówi, że papier w końcu umrze.

– Nie wierzę w to. Ale na pewno zmieni się jego sposób użytkowania. Gdy rozwijała się telewizja, ludzie zastanawiali się, czy

■
MOIM ZBIOROWYM BOHATEREM JEST TVP INFO, KTÓRA OBECNIE BRONI WOLNOŚCI SŁOWA. NO I NIEUSTANNIE ANDRZEJ DUDA

radio ma jeszcze jakąś przyszłość. I jakoś radio ma się dobrze, choć ludzie korzystają z niego inaczej. Papierowe wydania będą drukowane w mniejszych nakładach, ale przetrwają. A gdyby doszło do jakiegoś wielkiego wybuchu na Słońcu, który zniszczyłby cały sprzęt elektroniczny na Ziemi, to ludzkość będzie zmuszona cofnąć się do epoki analogowej. Na taką ewentualność warto ciągle utrzymywać papier.

Poprzedzamy archiwum twoich prac. Rok 2015. Zaczynają się rządy PiS. U ciebie nic nie wskazuje na to, że w Polsce zaczyna się katastrofa.

– Nikt się nie spodziewał armagedonu. Należałem do sporej wówczas grupy ludzi, która miała duże obawy, ale wierzyła, że może nie będzie tak źle. „Poczekajmy” – mówiliśmy sobie. I okazało się w końcu, że mogło być o wiele gorzej. Bo gdyby Polacy teraz się nie zmobilizowali, to nasz kraj uległby totalnej orbanizacji. A to byłaby tragedia.

Na koniec 2016 r. narysowałeś dużego Kaczyńskiego, który symbolizował rok, który się kończył, i trzech mniejszych Kaczyńskich, czyli to, co nas jeszcze miało czekać. Ale w sumie PiS rządził nie cztery lata, ale osiem.

– Tego też się nikt nie spodziewał. I dlatego trzeba wyciągnąć wnioski, szczególnie jeśli chodzi o politykę gospodarczą. Jeśli wrócimy do neoliberalnej polityki ekonomicznej sprzed 2015 r., to w następnych wyborach PiS zdobędzie konstytucyjną większość.

Ale przyznasz, że przez osiem lat miałeś złoty czas...

– Doszło do tego, że rzeczywistość przeganiała satyrę. Mam grupę zaprzyjaźnionych recenzentów, którym wysyłam swoje rysunki. Bywało tak, że komentowali, że rysunek może fajny, ale niepotrzebny. Bo polityk, który palnął jakąś głupotę, jest śmieszny sam w sobie. Zamiast rysunku wystarczyłby skrin z nagłówkiem. Tak jak zdjęcie Kaczyńskiego i polityków PiS witających na Okęciu kwiatami zwycięską Beatę Szydło, która przegrała w Brukseli głosowanie 27 do jednego.

Jaka postać była najbardziej wdzięczna do narysowania?

– Za dużo ich było, by wszystkie wymienić. Na przykład komendant Jarosław Szymczyk, nie tylko jedyny szef policji, ale chyba jedyna osoba na świecie, która odpaliła granatnik we własnym gabinecie. Oczywiście prezes Kaczyński, który mylił nawet brutto z netto, ojciec Rydzyk przyjmujący miecz od Sasina. Moim zbiorowym bohaterem jest TVP Info, która obecnie broni wolności słowa. No i nieustannie Andrzej Duda. Zostały nam z nim jeszcze dwa lata. Satyrycy będą mieli mnóstwo roboty, choć dobre dla Polski to nie będzie.

Pamiętam też twój rysunek przedstawiający opozycję. Kajak w kształcie krzyża, gdzie każdy wiosłował w inną stronę.

– Zaraz po wyborach, jeszcze gdy byłem na wakacjach, zajrzałem na Twittera i z przerażeniem stwierdziłem, że opozycja już zaczęła się kłócić, m.in. o aborcję. Na szczęście się szybko ogarnęli i dogadali. Oby tak zostało.

Ja najbardziej tęsknię za normalnością. To znaczy, żeby nigdy więcej partia, która wygrała wybory, nie wywracała wszystkiego do góry nogami. Żeby już nigdy więcej w Polsce nie trzeba było wychodzić na marsze w obronę demokracji, rządów prawa i wolnych mediów. ●

My nie jeździmy pod prąd

To metoda PiS – napęlić dobrą literę prawa złym duchem. Z tym walczyliśmy przez ostatnie osiem lat. Nam nie wolno tego robić.

Marcin Matczak



Pojawiły się ostatnio dwa prawnicze pomysły, na pozór od siebie odległe: odwołać prezydenta w referendum i powołać sędziowskich członków KRS przez Sejm (tak jak PiS), pozwalając jednak sędziom swobodnie wyłonić swoich kandydatów.

Pierwszy używa dobrej litery prawa (przepisy o referendum) niezgodnie z jej duchem (zagroza trwałości władzy i obchodzi procedury skrócenia prezydenckiej kadencji, czyli Trybunał Stanu). Drugi używa złej litery (pisowska ustawa o KRS) do promocji właściwego ducha, czyli niezależności sądownictwa. „Duchem” są w obu przypadkach wartości konstytucyjne – stabilność władzy oraz równowaga pomiędzy jej trzema gałęziami.

Co ważniejsze? Litera czy duch? Żeby odpowiedzieć, spójrzmy na to, co zdarzyło się w ostatnich ośmiu latach. W 2015 PiS uległ typowemu złudzeniu wędkarza: jak złowiona ryba w jego opowieściach staje się dwa razy większa niż w rzeczywistości, tak u nich było z demokratycznym mandatem. Może tak długo czekali, może tak nienawidzili III RP – nie wiadomo. W każdym razie jak wygrali, to im się zdało, że są zbawcami narodu i że on powierzył im misję stworzenia nowego państwa – Rzeczypospolitej nr 4.

A przecież nie powierzył. Bruce Ackerman, amerykański prawnik, pisze, że są

w dziejach narodów „momenty konstytucyjne” – po wojnie czy rewolucji suweren specjalnym wysiłkiem demokratycznym tworzy nową rzeczywistość państwową. My taki moment mieliśmy po roku 1989 – upadek komunizmu był cezurą wyraźną i potężną. Mała konstytucja, a potem konstytucja 1997 roku dokumentowały ten przełom.

W takich momentach naród wyznacza kierunek „polityki konstytucyjnej” – nakazuje realizować zbiór wspólnych wartości, co można przyrównać do wytyczenia autostrady, którą chce podążać. Potem, kiedy moment konstytucyjny minie, toczy się „polityka zwykła”: tak jak powierza się prowadzenie pojazdu po autostradzie najeźdźcy, tak wybiera się zarządcę państwa na cztery lata. Ten może politycznie trochę przyspieszyć albo zwolnić, zjechać bardziej na prawo, albo na lewo, ale nie może się zatrzymać, zawracać, nie może też z autostrady zjeżdżać.

PiS się uroiło, że rok 2015 był momentem konstytucyjnym, a nie zwykłą zmianą kierowcy, jak w serialu „Zmiennicy”. Do stał głosów za mało, żeby ustrój zmieniać, ale zmieniać chciał. Więc choć mu konstytucja tego zabraniała, uznał, że wprawdzie nie wolno, ale jak się bardzo chce, to można. I czynił państwo nowe. Nie jawnie, tylko manipulacją, pod kolderką, oszukując nas wszystkich. Zmieniał ustrój tak, jak PAD zaprzysięgał dublerów – nocą, po ciemku, żeby nie było ani zdjęć, ani śladów.

I tu kończą się niewinne porównania PiS do wędkarza czy kierowcy. Bo złuda, że się może więcej, niż naród pozwolił, zamienia się powoli w szaleństwo autokraty, który musi się jakoś rozepchać w ograniczeniach konstytucyjnych, skoro chce zmienić więcej, niż mu wolno.

Litery konstytucji nie mógł PiS ruszyć, bo legitymacji do tego nie miał. Więc zaczął ją napęlić nowym duchem – starym prawom dał nową interpretację, dawne instytucje wydrążył z funkcji, wsadzając do nich lojalnych sobie ludzi. Przylębska w Trybunale Konstytucyjnym, neosędziowie w Sądzie Najwyższym, przyjaciele Ziobry w Krajowej Radzie Sądownictwa

spowodowali, że na papierze wszystko niby funkcjonowało, ale w rzeczywistości nie funkcjonowało nic. To na przykład, że liczba spraw w TK od czasu „dobrej” zmiany spadła o ponad 80 procent, nie oznacza, że prawie wszystkie ustawy były w tym czasie konstytucyjne. Oznacza raczej, używając metafory konstytucyjnej autostrady, że kierujący jechał nią pod prąd, ale miał kumpli w konstytucyjnej drogówce, którzy zinterpretowali odpowiednio przepisy i wyszło im na to, że to nie PiS jedzie źle, ale wszyscy inni. Litera prawa trwała, ale duch w niej całkiem zdechl.

Choć tak się PiS wydawało, rok 2015 nie był momentem konstytucyjnym. 2023 też nie jest

PiS usuwał systemy kontroli i równowagi, „checks and balances”, ograniczające jego widzimisię, żeby to, co jemu wydaje się dobre, stało się obowiązkiem dobre dla wszystkich, a to, co jemu wydaje się złe, wszyscy uznawali obowiązkiem za złe. Przykład: nawet jeśli większość widzi inaczej aborcję niż PiS, ma obowiązkiem widzieć ją tak, jak widzi ją PiS, bo pani Przyłębska każe.

Kiedy się wyolbrzymia rozmiar swojego mandatu, łatwo kogoś zawieść, gdy przyjdzie co do czego. Nagle okazuje się, że preferencje narodu mają się nijak do preferencji władzy. Ona myśli, że reprezentuje większość, a w rzeczywistości jest w mniejszości. Mimo to wierzy, że każde jej pragnienie jest pragnieniem narodu. I literę prawa nadmuchuje złym duchem, jak, nie przymierzając, Andrzej Duda gumowego kraba.

To metoda PiS – napęlić dobrą literę prawa złym duchem, wymusić, by realizowała interes wąskiej grupy. Z tym walczyliśmy przez ostatnie osiem lat. Im się zdało, że mogą narzucać swoją egoistyczną ideologię innym, nam nie wolno tego ro-

bić. Jeśli ich narzędziem była nagła zmiana ducha w ramach tej samej litery, my musimy doborstanu ducha pilnować.

Nowe, dobre podejście do prawa symbolizuje zachowanie marszałka Hołowni – ostentacyjny wręcz szacunek dla reguł, widoczny w daniu głosu poza kolejnością Ziobrze i Czarnkowi, którzy zresztą od razu tej hojności normatywnej bezczelnie nadużyli. To jest właśnie natura PiS – wykorzystywać literę, żeby zabić jej ducha. Hołownia zresztą to dobrze rozumie: wskazał, że każdej normy można nadużyć i że na to nie pozwoli. To dobre podejście.

Choć tak się PiS wydawało, rok 2015 nie był momentem konstytucyjnym, 2023 też nie jest, choć są tacy, którzy i tu złudzeniu wędkarza ulegają, proponując, aby zamiast 11 listopada 15 października stał się świętem narodowym. Nowa władza nie ma tworzyć nowego państwa, ale wrócić na konstytucyjną autostradę.

Pompowanie złego ducha w dobrą literę prawa to kopiowanie metody PiS. Z dwojga złego lepiej jest więc powołać przez Sejm sędziowskich członków KRS, niż odwołać prezydenta w referendum. Bo pierwsze złej literze daje słusznego ducha, a drugie odwrotnie. Traktujmy konstytucję poważnie – to rezerwuarn naszych wspólnych wartości. Nie tekst, który można nagiąć, ale treść aksjologiczną, której trzeba bronić przed nadużyciami.

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

NAJLEPSZA SERIA KRYMINALNA OSTATNIEJ DEKADY.

CZWÓRKA SPRYTNYCH SENIORÓW, ZAGADKOWE ZBRODNI I INTELIGENTNY HUMOR

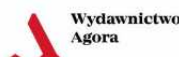
TRZY CZĘŚCI JUŻ W KSIĘGARNIACH!

Tłumaczenie:
Anna Rajca-Salata, Olga Mysłowska.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA





KTO MNIE URZEKŁ

KRACZĘ, WIĘC JESTEM

Awifauna kwituje moje próby nawiązania
kontaktu pogardliwie

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

Od egzotycznych urzeczeń, dla których redakcja „Wolnej Soboty” udostępnia mi czasem swoje łamy, odciągnęły mnie ostatnio obserwacje naszej warszawskiej awifauny. Moją uwagę przyciągają od dłuższego czasu wrony, czyli nasze największe po krukach ptaki śpiewające (tak, tak). Czasem próbuję naiwnie nawiązać z nimi kontakt głosowy, ale moje wysiłki nie prowokują jakiegoś „dialogu”, lecz co najwyżej pogardliwe kraknięcia.

O ich inteligencji i zdolnościach przystosowawczych napisano już wiele specjalistycznych prac, ale niektóre ich zachowania są wręcz fascynujące. I wciąż pojawiają się nowe, zaskakując uważniejszego obserwatora tych niezbyt lubianych, bo hałaśliwych i czasem wręcz agresywnych ptaków, które zdominowały już środowiska miejskie, skutecznie spychając na margines te mniejsze i mniej bojowe.

Nie chodzi mi o powszechnie już spotykane na jesieni zrzucanie na jezdnie i chodniki orzechów włoskich, z których twardymi skorupkami nie mogą sobie poradzić nawet ich silne dzioby. Sam czasem nawet im pomagam, rozdeptując tę zdobycz wypełnioną pożywnymi nasionami, na co właścicielki orzechów oczekują, obserwując rozwój sytuacji z pobliskiego drzewa. Pomijam też trywialne w swojej pospolitości kradzieże żywności z balkonów i tarasów czy też systematyczne rozpruwanie worków ze śmieciami w poszukiwaniu łatwego łupu.

Mam raczej na myśli niezwykle (może tylko dla laika) zachowania wyraźnie wykraczające poza sferę za-

spokajania podstawowych potrzeb życiowych i świadczące o wyższym stopniu myślenia. A jest ich coraz więcej.

1. Pewnego razu wyjrzałem przez okno, aby sprawdzić źródło rozzwierającego krakania. To duża wrona siwa (Corvus corone cornix) siedziała na pobliskiej gałęzi, dając rozgłosny upust jakimś emocjom. Po chwili pojawił się drugi osobnik z kawałem chleba w dziobie, który usiadł na tej samej gałęzi. Myślałem, że nastąpi konflikt o wygodne siedzisko, gdzie właścicielka tego kaska chciałaby spokojnie spożyć swoją zdobycz. I faktycznie – przybysz zaczął się przesuwając bokiem w kierunku pierwszej wrony, która przerwała swój radosny (?) śpiew i czujnie obserwowała drugiego ptaka, nie odsuwając się jednak nawet na krok.

Ku mojemu totalnemu zaskoczeniu, nie doszło do żadnego starcia. Właścicielka chleba przysunęła się do pierwszej wrony i oddała jej swoją zdobycz, po czym głośnym krakaniem ogłosił światu satysfakcję z przyjęcia przez nią tego podarunku. Stałem dalej urzeczony tym dowodem uczucia chyba głębszego od instynktownych zachowań, zapewniających przetrwanie gatunku. Okazało się bowiem, że za tą krzykliwą powłoką kryją się jakieś uczucia, których raczej byśmy nie podejrzewali.

2. Innym razem wyglądałem przez okno swojego biura położonego na warszawskim Powiślu i bezmyślnie przyglądałem się fladze powiewającej na maszcie zwieńczającym sąsiedni dach. Po chwili na czubku masztu przysiadł chyba czarnowron (Corvus corone

corone), co nie było dziwne, bo był to najwyższy punkt obserwacyjny. Lecz po chwili doznałem szoku poznawczego, bo ptaszysko zgrabnie zeskokczyło na skośną krawędź flagi i, utrzymując równowagę skrzydłami, zjechało po niej na sam dół. Potem czarnowron bynajmniej nie odleciał, lecz od razu wrócił do punktu wyjścia i za chwilę ponowił zabawę. Po trzecim razie miał już dość i odleciał, głośno dając upust satysfakcji. Czyż to nie urzekające? Przecież nie mógł tego zaobserwować u ludzi, lecz musiał to sam wymyślić!

3. Trzecie urzeczenie miało miejsce kilka dni temu, kiedy wychodząc z domu zauważyłem wronę siwą lądującą na pobliskiej jezdni. Nawet się nie obejrzałem, bo byłem przekonany, że to kolejna próba poradzenia sobie z orzechem włoskim. Nie słysząc było jednak charakterystycznych odgłosów dziobania w twardą skorupę. Spojrzałem więc na ptaka i stanąłem zadziwiony. Wrona turlała sobie bowiem po asfalcie piłkę tenisową. Piłka nie była przypadkowym znaleziskiem, porzuconym przez kogoś na jezdni, lecz została przyniesiona przez ptaka, który uważał ją wyrażnie za swoją własność. Kiedy bowiem ruszyłem ku niej, aby się bliżej przyjrzeć sytuacji, wrona chwyciła piłkę za zmechacone już pokrycie i odleciała na pobliskie drzewo, czekając na moje odejście. Obejrawszy się po chwili zobaczyłem, że wznowiła zabawę.

Nie chcę się wymądrzać, bo to nie moja działka badawcza, ale mam nieodparte wrażenie, że wraz z wieloma innymi ssakami nie jesteśmy osamotnieni w naszych zdolnościach do wykraczania daleko poza sferę zachowań progatunkowych. Okazuje się bowiem, że również generalnie nie lubiane, bo krzykliwe wrony uczą się i wykazują wyraźne przejawy potrzeb „wyższych”.

Ludzie uważajcie! Wrony was obserwują. ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów

PRZYCHODZI KLIENT DO LEKARZA

Ilu lekarzy, gdzie, jakich będziemy potrzebować?
Największy problem ochrony zdrowia to nie pieniądze,
ale planowanie i przewidywanie

Kamil Fejfer

W Polsce nie jest łatwo znaleźć obszar, w którym na przestrzeni dekad lub dwóch nie widać postępu. Coraz lepiej mają się rynek pracy, mieszkalnictwo, jakość powietrza, nasze oszczędności, infrastruktura i poziom wykształcenia.

Niechlubnym wyjątkiem wydaje się publiczny system ochrony zdrowia, gdzie od dłuższego czasu nie tylko nie widać poprawy, ale również daje się zauważyć pogorszenie jakości usług. Przynajmniej mierzonej czasem oczekiwania w kolejce. Czy to znaczy, że Polacy coraz rzadziej korzystają z pomocy specjalistów? Nie. Jest wręcz przeciwnie, ale niedomagania systemu publicznego łatamy wizytami prywatnymi. Efektem tej pełzającej prywatyzacji są powiększające się nierówności w dostępie do świadczeń: jeśli masz pieniądze, wiele rzeczy załatwisz sprawnie, jeśli nie – gnij w kolejce.

Według badania CBOS przeprowadzonego w czerwcu 2023 r. 64 proc. ankietowanych w ciągu ostatnich pierwszych sześciu miesięcy roku skorzystało z usług laboratorium analitycznego lub pracowni diagnostycznej. Kolejne 58 proc. odbyło wizytę u lekarza specjalisty. Dentystę odwiedziło 52 proc. badanych.

W 2012 r. odsetki te wynosiły kolejno: 45 proc., 48 proc. i 47 proc. Wiele się natomiast nie zmieniło, jeśli chodzi o odse-

tek osób, które odbyły wizyty u lekarza ogólnego w ciągu ostatnich sześciu miesięcy od momentu przeprowadzenia ankiety. I w 2012, i w 2023 r. deklarowało je około 70 proc. respondentów.

A więc badamy się coraz częściej. Bez wątpienia to zjawisko pozytywne. Im więcej osób decyduje się na możliwie szybką wizytę u lekarza, tym mniej będzie przypadków chorób w późnym stadium. Profilaktyka i dla pacjentów, i dla systemu jest znacznie korzystniejsza niż leczenie bardziej zaawansowanych przypadków. Ale jest w tym haczyk. Otóż częstotliwość wizyt wzrosła właśnie dzięki prywatnej ochronie zdrowia.

W 2002 r. 46 proc. badanych (lub ich dzieci) korzystało wyłącznie z publicznego systemu ochrony zdrowia. 27 proc. korzystało jednocześnie z usług publicznych i prywatnych, a 7 proc. jedynie z usług prywatnych. W 2023 r. odsetek korzystających wyłącznie z usług publicznych spadł do jednej czwartej, a korzystających z obu systemów wzrósł do 51 proc.

Jako powód niemal 80 proc. zapytanych przez CBOS wskazuje zbyt długie kolejki w publicznym systemie. Można zauważyć bogacenie się społeczeństwa – coraz więcej osób po prostu stać na prywatną ochronę zdrowia. Sama rosnąca popularność prywatnej opieki medycznej zresztą nie musi oznaczać ani stagnacji, ani pogarszania się jakości publicznych świadczeń zdrowotnych. Jeśli dla części z państwa jest to kontrintuicyjne, to już tłumaczę.

Jeśli kolejki do publicznych specjalistów i w publicznych labo-

ratoriach by się skracały, a jednocześnie prywatna opieka medyczna, przynajmniej w pewnym zakresie, oferowała jeszcze sprawniejszą obsługę pacjentów (czy raczej klientów), to wraz ze wzrostem zamożności społeczeństwa można byłoby się spodziewać, że coraz więcej ludzi zdecyduje się na tę drugą. A to dlatego, że czas dla osób zamożniejszych jest cenniejszym zasobem niż na przykład 200 czy 500 zł, które należałoby zapłacić za prywatną wizytę.

Problem w tym, że tak nie jest. Kolejki w publicznej służbie zdrowia przynajmniej od 10 lat – a takie mamy dane – z delikatnymi wahaniami wydłużają się, zamiast skracać! Cykliczne raporty prezentuje fundacja Watch Health Care, która monitoruje dostęp do gwarantowanych świadczeń zdrowotnych. Według polskiego prawa świadczenia zdrowotne to „działania służące profilaktyce, zachowaniu, ratowaniu, przywracaniu lub poprawie zdrowia”. Świadczenia gwarantowane natomiast obejmują zakres powyższych procedur finansowany w całości lub części przez sektor publiczny.

Organizacja, badając trendy, wybiera zestaw świadczeń, które są monitorowane w każdej kolejnej edycji raportu, poczynając od 2012 r. Kluczem doboru wskaźników jest częstotliwość ich wykonywania przez obywateli oraz istotność z punktu widzenia pacjenta. Taka metodologia jest konieczna, ponieważ system publiczny kontraktuje tysiące świadczeń; potrzebna jest więc jakaś selekcja tego ogromnego materiału analitycznego.

Co ważne – raport przyjmuje perspektywę pacjenta. To zna-

czy zbiera dane telefonicznie od osób, które ze świadczeń korzystają. Co wynika z opracowania? Nic poczekającego. Od 2012 do 2023 r. przeciętny czas oczekiwania na gwarantowane świadczenie wzrósł z 2,4 do 3,5 miesiąca! Innymi słowy, w ciągu nieco ponad dekady – mimo wzrostu gospodarczego i poprawiania się sytuacji materialnej w naszym kraju – kolejki wydłużyły się o niemal połowę!

Te okresy są oczywiście uśrednione, co oznacza, że występuje spora rozbieżność w ramach samych świadczeń. Najkrócej czeka się do neonatologa i na radioterapię onkologiczną – około dwóch tygodni. To oczywiście dobre wiadomości, ponieważ radioterapia i diagnozowanie oraz leczenie niemowląt to naprawdę niewralgiczne punkty systemu ochrony zdrowia. Poniżej miesiąca czeka się również do onkologa i – co może dziwić w kontekście obecnego w mediach dyskursu – psychiatry.

Najdłuższe kolejki są natomiast do neurochirurga (chyba że chodzi o chirurgię onkologiczną, wtedy na operację czeka się trochę ponad miesiąc) i na chirurgię plastyczną. W pierwszym przypadku czas oczekiwania to niemal 10 miesięcy, a w drugim – niemal 9.

Warto również pamiętać, że powyższe wskaźniki nie odnoszą się do całości leczenia. To jedynie pewien wyrywkowy obraz. Bo przecież leczenie jest etapowe – kiedy mamy jakąś dolegliwość, idziemy do lekarza pierwszego kontaktu, on kieruje nas na podstawowe badania i do lekarza specjalisty, ten zleca kolej-

ne badania. I dopiero na końcu tej drogi ewentualnie jest operacja lub zabieg.

Fundacja WHC etapowość leczenia przedstawia na przykładzie zwyrodnienia stawu kolannowego. Od wizyty u lekarza pierwszego kontaktu z kolanem tak bolącym, że wyraźnie utrudnia chodzenie, do etapu endoplastyki stawu mijają średnio ponad dwa lata. Podobny czas w przypadku publicznej ochrony zdrowia jest potrzebny na założenie dziecka aparatu ortodontycznego. Nic dziwnego, że ci, których stać, chcą przeskoczyć nieznosne kolejki.

Alte dlaczego z polską publiczną ochroną zdrowia jest tak źle? Cóż, nie ma prostej odpowiedzi. Wadliwy jest cały system – jest w nim za mało pieniędzy, za mało lekarzy, za mało analityki, a co za tym idzie – również za mało precyzyjnych planów, które, jak mówią ekonomiści, optymalizowałyby alokację dostępnych zasobów. A nawet jeśli już takie plany są, to ich realizacja sprawia naprawdę duży problem. Mamy więc dość typowy problem polskiej administracji w ogóle – bardzo złożony system, który wymaga nie tylko wizji i pieniędzy, ale również ekspertyzy i koordynacji. A to wciąż w naszej kulturze organizacyjnej sprawy deficytowe.

Przyjrzyjmy się po kolei poszczególnym elementom tego, co zawodzi. Według danych Eurostatu byliśmy w europejskim ogonie, jeśli chodzi o publiczne wydatki na ochronę zdrowia na mieszkańca. Przeliczając na jednego obywatela, w 2020 r. wychodziło zaledwie około 650 euro. Za nami były jedynie Rumunia (572 eu-

Od wizyty u lekarza pierwszego kontaktu z kolanem tak bolącym, że wyraźnie utrudnia chodzenie, do etapu endoplastyki stawu mijają ponad dwa lata. **Podobny czas w publicznej ochronie zdrowia jest potrzebny na założenie aparatu ortodontycznego dziecku**

ro) i Bułgaria (476 euro). Na samym szczycie była Szwajcaria z niemal 6300 euro na mieszkańca rocznie.

Te rozbieżności nie są realnie aż tak duże, co wynika z różnej siły nabywczej europejskiej waluty w różnych krajach. Za 100 euro można kupić inną liczbę dóbr w sklepie w Polsce, a inną w Szwajcarii. Podobnie jest z usługami medycznymi. Dlatego w europejskich porównaniach stosuje się sztuczną walutę, standard siły nabywczej (PPS), która niweluje różnice w cenach. Ale choć różnice po tej korekcie się spłaszczają, z wartością 1150 PPS wciąż jesteśmy w europejskim ogonie. Za nami są tylko Grecja, Łotwa i Bułgaria. Rumunia już nas wyprzedza, a na szczycie z wartością ponad 4 tys. PPS są Niemcy.

Nie mamy również czym się pochwalić, jeśli chodzi o procent PKB przeznaczany na ochronę zdrowia. Według Eurostatu Polska wydaje na publiczną ochronę zdrowia około 4,7 proc. Za nami jest tylko... Liechtenstein. Ale w jego przypadku prawdopodobnie mamy do czynienia z bardzo dużym zawyżeniem samego wskaźnika PKB przez specyfikę tamtejszej gospodarki. Na samej górze tabeli znów znalazły się Niemcy, które na zdrowie wydają niemal 11 proc. PKB. Nieco niżej są Francja, Norwegia, Szwecja i Holandia. Wszędzie tam na ochronę zdrowia przeznacza się ponad 9 proc. PKB.

Choć analityczne organizacje międzynarodowe różnią się nieco w metodologii, to podobne wyniki prezentuje też OECD – wśród krajów rozwiniętych jesteśmy jednym z tych, które przeznaczają najmniej środków na ochronę zdrowia.

Wiemy już, że problemem są pieniądze. Te można oczywiście do systemu w różny sposób dosypywać. Jednym z najprostszych rozwiązań byłoby po prostu podwyższenie składki. Tylko że to spotkałoby się z natychmiastowym sprzeciwem opinii publicznej, ponieważ wszyscy chcemy mieć świetnej jakości usługi za półdarmo. Żadna, nawet najbardziej racjonalna ekipa rządząca nie zaryzykuje takiej reformy, bo nie doczeka jej efektów, ponieważ tak złożony i ociężały system, nomen omen, leczy się latami – a więc zrobiłaby prezent rządzącym w przyszłości, sama popełniając wyborcze samobójstwo.

Za brakiem pieniędzy idzie niedobór kadr, choć sporo się ostatnio zmienia. Według Eurostatu w 2016 r. w Polsce było jedynie około 250 praktykujących lekarzy na 100 tys. mieszkańców. To plasowało nas – tak, dobrze się państwo domyślcie – w europejskim ogonie. Ale już w 2021 w Polsce było około 350 lekarzy na 100 tys. mieszkańców, co sytuowało nas niedaleko Holandii czy Irlandii. W zaledwie kilka lat dokonał się więc wyraźny postęp. Dane Eurostatu pokazują, że byliśmy krajem z najwyższym procentowym przyrostem lekarzy we wspólnocie.

Między 2011 a 2021 r. wzrosła również liczba absolwentów szkół medycznych – z około 8 do 13 absolwentów na 100 tys. mieszkańców. Weźmy pod uwagę również to, że w 2021 r. mieliśmy do

czynienia ze znacznie mniej licznym rocznikiem niż w 2011 – kończący studia w 2012 r. rodzili się bliżej wyżu demograficznego, a absolwenci z 2021 znacznie bliżej największego demograficznego dolka.

Dlaczego więc kolejki się wydłużają? Cóż, dopiero zaczynamy nadrobić całe dekady zaniedbań, jeśli chodzi o liczbę kształcących się lekarzy. Jednocześnie nasze społeczeństwo się starzeje, więc popyt na usługi medyczne rośnie. W 2012 r. osób w wieku 65 lat i więcej było w Polsce około 5,5 mln, w 2023 jest ich 7,5 mln. Przy zachowaniu zbliżonego poziomu finansowania i tylko z niewiele większą liczbą lekarzy – których system nie potrafi jeszcze dobrze wchłonąć – oraz większej o 2 mln liczbie osób z większymi potrzebami zdrowotnymi mamy przepis na zapychanie się systemu. A jeszcze do tego szybko rośnie świadomość społeczna i po prostu chcemy się częściej badać.

Tymczasem wciąż na ochronę zdrowia przeznaczamy bardzo niewiele środków w porównaniu z krajami nawet na podobnym poziomie rozwoju. A przecież nigdzie nie jest powiedziane, że nie możemy przeznaczać więcej i gonić najzamożniejszych krajów świata. Niewiele przecież jest w państwie tak priorytetowych zadań jak ochrona zdrowia obywateli.

Jednak jak zauważa prof. Christoph Sowada, dyrektor Instytutu Zdrowia Publicznego Collegium Medicum UJ, w tekście „Czy kolejki do lekarzy są potrzebne”, brak pieniędzy jest „najłatwiejszym do usunięcia albo przynajmniej złagodzenia problemem”. „Wieloletnie okresy oczekiwania na operacje zaćmy czy endoprotezy powstały wskutek drastycznego ograniczenia przez NFZ środków na ten cel. Dopiero w roku 2018 NFZ zwiększył poważnie w tym zakresie swoje wydatki, co natychmiast poskutkowało skróceniem kolejek”.

Problemem jest – i to powraca jak refren – brak kadr. „Nawet jeśli znajdą się pieniądze, a nie będzie lekarzy, to i tak na wiele świadczeń przyjdzie nam długo czekać” – pisze prof. Sowada. Brak personelu to wąskie gardło, którego nie da się obejść, rozcinając worki z pieniędzmi. Lekarzy trzeba wyszkolić, i to na wysokim poziomie. A żeby to zrobić, potrzebne są nie tylko kadra, ale również cały system wsparcia kształcenia: szpitale akademickie, dostęp do prosektoriów, sprzętu.

Właśnie na to zwraca uwagę Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy. Choć od 2014 do 2023 r. liczba miejsc na kierunkach lekarskich się podwoiła (od niecałych 3200 do prawie 6600), to – zdaniem związkowców – nie poszło za tym wsparcie systemowe. Na przykład studenci muszą korzystać z prosektoriów innych uczelni, ponieważ nie wszystkie szkoły, które otwierają kierunki medyczne, takim zapleczem dysponują. Bez szpitali klinicznych pozostaje około 20 kierunków, co oznacza, że studenci muszą odbywać zajęcia w innych miastach albo szpitalach wojewódzkich. A przede wszystkim nie określono pożądanej liczby lekarzy ani specjalności, w których powinni się kształcić.



Na te problemy zwracała uwagę również wielokrotnie Najwyższa Izba Kontroli. W raporcie z 2019 r. podsumowującym 70 kontroli NIK wylicza szereg wieloletnich uchybień. Jedną z największych bolączek jest brak analiz odnoszących się do epidemiologii i demo-

spondenci powyżej 54. roku życia (37 proc.), mający wykształcenie podstawowe (32 proc.) lub zasadnicze zawodowe (39 proc.), rolnicy (30 proc.), bierni zawodowo zajmujący się domem lub niepracujący z innych powodów (37 proc.), uzyskujący niskie dochody w przeliczeniu na osobę

Na ochronę zdrowia przeznaczamy bardzo niewiele, nawet w porównaniu z krajami na podobnym poziomie rozwoju

grafii kraju. A bez tego nie da się rozsądnie kształtować systemu. To, jacy lekarze, gdzie i w jakiej liczbie są potrzebni, wynika właśnie z tego typu prognoz. Jeśli państwo nie wie, jak w przyszłości będą wyglądać potrzeby zdrowotne społeczeństwa, to nie może na nie skutecznie odpowiadać przez optymalne dostarczanie świadczeń.

Kontrole NIK wskazywały również, że zakup sprzętu medycznego nierzadko był dokonywany bez uwzględnienia wspomnianych potrzeb zdrowotnych ludności. A przecież przy ciągle zbyt krótkiej koldrze każda złotówka powinna być oglądana dwa razy, zanim zostanie wydana.

Żeby uzdrowić ochronę zdrowia – zdaniem NIK – potrzebną jest długookresowa strategia, określenie priorytetowych kierunków działania. A te mogą zostać stworzone na podstawie dogłębnych analiz, z czym nasz system – nie tylko ochrony zdrowia – ma spory problem. I koło się zamyka.

Na te bolączki plastrem jest pelzająca prywatyzacja ochrony zdrowia. Która ma niewątpliwe wady. Pierwsza jest taka, że prywatne leczenie może działać dość sprawnie dlatego, że wisi na sektorze publicznym. Mówiąc prościej: przejmuje prostą i niedrogą diagnostykę, trudniejsze przypadki zostawia do leczenia z publicznego grosza.

Druga kwestia to dostęp zależny od grubości portfela.

CBOS nakreśla charakterystykę osób, które korzystają wyłącznie ze świadczeń finansowanych przez państwo. Są to: „re-

w gospodarstwie domowym (poniżej 2000 zł – 31 proc.) oraz źle oceniający własną sytuację materialną (33 proc.)”. Mamy więc do czynienia z grupą ekonomicznie marginalizowaną, której konstytucyjne prawa do równego dostępu do ochrony zdrowia są naruszane.

Najgorsze, co może się wydarzyć, to dalsza degradacja publicznego systemu, która będzie wymówką do oszczędności w ramach logiki: ludzie i tak wybierają prywatne gabinety. Na końcu tej drogi jest prośenie się o polityczne kłopoty, ponieważ w końcu pojawi się siła, która wskaże na elity odpowiedzialne za rozkład systemu. I przynajmniej częściowo będzie miała rację. ●

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzczan, Roman Imieliński, Aleksandra Soberzak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

• **Personel centrum medycznego we Frome świętuje 75-lecie brytyjskiej ochrony zdrowia w swoim ogrodzie „dobrego samopoczucia”**

FOT. FROME MEDICAL CENTRE



LUDZIE NA RECEPTĘ

W tym miasteczku rzadko się trafia na ostry dyżur

Z **DR HELEN KINGSTON**,
BRYTYJSKĄ LEKARKĄ,
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

„Jeśli rewolucja się zacznie, to tu, we Frome, zabytkowym miasteczku w hrabstwie Somerset” – pisał w 2017 roku dziennikarz „Guardiana” Tom Dyckhoff. Miał na myśli to, że rada miasta składała się wyłącznie z niezależnych kandydatów, co było ewenementem. Nie wiedział jednak, że prawdziwa rewolucja już się tu dzieje – w lokalnej przychodni.

– Tej rewolucji by pewnie nie było, gdyby nie reorganizacja NHS [brytyjska ochrona zdrowia] dziesięć lat temu, w wyniku której lokalne przychodnie dostały większe kompetencje. Dzięki temu nie dość, że przenieśliśmy się do nowej siedziby, to jeszcze dostaliśmy fundusze na rozkręcenie działalności. Zaprośmy wtedy do współpracy Jenny Hartnoll, która zajmuje się organizacją niemedycznej sieci wsparcia dla pacjentów. I od tego ta zmiana się zaczęła. Wcześniej my, lekarze, pielęgniarki, wiedzieliśmy, że w naszej społeczności działają różne kluby hobbystyczne, grupy wsparcia czy inne miejsca pomocowe, do których moglibyśmy kierować pacjentów, na przykład samotnych albo którzy właśnie wyszli ze szpitala, ale nie wiedzieliśmy, ile jest takich miejsc, czy nadal funkcjonują i z kim się tam kontaktować. Jenny „zmapowała” je wszystkie i stworzyła infor-

mator dostępny w internecie, z którego mogli korzystać zarówno mieszkańcy, jak i lekarze. Dostaliśmy do ręki cenne narzędzie, które pozwoliło nam nie tylko przepisywać leki, ale też na przykład zorganizować pacjentom dodatkową pomoc czy skierować ich do odpowiedniej grupy wsparcia.

Taka niemedyczna interwencja nazywa się po angielsku „social prescribing” i oznacza przepisywanie kontaktów społecznych na receptę.

– Bo pacjent, który przychodzi z bólem kolanem czy nawracającym bólem głowy, nie przychodzi wyłącznie z tym problemem. Żyje w jakimś kontekście, który sprawia, że może szybciej albo wolniej dochodzić do zdrowia. Ludzie w ogóle często trafiają do lekarza pierwszego kontaktu dlatego, że są w jakimś kryzysie, niekoniecznie zdrowotnym. Czasem stres, na przykład związany z ubóstwem, kłopotami w pracy czy w bliskich relacjach, sprawia, że jakiś problem zdrowotny się ujawnia, ale wtedy nie tylko nim należy się zająć. Tamtymi obszarami również. Dziś, wiedząc, że mamy do dyspozycji nie tylko leki i interwencje medyczne, możemy otwarcie o ten kontekst pytać, bo jesteśmy w stanie coś na niego zaradzić.

Jak to wygląda w praktyce? Powiedzmy, że cierpię na bezsenność. Przychodzę i...?

– Zaczniemy od tego, że pracuję w tej przychodni od prawie 30 lat. Znam większość moich pacjentów. Wiem, jak mają na imię, czym się zajmują, co robią ich mężowie, żony, dzieci. Są dla mnie przede wszystkim ludźmi, a nie

pacjentami z konkretnym schorzeniem, co ułatwia taką rozmowę.

Powiedzmy jednak, że jest pani nowa w miasteczku i widzimy się po raz pierwszy. Chciałabym się dowiedzieć, co się takiego aktualnie dzieje w pani życiu. Czy ma pani jakiś pomysł, dlaczego nie może pani spać? Jak to się odbija na pani samopoczuciu i funkcjonowaniu? Kiedy się tak zacznie, ludzie zwykle szybko się otwierają. Mówią na przykład: „Mam trójkę małych dzieci, które ciągle budzą mnie w nocy, a potem już nie mogę zasnąć” albo „Mam stresującą pracę, ciągle o niej myślę i nie mogę się zrelaksować”. Mają różne zmartwienia związane z tym stanem, ale też jakieś nadzieje na jego rozwiązanie. Wystarczy ich posłuchać. I to wcale nie trwa długo, zwykle kilka minut.

Co by mi pani zaproponowała w zamian albo oprócz tabletek na sen?

– To by oczywiście zależało od tego, z jakiego powodu pani nie śpi. Jeśli, powiedzmy, zmartwia się pani o swoją sytuację finansową i boi się, że za chwilę może stracić dach nad głową, mogłabym panią skierować do organizacji, która doradza osobom w trudnej sytuacji finansowej i mieszkaniowej, co może się okazać dla pani o wiele bardziej korzystne niż tabletki. Jeśli nie śpi pani, bo właśnie się rozstaje z mężem albo jest w żalobie po stracie kogoś bliskiego, mogłabym pani podpowiedzieć, gdzie znaleźć wsparcie dla osób w podobnej sytuacji. W ogóle spytałabym panią: na kogo może pani liczyć? Kto panią wspiera? Czy tego wsparcia może być więcej? A także co sprawa pani przyjemność i odwraca pani uwagę

od trudności, przez które pani przechodzi? Bo może miałaby pani ochotę dołączyć do klubu ceramiki albo pochodzić na zumbę? Jeśli powiedziałaby pani, że dobrze pani robi kontakt z siostrą, która mieszka w innym mieście, spytałabym, czy nie mogłaby jej pani odwiedzić. Albo wyrwać się na kilka dni z przyjaciółką? Taka rozmowa jest bardzo potrzebna, bo ludzie, którzy są w kryzysie, w dużym stresie, często przestają robić to, co im służy. Zaniedbują jedzenie, ruch. Zamykają się na innych, a czasem w ogóle przestają wychodzić z domu, przez co kryzys jeszcze się pogłębia. Kiedy robi się trudno, tracimy siłę i motywację. Jestem tu również od tego, żeby tę motywację przywracać.

Oczywiście czasami jedna czy dwie wizyty nie wystarczą. Osoby starsze, samotne, z wieloma problemami, nie tylko zdrowotnymi, potrzebują więcej wsparcia, dlatego od 2015 roku zatrudniamy w przychodni także łączników zdrowia.

To lekarze?

– Nie, to są zwykli ludzie, którzy po ukończeniu odpowiedniego szkolenia są zatrudniani przez przychodnie i stają się członkami zespołów. Na początku jako niemedycy nie budzili zaufania wśród personelu, jednak z czasem udowodnili swoją wartość.

Łącznicy zdrowia chodzą do domów pacjentów. Widzą, w jakich warunkach oni żyją, jaka jest ich sytuacja rodzinna, bytowa, jak sobie radzą z obowiązkami. Ta wiedza jest nieoceniona, bo środowisko ma ogromny wpływ na leczenie i proces zdrowienia. Łącznicy zdrowia doglądają samotnych pa-

cientów, sprawdzają, czy biorą leki, czy nie potrzebują pomocy w zakupach. Wtedy mogą im taką pomoc zorganizować, na przykład w porozumieniu z lokalną organizacją, która świadczy usługi dla seniorów. Obdzwaniamy też pacjentów, którzy właśnie wyszli ze szpitala. Jeden może mieć 46 lat i być po zabiegu wycięcia wyrostka, co jest dość proste, ale inny może mieć 86 lat, być cały połamany po upadku, więc najpewniej będzie potrzebował więcej pomocy. Łącznicy zdrowia towarzyszą też naszym bezdomnym pacjentom. Kierują ich do miejsc pomocowych i starają się znaleźć rozwiązanie ich sytuacji. Prowadzą również grupy edukacyjne wokół zdrowego stylu życia. Pomagają tym, którzy muszą zmienić dietę albo zacząć się więcej ruszać. Grupy są bardzo motywujące, bo w pojedynkę trudno się takie zmiany wprowadza i utrzymuje. To oczywiście nie sprawi, że kryzys od razu minie, ale kiedy ma się poczucie, że nie jest się samemu, że wokół są życzliwi ludzie, już tak nie przytłacza.

Poza łącznikami zdrowia we Frome i w okolicznych wsiach jest już ponad 1400 łączników społeczności. Kim są?
– Łącznicy społeczności to mieszkańcy, których przeszkoliliśmy z tego, jaka pomoc i dla kogo jest dostępna w okolicy. Wiedzą, gdzie i kiedy odbywają się talking cafes, czyli otwarte spotkania, na których można dyskutować o wszystkim, znaleźć towarzystwo, ale też zasięgnąć porad dotyczących na przykład radzenia sobie z budżetem domowym. Wiedzą, gdzie się spotyka grupa dla kobiet w wieku okołomenopauzalnym, a gdzie są zajęcia ze stolar-ki. Pod jaki numer zadzwonić, gdy ma się kłopot z ogrzewaniem, a do kogo się zgłosić po pomoc, jeśli ma się problem z obsługą urządzeń cyfrowych. To zaangażowani i dobrze poinformowani obywatele, którzy docierają z tymi informacjami tam, gdzie my nie jesteśmy w stanie – do swoich bliskich, sąsiadów, koleżanek i kolegów w pracy, którzy przechodzą przez trudny okres. Mówią: „Słuchaj, coś wymyślimy. Wiem, gdzie znaleźć pomoc”.

Świadomość, że w społeczności są tacy ludzie, pewnie zwiększa poczucie bezpieczeństwa.
– Z pewnością! Weźmy taką niby-małą rzecz jak telefon do osoby, którą właśnie wypisano ze szpitala. Już samo to, że ktoś wie, że wyszliśmy z tego szpitala, że mamy jakiś numer, na który możemy oddzwonić, jeśli pojawi się problem, dodaje otuchy. Zarówno pacjentom, jak i opiekunom. To ważne, bo czasem do pogorszenia stanu zdrowia dochodzi dlatego, że osoba opiekująca się chorym jest wykończona i nie daje już rady. Lęk o zdrowie i przyszłość może być wtedy obezwładniający, dlatego tak istotne jest, żeby pacjenci i ich rodziny czuli, że mają w społeczności oparcie i że zawsze jest jakieś wyjście.

We Frome i okolicach działa 400 grup i miejsc pomocowych. Są grupy zorganizowane wokół hobby i sportu, grupy wsparcia, kluby dyskusyjne. A czym jest społeczna lodówka?
– To miejsce, w którym można zostawić jedzenie, którego się nie potrzebuje. Mamy też „bank żywności”, który zbiera żywność wycofaną ze sklepów, ale wciąż zdatną do spożycia, i rozdaje ją potrzebującym, oraz „szafę” z używanymi ubraniami. Takie inicjatywy są w wielu innych miastach, problem polega na tym, że ludzie często o nich nie wiedzą. Dzięki łącznikom społeczności informacja o nich ma szansę dotrzeć do wszystkich, którym się przyda. We Frome mamy to szczęście, że jesteśmy miastem targowym i nasza społeczność jest dość dobrze skomunikowana. Ale taką wspólnotę można zbudować też wokół jednej ulicy, domu kultury czy ośrodka sportowego. Chodzi o to, żeby mieć poczucie, że gdzieś się przynależy, i żeby się zaangażować. Skorzystają z tego inni, ale my też.

Chyba ważne jest, żeby istniało jakieś serce tej wspólnoty, które sprawuje opiekę nad jej różnymi działaniami i widzi, czego jeszcze w tej sieci wsparcia brakuje.

– Tak! Kiedy zaczynaliśmy i Jenny zrobiła mapę miejsc pomocowych, okazało się, że brakuje wsparcia dla osób samotnych i żyjących w izolacji. Połączyliśmy więc siły z organizacją Active in Touch, która zrekrutowała wolontariuszy i poszerzyła swoją ofertę na przykład o możliwość podwózki osób samotnych do lekarza albo na zakupy. Inne niedociągnięcia polegały na tym, że istniała jakaś grupa wsparcia, na przykład dla osób z demencją, ale mało kto o niej wiedział, więc pomogliśmy im ją rozreklamować. Pomagamy też zorganizować się mieszkańcom z określonymi schorzeniami. Tak było z grupą wsparcia dla osób z parkinsonem. Zgłosił się do nas jeden pacjent, który miał ochotę stworzyć taką grupę, ale nie wiedział, od czego zacząć. Napisaaliśmy więc do innych pacjentów z parkinsonem, czy byliby zainteresowani takimi spotkaniami, do pomocy zaprosiliśmy organizację Parkinson UK i się udało, grupa ruszyła. Nasza rola w dużej mierze polega na tym, żeby pomóc rozwijać się temu, co już zostało zasiane w społeczności, i docierać jak najszerzej z informacją. Nowe inicjatywy ogłaszamy też w lokalnej prasie, w radio i w mediach społecznościowych.

W wyniku niemedycznych interwencji w latach 2013-17 liczba przyjęć na ostry dyżur we Frome spadła o 17 proc., podczas gdy w innych miastach w hrabstwie, które działają po staremu, wzrosła o 29 proc.
– To zasługa nie tylko sieci wsparcia, którą pomogliśmy zbudować, ale także lepszej organizacji pracy w lokalnych placówkach medycznych. Pacjenci, którzy leczą się w naszych przychodniach czy w szpitalu, są lepiej pilotowani, lepsza jest też profilaktyka, co pozwala zapobiec rozwinięciu się wielu poważnych schorzeń.

Jakie jeszcze korzyści wynikają z tej zmiany?
– Udało nam się zaimplementować ten sposób pracy we wszystkich placówkach medycznych w naszym okręgu, który obejmuje w sumie 120 tys. mieszkańców. Łatwiej nam też rekrutować nowych ludzi do zespołu. Jeden lekarz specjalnie dla nas przeprowadził się aż z Nowej Zelandii, co przy obecnym kryzysie w NHS, kiedy lekarze i pielęgniarki na potęgę odchodzą z zawodu, jest szalenie pozytywne. Ludzie garną się do pracy z nami, bo mamy poczucie sensu tego, co robimy. Odwiedzają nas lekarze i przedstawiciele różnych instytucji z zagranicy: z Japonii, Australii, ze Szwecji, Stanów Zjednoczonych, ale także nasi koledzy i koleżanki z Wielkiej Brytanii. Nie dość, że wymieniamy się różnymi pomysłami, co jest bardzo rozwijające, to jeszcze ich entuzjazm pozwala nam podtrzymać zapał, co jest bardzo ważne, zwłaszcza kiedy brakuje nam pieniędzy. No i, co nieocenione, czujemy, że przynależymy do społeczności na świecie, która zauważa, jak ważne są relacje społeczne dla zdrowia.

Jak pani ocenia kondycję zdrowotną pacjentów na przestrzeni tych 30 lat?
– Nie jesteśmy zdrowsi, niestety. Pandemia COVID-19 sprawiła, że jest dużo więcej lęku. Internet nie bardzo pomaga go obniżyć. Wiele osób googluje swoje objawy i zamiast się uspokoić, dochodzi do wniosku, że na pewno ma guza mózgu albo jakąś inną poważną chorobę. Do tego coraz więcej osób ma problemy finansowe, mieszkaniowe, co jest źródłem dużego stresu. Media społecznościowe również nie pomagają w utrzymaniu dobrego zdrowia ani nastroju. W ogóle współczesny świat generuje bardzo dużo niepewności. Wierzę, że odpowiedź na to jest wspólnota. Ale ta realna, ludzie obok nas, a nie ci w telefonie. Musimy wrócić do podstaw, czyli do relacji. Ciągłe próbuje się nam wmówić, że istnieje jakieś nowe, cudowne cyfrowe rozwiązanie jakiegoś poważnego problemu albo nowa, cudowna technologia, ale jeśli nie zajmujemy się przyczynami, to żadne cudowne rozwiązania nam nie pomogą. Weźmy nowy lek na otyłość, o którym ostatnio zrobiło się tak głośno. Nie poradzi-

Znam większość moich pacjentów. Wiem, jak mają na imię, czym się zajmują, co robią ich mężowie, żony, dzieci

my sobie z problemem otyłości, jeśli nie zrobimy czegoś ze środowiskiem, które mu sprzyja, a po części go generuje. Jeśli nie wprowadzimy rozwiązań w zakresie zdrowia publicznego, które rozprawią się z tym, że prowadzimy coraz bardziej siedzący tryb życia. Jeśli nie zadbamy o to, żeby wszyscy mieli dostęp do zdrowej żywności i żeby firmy produkujące fast foody nie miały takiej przestrzeni do reklamowania swoich produktów. Jednym słowem, jeśli nie zmienimy kultury. My tę kulturę staramy się zmieniać. Razem z lokalnym samorządem i organizacjami partnerskimi uruchomiliśmy niedawno projekt Green and Healthy Frome (Zielone i Zdrowe Frome). Wspólnie zastanawiamy się, co zrobić, żeby w tym kryzysie klimatycznym, energetycznym, gospodarczym ludziom żyło się lepiej. Zidentyfikowaliśmy na przykład osoby mieszkające w niedogrzanych domach i teraz staramy się o dofinansowanie dla nich z miejskiego funduszu, które pozwoli im te domy ocieplić, a także organizujemy zajęcia edukacyjne z efektywnego wykorzystywania energii. Dzięki zaangażowaniu mieszkańców powstały miejsca, gdzie można się nauczyć lepiej zarządzać żywnością, przerabiać stare ubrania i meble oraz dowiedzieć się, jak żyć w bardziej zrównoważony sposób.

Czy macie jakieś propozycje dla młodych osób w kryzysie zdrowia psychicznego?
– Stworzyliśmy poradnik dostępny online, jak dbać o higienę psychiczną – jak ważne są sen, zdrowa dieta, kontakty z innymi, rutyna. To podstawy, ale dla niektórych są odkryciem. Miasto w porozumieniu z innymi organizacjami uruchomiło dodatkowe miejsca, gdzie

Jutronauci 2023

- Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.
- Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

można otrzymać pomoc psychoterapeutyczną. A w naszej przychodni specjalnie przeszkolone pod tym kątem pielęgniarki prowadzą wykłady dla rodziców i ich dzieci, jak radzić sobie na przykład z lękiem. Znow, do zdrowia psychicznego podchodzimy holistycznie. Kryzys psychiczny jest często objawem braku więzi, braku poczucia przynależności, osamotnienia w ogromnym stresie. Staramy się więc przede wszystkim dać naszej społeczności narzędzia do radzenia sobie z tym, a jednym z takich potężnych narzędzi jest zaangażowanie w coś, co nas interesuje, i znalezienie osób, które dzielą naszą zainteresowania. I to nie musi być od razu grupa wsparcia poświęcona zdrowiu psychicznemu. To mogą być wspólna gra w hokeja, wycieczki rowerowe czy podglądanie ptaków. Chodzi o budowanie relacji i bliskości, a czy to będzie się odbywać wokół zbierania monet, czy wokół fascynacji burakiem, ma drugorzędne znaczenie.

W pandemii wymyśliliście jeszcze jeden sposób na podtrzymywanie tych relacji.
– Przed pandemią zatrudniliśmy w przychodni wolontariuszy, którzy witali pacjentów w drzwiach, kierowali ich do gabinetu, ale też po prostu rozmawiali z nimi, jeśli ci mieli na to ochotę. W lockdownie to się oczywiście skończyło, wpadliśmy więc na pomysł, żeby wolontariusze wysyłali naszym pacjentom, zwłaszcza tym mieszkającym samotnie, pocztówki ze słowami wsparcia, z pozdrowieniami. Część naszych pacjentów chętnie w to weszła i prowadziła z wolontariuszami ożywioną korespondencję. W ogóle myślę, że dzięki temu, że już przed pandemią mieliśmy dobrze zorganizowaną sieć wsparcia, łatwiej nam było utrzymywać kontakt z pacjentami i podtrzymywać na duchu tych najbardziej kruchych. Nasi łącznicy zdrowia regularnie ich obdzwaniali. Korzystając z doświadczeń kolegów z Kumbrii, stworzyliśmy broszurę ze wskazówkami, jak dbać o zdrowie fizyczne i psychiczne w pandemii oraz gdzie szukać pomocy w razie trudności, którą nasi wolontariusze dystrybuowali po domach. To była kolejna forma podtrzymywania tego kontaktu.

Na świecie mówi się o epidemii samotności. W Wielkiej Brytanii już 9 mln osób twierdzi, że są samotni albo żyją w izolacji. W Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Japonii to coraz większy problem społeczny także wśród młodych. Dlaczego?
– Świat bardzo przyspieszył. Ludzie są w ciągłym biegu, coraz częściej brakuje im czasu dla innych. Do tego media społecznościowe ze swoją wykreowaną, mocno wyedytowaną rzeczywistością napędzają porównania społeczne, które sprawiają, że wiele osób czuje się ze sobą coraz gorzej. Zamiast łączyć, oddalają nas od siebie. Widok grupy osób, które siedzą w jednym pomieszczeniu i zamiast rozmawiać ze sobą, wpatrują się w swoje telefony, stał się już niestety normą. Lepiej nie będzie, jeśli tego trendu nie odwrócimy.

Niedawno brytyjska ochrona zdrowia, w atmosferze ogromnego kryzysu i niedostatku, świętowała 75-lecie istnienia. Jak obchodziliście ten dzień w przychodni?
– Najpierw uczciliśmy go pięciokilometrowym biegiem dla chętnych, część personelu regularnie bierze udział w takich biegach w miasteczku. A potem w naszym ogrodzie „dobrego samopoczucia” zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie, ustawiając się w kształt cyfry 75.

Czym jest ogród „dobrego samopoczucia”?
– Kiedy się tu przeprowadziliśmy, przychodnię otaczał zwykły trawnik. Wspólnymi siłami wyznaczaliśmy grządki, posadziliśmy dzikie kwiaty, warzywa, zioła, postaviliśmy ławki. Chodzimy tam w czasie wolnym, oglądamy swoich grządek, siadamy na ławce, żeby odpocząć albo coś zjeść. Pacjenci też uwielbiają to miejsce. ●

NASZA EUROPA

Ridley Scott:

SŁABY PUNKT NAPOLEONA



FOT. UNITED INTERNATIONAL PICTURES SP. Z O.O.

– Aby móc zostać przywódcą tej rangi, trzeba być przede wszystkim absolutnie bezwzględny – przekonuje reżyser „Napoleona” z Joaquinem Phoenixem w roli tytułowej.

Jean-Louis Tremblais

LE FIGARO

Pana pierwszym filmem fabularnym był „Pojedynek” z 1977 roku. Opowiadał niesamowitą historię dwóch zwaśnionych francuskich oficerów, którzy służyli w różnych pułkach huzarów i latami toczą między sobą nierozstrzygnięte pojedynki na marginesie kolejnych wojen napoleońskich. Teraz pokazuje pan światu film w całości poświęcony bezpośrednio Napoleonowi. Czy możemy tu już mówić o podziwie dla epoki, a nawet fascynacji cesarzem?

– No tak, trzeba chyba pamiętać, że jako skoncentrowany na sobie Anglik odkryłem istnienie Francji i wynikające z tego konsekwencje w wieku 18 lat, podczas długiej podróży samochodem, która wiodła z północnej Anglii na Lazurowe Wybrzeże. To był dla mnie szok, najpierw pejzaże, potem kuchnia, wreszcie kultura i historia tego kraju. Zacząłem pracować w reklamie telewizyjnej, czyli w branży, w której z czasem odniosłem spory sukces. Ale w wieku 38 lat zdałem sobie sprawę, że nigdy nie nakręciłem prawdziwego

filmu fabularnego i że będę żałował, jeśli nie spróbuję. Wtedy natknąłem się na opowiadanie Josepha Conrada zatytułowane „Pojedynek”. Postanowiłem zrobić z tego kawał rasowego kina, a nakręcić to w Dordogne, w okolicy miasta Sarlat.

Kiedy poprosiłem tamtejszy ratusz o pozwolenie na filmowanie, dowiedziałem się, że opowiadanie Conrada zostało zainspirowane prawdziwą historią, a jej dwaj bohaterowie faktycznie pochodzili z Sarlat. Nazywali się Fournier i Dupont. W swojej książce Conrad przemianował ich na Férauda i d’Huberta. W rzeczywistości w opowieści ścierają się nie tylko dwaj czupurni oficerowie kawalerii, ale także dwa światy, dwie klasy społeczne: z jednej strony plebejusz, który wszystko zawdzięcza rewolucji i cesarzowi (Féraud); z drugiej patrycjusz z zapleczem w ancien régime, służący nowemu reżimowi (d’Hubert). Tego typu mieszanina klas społecznych z premedytacją stosowana przez Napoleona w szeregach jego armii dowodzi jego inteligencji. Od samego początku rozumiał potrzebę współistnienia tych dwóch typów Francuzów, starej gwardii i młodych arywistów. Takie było zresztą ostatecznie przesłanie filmu. Nawiasem mówiąc, ostatnia scena pokazuje Férauda, granego przez Harveya Keitela, w jego kapeluszu typu bikorn na głowie, widzianego od tyłu, osamotnionego i przegranego, kontemplującego krajobraz Francji ze

szczytu sielankowego wzgórza: jest to oczywiście alegoria cesarza.

Tam jednak ograniczył się pan do tej metafory – jakie książki lub filmy zainspirowały pana do stworzenia „własnego” Napoleona?

– O Napoleonie napisano ponad 10 tysięcy książek. Nie przeczytałem nawet ułamka tego ogromu, przyznaję się. Kieruję się intuicją, która z kolei każe mi podążać za wizerunkami. W tamtych czasach było wielu utalentowanych malarzy, którzy pilnie pracowali jako świadkowie wielkiej historii. Oni byli moją inspiracją.

A co z filmami Abła Gance’a czy Siergieja Bondarczuka?

– Nie można porównywać twórczości Abła Gance’a z lat 20. z dzisiejszym kinem. To była bardziej kwestia fotografii (spektakularnych i wspaniałych, nawiasem mówiąc) w ruchu niż filmu w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jeśli chodzi o Siergieja Bondarczuka, zajmuje się on tylko jednym epizodem eposu Napoleona, bitwą pod Waterloo, i pokazuje tylko jedną stronę cesarza – przygnębionego, rozczarowanego, zagubionego człowieka. Czulem zawsze, że postać Napoleona zasługuje na ponowne zbadanie w bardziej współczesny i intymny sposób. Kąt, który wybrałem, był następujący: kim naprawdę był ten człowiek prywatnie, jakie były jego ukryte wady, które doprowadziły go do upadku, choć miał świat w garści? Sama batalistyka, akcja i seks mogą bardzo szybko zmęczyć widzów. Potrzeba czegoś więcej. Dobry film musi wchodzić w psychologię postaci, ja w każdym razie się w nią ładuję z buciorami. Napoleon miał słaby punkt – i była nim Joséphine de

NASZA EUROPA

Beauharnais, miłość jego życia. To była moja główna założona zasada przy tym scenariuszu.

Wiadomo skądinąd, że na początku ich relacji nie była pod wrażeniem generała Bonaparte. Dopiero stopniowo, z biegiem czasu zaczęła szanować swojego męża, a nawet poczuła do niego coś w rodzaju sympatii. Aż do fatalnego momentu, kiedy ją odprawił, ponieważ nie była w stanie dać mu potomka. Była to separacja, która fatalnie dotknęła ich oboje.

Napoleon jest wdzięcznym celem dla rewizjonistów historii, nazywa się go łatwo „rzeźnikiem”, „tyranem”, „właścicielem niewolników”, „mizoginem” i tak dalej. Zasłużył sobie?

– Myślę, że odpowiedź może leżeć w tych 10 tysiącach książek napisanych na ten temat, których nie przeczytałem. Ale jaka jest prawda? Nie oceniamy zbyt lekko ludzi odległych epok. Pierwsze teksty próbujące oszacować jego dokonania pojawiły się tuż po jego śmierci, w 1821 roku. Potem czas mijał, wspomnienia się rozmywały, ustępując doktrynom, historycy opierali się na swoich poprzednikach, a ci na relacjach z drugiej ręki itd.

Dla mnie istota charakteru tego człowieka tkwi nie w biografiach tworzących białą czy czarną legendę, ale w jego korespondencji z Joséphine. Listy te są zdumiewająco szczere, a czasem wręcz dziecinne. Ukazują człowieka szalenie zakochanego. Wyobrażcie sobie: ten facet porzucił nawet swoją armię w Egipcie, aby dołączyć do Joséphine we Francji, ponieważ dowiedział się o jej niewierności!

We Francji istnieje coś, co można nazwać paradoksem napoleońskim: w 2021 roku, w dwusetną rocznicę jego śmierci, mogliśmy się spodziewać hołdu narodowego od Republiki, która zawdzięcza mu tak wiele, jeśli nie wszystko. A jednak miał tylko kilka poświęconych sobie pomniejszych wystaw tu i tam. Natomiast za granicą przeciwnie, jest celebrowany, nawet przez swoich dawnych śmiertelnych wrogów, jak Anglicy (choć już Winston Churchill go podziwiał) i Rosjanie. To samo dotyczy nawet Chin i Ameryki. Jak to wyjaśnić?

– Po pierwsze, zastanówmy się przez chwilę, czy znalazłby się jakiś temat, w którym wszyscy Francuzi się zgadzają i osiągają konsensus... Po drugie, każdy kraj patrzy na to przez pryzmat własnej kultury. W Ameryce podziwiają self-made mana, w Chinach człowieka z ludu, któremu nowy system zaoferował możliwości, i tak dalej. Moim zdaniem, aby być przywódcą tej rangi, trzeba być przede wszystkim absolutnie bezwzględny w podejmowaniu decyzji, tracąc życie jednych, by ratować wielu innych.

W napisach końcowych wymienia pan francuskie straty wojskowe spowodowane wojnami napoleońskimi (milion ludzi), ale nie wspomina o stratach antynapoleońskiej koalicji (które mogły wynieść 2 miliony). Tak jakby tylko on wysyłał swoich żołnierzy na śmierć.

– Wszystkie te liczby z przeszłości należy traktować z dużą ostrożnością. W każdym razie każda wojna jest zawsze synonimem śmierci. Nigdy nie ma zwycięzców. Tylko przegrani.

Zapytam wprost: czy pańskim zdaniem spuścizna Napoleona jest pozytywna, czy negatywna?
– To pozostanie nierozwiązywalnym dylematem. Prawdopodobnie jedno i drugie. Trzeba w każdym konkretnym przypadku jego wpływu na historię rozważyć za i przeciw.

To pytanie kieruję do Anglika: czy uważa pan, że zesłanie na Świętą Helenę, gdzie Napoleon umierał długo i boleśnie, było sprawiedliwym potraktowaniem takiego człowieka?

– Z punktu widzenia zwycięzców nie było wielu innych rozwiązań. Stracenie go lub postawienie przed sądem nie było politycznie możliwe. Wygnanie go na zagubioną wyspę na Oceanie Atlantyckim, 1800 kilometrów od wybrzeży Afryki, było z pewnością surową decyzją, ale czy Anglia miała wybór? Nie zapominajmy, że on uciekł już z Elby w 1815 roku, by powrócić i siać chaos w Europie. A potem pozwolono kilku generałom (i ich żonom) towarzyszyć mu na wygnaniu. Wciąż prowadził życie towarzyskie na Wyspie Świętej Heleny, o czym świadczą listy pisane przez pewną dziewczynę z wyspy, która widziała cesarza jeżdżącego konno dla zażycia odrobiny ruchu i która czasami bawiła się bikornem tego Francuza, którego uważała za czarującego... ●

Nowy światowy nieład

Unia się rozpadnie?

Oto kilka ustaleń nowych globalnych sondaży, po których nie zaśniecie tej nocy. Ale pomagają one zrozumieć, na czym polega obecny światowy nieporządek

Timothy Garton Ash

Trwająca konfrontacja USA i Chin skłania wielu obserwatorów do wielkich dwubiegunowych uproszczeń. Nowa zimna wojna! Zachód kontra reszta świata! Demokracja kontra autokracja! Podbijmy serca globalnego Południa! Jednak wielki szwajcarski historyk Jacob Burckhardt kazał się wystrzegać „strasznych uproszczeń”. Mądrość zaczyna się od zrozumienia, że nasz świat składa się dziś z wielu wielkich i średnich mocarstw, które wcale nie podzieliły się na dwa obozy.

Opublikowane właśnie wyniki serii globalnych sondaży pomagają zrozumieć, na czym polega nowy światowy nieporządek. Na zamówienie think tanku Europejska Rada Stosunków Zagranicznych i projektu badawczego Uniwersytetu Oksfordzkiego „Europa w zmieniającym się świecie”, którym współkieruję, już po raz drugi przeprowadziliśmy ankietę w krajach, które nazywamy w skrócie „cytrusowymi”, czyli w Chinach, Indiach, Turcji, Rosji i Stanach Zjednoczonych (CITRUS: China, India, Turkey, Russia, United States), do których tej jesieni dołączyliśmy pięć dużych krajów pozaeuropejskich – Arabię Saudyjską, Indonezję, RPA, Brazylię i Koreę Południową – oraz jedenaście krajów europejskich.

Oto kilka ustaleń, po których nie zaśniecie tej nocy. Ponad połowa ankietowanych w Chinach, Arabii Saudyjskiej i Turcji stwierdziła, że Stany Zjednoczone prowadzą wojnę z Rosją. Zdaniem zdecydowanej większości respondentów w tych krajach – a także w Indiach i Indonezji – w ciągu pięciu lat Rosja wygra wojnę w Ukrainie.

Ponad połowa ankietowanych w Chinach, Arabii Saudyjskiej i Rosji sądzi, że najprawdopodobniej Unia Europejska rozpadnie się w ciągu najbliższych 20 lat. Podobnego zdania było 45 proc. respondentów w Turcji – kraju będącym uznanym kandydatem do członkostwa w rzekomo rozpadającej się Unii – oraz, co dość szokujące, ponad jedna trzecia pytanych o to Europejczyków.

Wystąpiła, co ciekawe, korelacja między wiarą w prawdopodobny rozpad UE i w prawdopodobną wygraną Rosji w Ukrainie.

Wszystko to razem świadczy dobitnie o tym, jak ważna dla wiarygodności zarówno Europy,

jak i Stanów Zjednoczonych jest wojna w Ukrainie.

Zakończyliśmy nasz sondaż jeszcze przed wybuchem kolejnej wojny – tym razem między Izraelem a Hamasem – która nasiliła światowy nieporządek. Niemniej jednak spytaliśmy o prawdopodobieństwo bezpośredniej konfrontacji militarnej o Tajwan między Stanami Zjednoczonymi a Chinami w ciągu najbliższych pięciu lat. Za prawdopodobną uznano ją 52 proc. ankietowanych w Chinach i aż 39 proc. w USA odpowiedziało, że jest to realna opcja. Może to być samosprawdzająca się przepowiednia.

I kolejny wynik, który może zakłócić nam sen. W krajach, które nie dysponują jeszcze bronią jądrową, znaczny odsetek ankietowanych – 62 proc. w Arabii Saudyjskiej, 56 proc. w Korei Południowej, 48 proc. w Turcji i 41 proc. w RPA – opowiedział się za jej uzyskaniem.

Ale są też dobre wieści dla Zachodu. Europa i USA wygrywają z dziecinną łatwością konkurs

Są też dobre wieści dla Zachodu. Europa i USA wygrywają z dziecinną łatwością konkurs piękności w kategorii soft power

piękności w kategorii soft power.

Na pytanie: „Gdzie wolałbyś mieszkać, jeśli nie we własnym kraju?”, wyraźna większość obywateli Brazylii, Arabii Saudyjskiej, RPA, Korei Południowej i Turcji wskazała Europę lub Stany Zjednoczone. Tylko w RPA odsetek osób wybierających Chiny przekroczył 10 proc., prawie nikt zaś nie chciałby zamieszkać w Rosji.

Jednak atrakcyjność Zachodu to coś więcej. Z wyjątkiem Rosji mieszkańcy badanych krajów preferują „Stany Zjednoczone i ich partnerów”, a nie „Chiny i ich partnerów” w kwestii praw człowieka i przepisów regulujących funkcjonowanie internetu. Nie uważają też Rosji za część Europy „pod względem obowiązujących tam wartości politycznych”, co jasno dowodzi, że kojarzą Europę z systemem wartości politycznych.

Są wyraźnie rozczarowani twardą siłą Europy, a zarazem nadal pod wrażeniem twardej siły USA. W obszarze handlu preferowanym partnerem są Chiny, ale prawie wszystkie badane kraje wolą od nich Stany Zjednoczone, gdy chodzi o „współpracę w zakresie bezpieczeństwa”.

Zadaliśmy też trudniejsze pytanie: „Gdzie wolałbyś się znaleźć, gdyby twój kraj musiał wybierać między przynależnością do bloku amerykańskiego lub chińskiego?”. USA wygrały bezapelacyjnie. Gdyby przyszło co do czego, mieszkańcy Brazylii, Indii, Arabii Saudyjskiej, RPA, Korei Południo-

wej i Turcji wybraliby blok pod przywództwem Ameryki. Indonezja to bardziej złożony przypadek, ale zarówno w tej kwestii, jak i w wielu innych, jedynym wyraznym wyjątkiem jest Rosja.

A więc reszta woli Zachód? No cóż, może, gdy będzie zmuszona do wyboru. Jednak nasze dwa sondaże, w połączeniu z innymi przesłankami, wskazują, że tak naprawdę zdaniem większości w tych krajach wybór nie jest konieczny.

Można utrzymywać bliskie stosunki gospodarcze z Chinami, opierać bezpieczeństwo na współpracy z USA, a zarazem korzystać ze wszystkich uroków europejskiej soft power. Świat wielu konkurencyjnych mocarstw pozwala wybierać wedle gustu.

Taki wielobiegunowy świat umożliwi nie tyle multilateralizm, ani nawet niezaangażowanie w rozumieniu z czasów zimnej wojny, ile to, co indyjski przywódca Narendra Modi nazwał polityką „multi-alignment” – wielkie mocarstwo otoczone innymi mocarstwami dba o swoje interesy narodowe, podążając tam, dokąd je one poprowadzą, i wchodząc w różnych kwestiach w różne sojusze.

Wraz z moimi współpracownikami, Ivanem Krastevem i Markiem Leonardem, nazwaliśmy to światem à la carte w kontrze do dawnego zimnowojennego menu, do którego lubi wracać prezydent Joe Biden w binarnych ramach „demokracja kontra autokracja”.

Wielu pasjonowało się planszą „Dyplomacją”, choć gra ta doprowadziła do zerwania wielu przyjaźni. Grały ze sobą wielkie mocarstwa z początku XX wieku, tworząc wieczyste święte przymierza, a potem zdradziecko zmieniając strony, zostawiając najlepszych przyjaciół na lodzie. Ale od początku XXI wieku rozgrywana w realu „Dyplomacja” objęła świat i stała się grą czterowymiarową. Można związać swoje bezpieczeństwo ze Stanami Zjednoczonymi, przymilając się zarazem do Rosji w kwestii energii i do Chin w obszarze handlu. Grą zainteresowane są nie tylko wielkie pozaeuropejskie potęgi – gra w nią nawet także Serbia Aleksandra Vučića, a największym cynikiem na planszy jest Węgier Viktor Orbán.

Nie wyciągajmy na Zachodzie wniosku, że mamy wobec tego porzucić nasze wartości. Raczej że winniśmy zmądrzeć, postrzegać świat takim, jaki jest, a nie jakbyśmy chcieli, by był.

Unikajmy wszelkich binarnych uproszczeń, zamiast tego opracujmy ukierunkowane strategie dla poszczególnych wielkich i średnich mocarstw, takich jak Indie, RPA czy Turcja. Nie wygra ten, kto nie zrozumie nowych reguł gry. ●

tłum. Sergiusz Kowalski
Timothy Garton Ash jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i Senior Fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Twitter: @fromTGA



NAPOLÉON



FOT. MUSÉE DE L'ARMÉE/DOMENA PUBLICZNA

**Stworzył
nowoczesną
Europę,
a być może także
współczesny
naród polski**

Paweł Wroński

NIE JA DAWAŁEM SŁOWO HONORU

Kapelusze Napoleona – bikorny w stylu „petit” powstające w paryskiej pracowni Poupard et Delaunay – przez lata pozostawały w niezmienionej formie.

Ten typ, popularny w XVII wieku wśród jeźdźców i marynarzy – podobny nosił Nelson – stał się znakiem rozpoznawczym dla „boga wojny”. Był poręczny, szczególnie dla arystokratów noszących peruki, bo łatwo było go nosić pod pachą, a artylerzystom rondo nie zasłaniało panewki. We Francji zachował się m.in. ten uszkodzony w bitwie pod Waterloo, którego cesarz nie zdążył odebrać z naprawy. Słynny kapelusz Brytyjczycy włożyli w 1821 roku do jego trumny na Wyspie Świętej Heleny.

Na wielkim portrecie koronacyjnym z 1805 roku François Gérarda Napoleon nie

ma swojego kapelusza. Trzyma laskę cesarską, a skronie zdobi mu złoty wieniec. Cesarz Napoleon I ma zimne, wyniosłe spojrzenie. Ale to, że oczy cesarza na obrazie są nieczule, a wręcz „gadzie”, Francuzi zaczęli dostrzegać po 1815 roku, gdy dymyły kopce, na których palono zwłoki poległych pod Waterloo, a białe brzozy porastały kopczyki na szlaku od Moskwy do Wilna. Autor tego dzieła sposobił się zresztą już do innej pracy. Ten były członek Trybunału Rewolucyjnego swoim talentem służył królom Ludwiko- wi XVIII i Karolowi X.

Oddajmy głos największemu krytykowi cesarza i jednemu z najbardziej inteligentnych ludzi epoki – Chateaubriandowi: „Nie przeczę, że Bonaparte, kontynuator triumfów Republiki, posiał wszędzie zasady nie-

zależności; przyczyniły się do zerwania więzi z królami, wydarły je spod władzy starych obyczajów i idei. Niepodobna mi jednak się zgodzić, że z własnej woli i świadomie dążył do wolności politycznej i obywatelskiej narodów. Bonaparte jak urodzony suweren szukał tylko samowładztwa. Ponieważ naturę miał gwałtowną, rzucał się na świat i szarpał go”.

Epopeja napoleońska kosztowała życie około 4 milionów mieszkańców kontynentu. W tym miliona Francuzów. Od tego czasu Francja przestała być najludniejszym krajem Europy. Największa i zapewne decydująca czterodniowa bitwa pod Lipskiem to 130 tysięcy zabitych, w tym nasz książę Józef Poniatowski, mianowany

jako jedyny spoza grona Francuzów marszałkiem. Dopiero wielomiesięczne walki nad Sommą, pod Verdun i bitwa pod Łódzią z I wojny światowej mogły się równać tej masakrze.

Wojny napoleońskie to ulańskie czaka i amaranty zapięte pod szyję, helmy kirasjerów, zgrabne mundury, spodnie tak wąskie, że trudno w nich było wejść po schodach, szaleńcze szarże kawalerii, huk dział, generał Sowiński pod Borodino, któremu kula urywa nogę, ale on dalej kieruje ogniem, obraz Starej Gwardii, która „umiera, ale się nie poddaje”. Scenografia dla jednej roli wielkiego człowieka i zarazem pytanie o granice możliwości ludzkich i rolę jednostki w historii. Na ile jeden człowiek – wywodzący się znikąd – może poruszyć mechanizm świata.

To pytanie w ponurej wersji pojawiło się ponownie wraz z Adolfem Hitlerem, który rzucił część armii w kierunku Egiptu, a Rosję zaatakował 22 czerwca, dokładnie w ten sam dzień, gdy Napoleon przekroczył Niemen.

Heinrich Heine pisał o nim jako o „duchu świata na koniu”, Adam Mickiewicz w gronie towarńców oddawał cześć boską, bo sam w sobie był postacią „nie do uwierzenia”. Francuzi szukają tajemnic w pochodzeniu. Widzieli w nim potomka „Żelaznej Maski” – legendarnego brata Ludwika XIV, jednego z kondotierów – wodzów Sacco di Roma albo szukali uparcie na Korsyce jakiejś królowej Olimpias, która zrodziła nowego Aleksandra Macedońskiego. W czasie gdy szlachetność rodzinnej krwi określała przymioty potomka, wydawało się nieprawdopodobne, by syn drobnego szlachetki z korsykańskiego Ajaccio nazwiskiem Buonaparte (Napoleon zmienił je na bardziej francuskie) stał się bohaterem epoki.

Do końca życia miał trudności z językiem francuskim, a swoich wodzów wyzywał najbardziej ordynarnymi włoskimi przekleństwami. Nie miał wyższego wykształcenia poza szkołą artylerii w Brienne. Stał się najlepszą reklamą rewolucji francuskiej, która uczyniła ludzi równymi. Przemierzając Europę, czynił ludzi wolnymi, wprowadzał zasadę równości wobec prawa wraz z kodeksem cywilnym, nowoczesną administrację, oddzielał państwo od Kościoła. Obudził do zjednoczenia Włochy i Niemcy. Wkraczając na tereny dawnej I Rzeczypospolitej i czerpiąc wiedzę o naszym kraju z „Historii anarchii” Klaudiusza de Rulhiere’a, zadał pytanie: „Obaczę, czy Polacy godni są jeszcze być narodem”.

Dzisiaj pojawia się pytanie, czy Napoleon zrobił dla Polski tyle, ile powinien, czy wiarę, lojalność i odwagę naszych żołnierzy wykorzystał niczym przywiązanie Marii Walewskiej. Spróbujmy jednak odwrócić to pytanie. Czym i czy była by Polska bez epopei napoleońskiej?

Do zamku w Dreźnie 22 lipca 1807 roku przybyła delegacja z byłym marszałkiem Sejmu Czteroletniego Stanisławem Małachowskim, Józefem Wybickim, Stanisławem Kostką Potockim. Ludzie epoki minionej, którą zamknęła klęska insurekcji, przywieźli Konstytucję 3 maja i sugestie o przyszłym kształcie ustroju państwa. Napoleon nawet nie zwracał sobie głowy tymi projektami, uznając, że nie odpowiadają ówczesnym czasom. Podyktował tekst Konstytucji, wręczając ją księciu saskiemu (uważał, że Polacy najbardziej szanowali dynastię saską).

W ten sposób jednym ruchem przeniósł nasz kraj w kategorię nowoczesności, unieważniając przynajmniej na krótko odwieczny spór kontuszy (dowodzących wyjątkowości i odmienności dziejów Polski) z frakami (zwolennikami nowoczesności i europejskości).

Niebawem wszyscy razem znaleźli się w armii, której epopeja stała się heroicznym zaczynem polskiego narodu. Wszak dzięki uznaniu dla jej bohaterstwa car Aleksander I nałożył koronę króla Polski. A po powstaniu listopadowym pamiętniki, wspomnienia i pogrzeby weteranów (a nawet wdów po weteranach) stały się przypomnieniem narodowej wielkości.

To nie Kościuszkowo w sukmanie, ale książkę Pepi w ulańskiej burce zarzuconej na ramię wprowadzał nas w nowoczesność.

Napoleon pozostawił po sobie nieudane romansidło oraz dekrety i rozkazy wielkiej armii będące faktycznie literackimi pomnikami jego chwały – XIX-wieczną „Wojnę galijską”, rywalizującą z Juliuszem Cezarem w lapidarności stylu. Sam tworzył własną legendę. Nie przyznawał się do błędów, nienawidził kotów, nie podobał mu się system metryczny, lubił grać w szachy, jeździł na białym koniu arabskim. Wszystko nieustannie liczył (szczególnie okna w domach, w których nocował), spał po dwie godziny, ucinając sobie kwadrans

sowe drzemki. Miał fenomenalną pamięć, był świetnym matematykiem, czytał dużo – a książki, które go nie interesowały, wyrzucał za okno powozu. Jego nieszczęśliwa miłość do Józefiny, operetkowe awantury z włoską rodziną, wobec której był niezwykle lojalny – nadawały mu ludzki wymiar. Tysięczne kopie jego powiedzeń: „po pierwsze nie mamy armat”, „osły i uczeni do środka” i szczególnie ulubione przez publicystów „w polityce głupota nie jest przeszkodą” – nadal mają świadczyć o erudycji autorów.

Równocześnie stał się zaprzeczeniem idei rewolucji francuskiej, wszak na koniec stworzył nową arystokrację, przywracając tytuły, a w armii stopień marszałka wywodzący się z dawnej Francji. Nakazał nawet swojemu bratu Hieronimowi rozwieść się z Elizabeth Patterson – Amerykanką, córką kupca – i ożenić się z księżną wirtemberską, bo taka żona nie przystoi rodzinie cesarza (potomek Hieronima i Elizabeth był później prokuratorem generalnym). Kroił i zmieniał nieustannie mapę Europy zgodnie z własnymi interesami. Wbrew idei wolności ludów wprowadził na powrót niewolnictwo w koloniach. Głosząc wolność przekonań, wyganiał z kraju literatów, a w prasie wprowadził bezwzględną cenzurę.

Jego wojenna sława rozpoczęła się od przełamania blokady Tulonu w 1793 – głównego francuskiego portu wojennego nad Morzem Śródziemnym, gdzie bunt rojalistów wspierała angielska flota. Dowódcy republikańskich oddziałów byli zupełnie niekompetentni, dowódca artylerii chory, zastąpił go Napoleon – jako artylerzysta uznał, że okoliczne wzgórza świetnie nadają się do ostrzału, ściągnął około 100 dział z całej okolicy, przeszkolił obsługę i przygnoił obrońców ogniem; na szczęście był akurat ranny w szpitalu, gdy w zdobytym mieście rewolucjoniści urządzili masakrę kilku setek jeńców. Wówczas stał się mężem opatrnościowym Republiki. Stał się nim powtórnie po roku, gdy ocalił rządzący skorumpowany Dyrektoriat, roztawiając w Paryżu armaty w odpowiednim miejscu i zamiast prób negocjacji w odpowiednim momencie wydając komendę „ognia”.

W kampanii włoskiej zyskał sławę niezwycięzonego wodza. Dlaczego? Bo żaden z liczących się generałów rewolucyjnej Francji nie zamierzał dowodzić zdeorganizowanymi nielicznymi siłami. Francuska armia była o połowę mniejsza niż siły austriackie i ich sojuszników. Włochy miały być jedynie dywersją wobec głównych działań nad Renem.

To tam, we Włoszech, rodzi się mit Bonaparte, jakiego znamy. Pod Lodi zostaje nazwany przez własnych żołnierzy „małym kapralem” – tak umiejętnie ustawia artylerię, a wówczas to kaprale ustawiają działa. Scena na moście w Arcole, gdy podejmuje sztandar i na czele rusza do ataku, staje się jednym z ikonicznych obrazów jego legendy. Przy czym – nie, Francuzi mostu nie zdobyli, cesarz pośliznął się i spadł w błoto, a postrzał na pierś przyjął jego adiutant, pułkownik Mourion.

We Włoszech w małej skali czyni to, co później będzie czynił w całej Europie. Kroić granice państw, przyłącza do Francji nowe terytoria, powołuje nowych władców, zawiera traktaty, w tym z papieżem Piusem IV – sam, bez jakiegokolwiek upoważnienia władz w Paryżu. Rabuje. Wie, że nikt mu nie zagrozi, dopóki zwycięża.

Podczas drugiej kampanii włoskiej, pod Marengo wygrywa bitwę w zasadzie już przegraną. Tam uczy, „jak zwyciężać mamy”, Legiony Polskie generała Jana Henryka Dąbrowskiego, którego patriotyzm w Polsce kwestionowano i nazywano „Niemcem”.

Gdy legiony okazują się niepotrzebne, a dodatkowo dochodzą go pogłoski o republikańskich spiskach wśród Polaków, odsyła ich na Haiti.

Bóg wojny” jest przedstawiany jako dowódca uwielbiany przez żołnierzy, którzy szli do ataku ze słowami „niech żyje cesarz”. Nasz Jan Kozieltulski wszak

pod Somosierrą wołał: „Naprzód psiakrew, cesarz patrzy” – tak jakby wzrok cesarza był najwyższym zobowiązaniem. W rzeczywistości Napoleon traktował armię jak narzędzie. Cóż ofiarowywał tej rzeszy ludzi? Dumę z bycia żołnierzem jego armii, wiarę w zwycięstwo i czynienie rzeczy wielkich. Podczas szalonej wyprawy do Egiptu wzorował się na Aleksandrze Macedońskim, który dotarł do Indii. Tym razem chodziło o odcięcie Wielkiej Brytanii od jej perły w koronie, a w przyszłości budowę kanału. Plan wtedy szalony. Przemawia pod piramidami: „Żołnierze, czterdzieści wieków na was patrzy”.

W czasie kampanii jada z żołnierskiego kotła (nie jest smakoszem, co pogłębia jego problemy gastryczne), a czasami wraz z wojakami idzie za potrzebą w krzaki. Rozmawia z podwładnymi, wychwalając ich odwagę, wymieniając nazwiska i wspólnie przeżyte bitwy, a oni są dumni, że o nich pamięta (nazwiska czasem podpowiadają mu adiutanci). W „Monitorze” i w „Biuletynie” Wielkiej Armii jest miejsce na opisy indywidualnego aktu heroizmu poszczególnego żołnierza, ale przede wszystkim opisy chwały wodza. Oraz zmyślone fakty i zdarzenia służące utrwaleniu legendy. „Życie Napoleona jest niezaprzeczalną prawdą, której opowieści podjęło się kłamstwo” – to znów Chateaubriand.

Pod Marengo płakał nad poległym generałem Desaix, przyjacielem, który brawurowym kontratakiem uratował go w bitwie, czasami w zadumie przechadzał się po polowisku. Równocześnie uważa, że żołnierz jest po to, aby ginął. A zanim zginie, maszerował tam, gdzie ma zginąć.

Zostawił swoją armię „patrzącą na czterdzieści wieków” w Egipcie – odcięty przez Anglików, gdy tylko jasne się staje, że jego plan jest fantasmagorią, ale całkiem realne jest przejście władzy w Paryżu. W monumentalnym tomie o Jeruzolimie Simon Sebag Montefiore opowiada o ornacie w armeńskim kościele ofiarowanym przez Napoleona. Skąd ten ornat, i to w Jeruzolimie? To podziękowanie za zaopiekowanie się kilkuset rannymi żołnierzami. Pierwotnie Napoleon wydał rozkaz, aby ich otruć, bo nie jest w stanie ich ewakuować, ale lekarze armijni nie chcieli wykonać rozkazu. Wtedy przyszli mnisi.

Z tego punktu widzenia nie był wielkim nadużyciem rozkaz wymordowania jeńców wojennych – obrońców Jaffy, którzy poddali się zapewnieni przez jednego z dowódców, że pozostaną przy życiu. Napoleon oznajmił, że nie on dawał słowo honoru, a więźniowie opóźnią marsz. Francuski malarz Antoine-Jean Gros pobył generała w Jaffie uwiecznił na słynnym obrazie „Napoleon w szpitalu zadżumionych w Jaffie” – manifestie ludzkiego losu i humanizmu. Nie, Napoleona tam nie było.

Dwanaście lat po egipskiej ekspedycji, w grudniu 1812, w nocy, gdy w okolicy Orszy na Białorusi zamarzało nawet powietrze, cesarz opuścił swoją armię i w saniach z inicjałami „S.A.”, ostatniego króla Polski, ruszył na zachód. Francuzi ten skrót przełożyli sobie na „sans adieu” – bez pożegnania. Jego straż przyboczną stanowili oczywiście Polacy. Lekarz Starej Gwardii doktor Rene Bourgeois napisał: „Nikt z nas nie oczekiwał, że Napoleon nas zostawi”; gdy poszedł na biał, usłyszał, jak starszy wiekiem major grenadierów rozmawia z towarzyszem: „No i zwał bandytą, czyż nie?”. „Właśnie przejechał, zupełnie jak w Egipcie”.

Jako dowódca stworzył własny sposób prowadzenia wojny, nasycił armię francuską artylerią, którą kierował niczym pistolet w wybrane miejsce bitwy (pod Iławą artyleria została wysunięta przed szeregi 400 metrów od pozycji rosyjskich), stworzył koncepcję ubezpieczonych kolumn, które rozwijały się w tyraliery bezpośrednio przed przeciwnikiem, zaskakując niespodziewanym atakiem. Dzięki wielkiemu szefowi sztabu Louisowi-Alexandre’owi Berthierowi doskonale planował wielkie kampanie. Miał nieprawdopodobny instynkt i w zamęcie bitwy dostrzegał słaby punkt przeciwnika.

Z barwnej grupy napoleońskich marszałków Louis Nicolas Davout, może jeszcze w mniejszym zakresie Massena i książę Poniatowski prowadzili samodzielne kampanie.

Do momentu, gdy jego armia była w ruchu, a starzy dowódcy wroga stosowali szyk fryderycjański (żołnierze prowadzą ogień w równych szeregach), był niezwykło-ny, gdy nowe pokolenie – na przykład Karl Schwarzenberg, przyjaciel Poniatowskiego z dzieciństwa – zaczęło stosować jego taktykę, zaczął przegrywać – tak jak pod Aspern w 1809 roku.

Na Świętej Helenie, podgryzany w Longwood przez stada szczurów (precz z kotami), rozważał, co przywiodło go ku klęsce: „Czy Rosjanie przywieźli mnie do upadku? Nie, to fałszywe raporty, bezsensowne intrygi, zdrada, głupota i wiele jeszcze innych rzeczy, które wyjdą na jaw”. Zapewne „bóg wojny” nie musiał wikłać się w wojnę hiszpańską, a jeśli już się wikłał, to nie powinien tam wysłać zwalczających się dowódców. Błędem była kampania rosyjska, a skoro już się rozpoczęła, wojska cesarskie powinny się zatrzymać po zdobyciu Smoleńska albo kierować się do Ukrainy, jak doradzał książę Poniatowski.

Być może powodem przegranej było to, że przestał być wyjątkowym wodzem i postanowił być typowym monarchą? Spłodzić potomka, założyć dynastię, która będzie rządziła imperium. W wiedeńskim Hofburgu przechowywana jest złota kołyska, ciężka, koszmarna niczym sarkofag. W nim miała być nadzieja na wieczność. Dlatego porzucił Józefinę, która twierdziła, że to z jego powodu nie mogą mieć dzieci (tymczasem Maria Walewska dała mu potomka).

W tej kołysce miał się wychować przyszły władca Europy. Syn Napoleona i przejętej w charakterze łupu wojennego od Habsburgów po bitwie pod Wagram arcyksiężniczki Marii Luizy – Napoleon II książę Reichstadt.

Maria Luiza została księżną Parmy, a „Orlątko” zakładnikiem wielkich mocarstw. Na przełomie XIX i XX wieku w całej Europie świeciła sukcesy sztuka Edmonda Rostanda (autora „Cyryla de Bergerac”) o „Orlątku”, który wierny swojemu przeznaczeniu usiłuje uciec z wiedeńskiego Schonbrunn. A wcześniej o Napoleonie i „Orlątku” śnił stary subiekt – Ignacy Rzecki z „Lalki”.

„Orlątko” zmarło w wieku dwudziestu lat.

W trakcie koszarnej zimowej kampanii polskiej 1806 roku generał Armand de Caulaincourt zapisał słowa cesarza, gdy ten stanął w ubogiej chacie pod Pułtuskim, a biedna chłopka, na pół ubrana, rozniecała w palenisku nędzny płomyk.

Widząc taką biedę, Napoleon dał jej kilka monet, które okazały się niewyobrażalnym majątkiem. Cesarz wpadł w zachwyt, że tak niewielką sumą można uszczęśliwić ludzi: „Nie mogę się doczekać, Caulaincourt, dnia, kiedy nastanie ogólny pokój, bym mógł trochę odpocząć i odegrać rolę dobrego człowieka. Spędzimy cztery miesiące każdego roku, podróżując w granicach naszego państwa. Obejrzę paleniska w chatach naszej Francji”.

Nie udało się. ●

Beletryzowana dwutomowa biografia „**Napoleon**” Maxa Gallo, globalne „**Wojny napoleońskie**” Alexandra Mikaberidze i niestroniący od kontrowersji „**Napoleon**” Andrew Robertsa dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.

A na Kulturalnym sklepie i Publio.pl monumentalni „**Władcy Polski**” Mirosława Maciorowskiego i Beaty Maciejewskiej.



Napoleon ma minę 10-latka zmuszanego do wypicia gorzkiego lekarstwa. Jest cesarzem Francuzów, zwycięzcą spod Austerlitz, Jeny i Frydlandu, zdobywcą połowy Europy, ale Letycja Bonaparte nie należy do tych matek, które wiek czy kariera syna powstrzymuje od prób układania mu życia. Francja potrzebuje dziedzica, mówi, a ty musisz wiedzieć, czy jego brak to wina twoja, czy Józefiny. W pokoju obok czeka piękna, naga kobieta, idź ją zapłodnić.

Napoleon wie, że jeśli test wypadnie pozytywnie, będzie musiał rozwieść się z miłością swojego życia, więc idzie jak na ścięcie. Ale idzie. Patrzy na leżącą w łóżku dziewczynę, wzdycha i gasi świece.

To scena z „Napoleona” Ridleya Scotta, najnowszego podejścia do życiorysu cesarza Francuzów, którego podobno tylko Jezus wyprzedza w liczbie napisanych na jego temat książek. Brytyjski reżyser nie zrobił jednak biografii Wielkiego Człowieka; przeciwnie, przedstawił Napoleona jako małego (charakterem, nie wzrostem) człowieka z wielkim ego i widowiskowym talentem militarnym. Na polu bitwy Napoleon jest skupiony, decyzyjny i nadludzko – nie licząc oczywiście Waterloo, które dostaje najwięcej czasu ekranowego – skuteczny. Nie powstrzymuje go ani ustrzeżenie pod nim konia – kulą armatnią! – ani przewaga wroga, ani dziesiątki tysięcy żołnierzy, których poświęca, by wygrać: prze do przodu jak rekin, który umiera, gdy się zatrzyma. Dużo gorzej idzie mu w relacjach międzyludzkich i zwłaszcza w sypialni.

Człowiek, który przesuwiał granice państw, obalał władców i sam nałożył sobie na głowę cesarską koronę, u Scotta zostaje maminsynkiem płynnie przechodzącym spod kurateli jednej silnej kobiety pod pantofel drugiej. Pochłaniający książki intelektualista i pragmatyk traktujący otoczenie przedmiotowo – „lubię tylko tych ludzi, którzy są dla mnie użyteczni, i tylko tak długo, jak pozostają użyteczni”, napisał na Świętej Helenie – zmienia się w beznadziejnie zakochanego prostaka, tak onieśmiałonego, że odpowiada ukochanej monosylabami, no i wszystko wybacz. W filmie Scotta najważniejsze decyzje Napoleona, te mające konsekwencje dla całego kontynentu, powodowane są zazdrością o Józefinę – co może i jest romantyczne, jednak chyba zbyt proste. Nie mówiąc już o tym, że niezupełnie zgodne z tzw. historyczną prawdą. Ridley Scott na ten ostatni zarzut odpowiada, żeby historyk wyluzował, w końcu to tylko film (ewentualnie „Byłeś tam? Nie? To się, kurwa, zamknij!”).

Ale to nie tylko film: dla wielu jego widzów, tych szczególnie zainteresowanych historią, będzie to obowiązująca interpretacja Napoleona. Ostateczna brytyjska zemsta na Starym Boneyu, Ogrze i pla-dze Europy.

I ta, która Napoleona, mizogina maniakalnie kontrolującego swój publiczny wizerunek, pewnie srodze by zabolala.

Spory o Napoleona, jak pisze jego biograf Andrew Roberts, zaczęły się, zanim ten jeszcze przekroczył trzydziestkę, i trwają do dziś. Dla wielu, zwłaszcza Francuzów, ale nie tylko, był Wielkim Człowiekiem: nawet jeśli postacią niezupełnie kryształową, to bez wątpienia bohaterem. Jak to ujął Adam Gopnik w „New Yorkerze”: konstelacją, wysoko na niebie, która nie podlega moralnej ocenie tak samo jak gwiazdy. Goethe nazwał go półbogiem, Hegel – duchem dziejów na koniu. My go mamy nawet w hymnie, co, jak na jego wkład w dzieje Polski, wydaje się zbyt dużym honorem.

Dla innych, zwłaszcza Brytyjczyków, ale nie tylko, Bonaparte jest tyranem, dyktatorem, megalomanem, psychopatą, człowiekiem, którego imperialne ambicje doprowadziły do śmierci milionów ludzi. Wręcz proto-Hitlerem: też zredefiniował nacjonalizm swojej adoptowanej ojczyzny, też nie udało mu się podbić Wielkiej Brytanii i też w Rosji pokonał go generał Mróz. Wreszcie, jak to ujął jego pogromca, lord Wellington, wytaczając najgrubsze działa: nie był dżentelmenem.

Napoleon nie przestaje fascynować, bo uosabia – tak do Moskwy – wcieloną sprawczość. Człowieka, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, bo siłą woli i maniakalnie ciężką pracą czyni je możliwymi. I ponieważ Fortuna, pani zazwyczaj kapryśna i wredna, kocha go wiernie, a on umie wykorzystać dawane przez nią okazje. Co prawda hasło filmu Scotta „przyszedł znikąd, podbił wszystko” to lekka przesada – Bonaparte pochodził ze zubożalej, ale zawsze jednak szlachty – niemniej jednak droga z prowincjonalnego Ajaccio do marmurów Tuileries dla każdego innego Korsykańina byłaby równie niemożliwa do pokonania jak ta z Ziemi na Księżyc. Napoleon trafił siódmkę w totka: jego militarny geniusz, determinacja i bezwzględność wstrzeliły się w wąskie okienko czasowe, w których owe cechy mogły mu zapewnić nieprawdopodobny awans i zmienić historię nie tylko Francji, ale też Europy.

Napoleon Bonaparte urodził się na Korsyce w 1769 roku. Rok wcześniej Genua sprzedała wyspę Francji, jednak Korsykanom językowo i kulturowo bliżej było do Włochów niż Francuzów. Pierwszym językiem przyszłego cesarza był dialekt korsykański, a akcentu nie pozbył się do końca życia.

Jego ojciec, Carlo, był prawnikiem i korsykańskim patriotą, przynajmniej do czasu, gdy przestało mu się to opłacać. Matka, Letycja, prawdziwą włoską mamą: urodziła trzynaścioro dzieci, pochowała pięcioro, i to ona po wczesnej śmierci męża – w wieku 38 lat zabił go rak żołądka, to samo, co później jego najsłynniejszego syna – stała się rodzinną opoką. Napoleon powie, że zawdzięcza jej wszystko, co zrobił dobrego, i przyzna jej oficjalny tytuł Madame Mère.

Bonapartowie skorzystali z programu stypendialnego dla szlacheckich synów i wysłali dziewięcioletniego Napoleona do wojskowej szkoły w Brienne. Pisownię imienia i nazwiska na francuskie szybko zmienił, tak było łatwiej, wystarczająco mu się obrywało za akcent i skromne fundusze.

Najtrwalszym dziedzictwem Napoleona jest legenda, którą sam za życia tworzył, i kodeks cywilny. Oba są mocno antykobiece.

Katarzyna Wężyk

JAK ZMUŁA ZROBIĆ RUMAKA

Od towarzystwa kolegów wołał jednak naukę: pochłaniał dzieła filozofów oświecenia i studiował teoretyków wojskowości.

Jako nastolatek był korsykańskim nacjonalistą i marzył o wyzwoleniu ojczyzny spod francuskiego jarzma. Przeszło mu, gdy jako młody porucznik artylerii wrócił do domu. Jego rodzina postawiła w korsykańskiej polityce na złego konia i w 1793 roku musiała, niemal bez grosza przy duszy, uciekać z wyspy. Za ancien régime'u sytuacja Napoleona byłaby nie do pozazdroszczenia, ale rozpędzająca się rewolucja otworzyła przed ambitnymi i utalentowanymi młodymi mężczyznami z prowincji niemożliwe wcześniej ścieżki awansu. Co prawda często wspinali się na szczyt dosłownie po trupach arystokratycznych poprzedników, których Madame Guillotine skróciła o głowę, jednak Napoleonowi raczej nie spędzało to snu z powiek.

Armia wysłała już wtedy majora Bonaparte do Tulonu, gdzie rojalistyczne powstanie dostało wsparcie angielskiego garnizonu; europejskie potęgi, zaniepokojone tym, że zaraza rewolucji może się rozprzestrzenić, postanowiły ukarać Francję za obalenie monarchii. Napoleonowi powierzono artylerię, która odegrała decydującą rolę w zdobyciu miasta. A on sam dostał awans na generała brygady. Miał 24 lata.

Kolejnym kamieniem milowym w jego karierze był vendémiaire, czyli nieudane powstanie rojalistów w październiku 1795 roku. Terror skończył się rok wcześniej, wraz z głową Robespierre'a pokazaną wiwatującemu tłumowi na placu Rewolucji (ekspresowo przemianowanym potem

na plac Zgody), ale dyktariat, który zastąpił jakobinów, nie cieszył się popularnością. Napoleon dostał rozkaz obrony rządu i się z niego wywiązał: przywitał zbuntowany tłum paryżan ogniem z kartaczy. Kartacz to kula armatnia wypełniona mniejszymi ołowianymi kulkami, która dosłownie zmiata pierwsze szeregi mające nieszczęście znaleźć się na jej drodze, co film Scotta dobrze pokazuje. Napoleonowi nie zadrżała powieka, kiedy kierował lufy armat w stronę tłumy cywilów. Jak napisał bratu, „jeśli potraktujesz motłoch łagodnie, te kreatury pomyslą, że nic nie może im się stać, ale jeśli kilku z nich powiesisz, znudzi ich ta zabawa i staną się tak ulegli i pokorni, jak należy”.

„Podmuch kartaczy” praktycznie z dnia na dzień zmienił wychudzonego prowincjusza w brudnych butach i sfatygowanym kapeluszu w dobrze opłacanego bohatera. I właśnie wtedy poznał Józefinę.

UScotta Napoleon, grany przez 48-letniego (i wyglądającego na swój wiek) Joaquina Phoenixa, wpada na Józefinę (34-letnia Vanessa Kirby) na orgiastycznym paryskim przyjęciu. Widzi piękną kobietę o mlecznej cerze, idealnych zębach, obciętych na zapalną ciemnych włosach, w sukni z dekoltem, który nie pozostawia wiele wyobraźni, i z wrażenia traci mowę.

Na tym obrazku zgadza się fryzura Józefiny. I dekolt: empirowe suknie ledwo zakrywały sutki.

Marie-Josèphe Rose de Beauharnais urodziła się w 1763 roku na Martynice, w rodzinie plantatorów cukru. W wieku 16 lat została wydana za mąż za Aleksandra

**Dążycie do równości,
ale to szaleństwo – kobieta jest
naszą własnością tak samo,
jak drzewo owocowe jest
własnością ogrodnika**

FOT. UNITED INTERNATIONAL PICTURES SP Z O.O.



de Beauharnais. Małżeństwo nie było udane: Aleksander lubił kobiety piękne, światowe i starsze, a Rose była prowincjonalna, niewykształcona, młodzianka i nieszczerze, według ówczesnych standardów, urodziwa: opalona, ciemnowłosa, pulchna, z czarnymi od wysysania soku z trzciny cukrowej zębami. Szybko ją też zostawił dla kochanki. 20-letnia pani de Beauharnais, która już wtedy miała problem z kontrolowaniem wydatków, musiała znaleźć inne źródło utrzymania.

Zamieszkała z dwójką małych dzieci w paryskim klasztorze, który wynajmował pokoje arystokratkom. Klasztor stał się dla Rose szkołą uwodzenia: schudła, nabrała oglady, obniżyła głos, pozbyła się akcentu, nauczyła się ubierać, malować i rozmawiać, a także uśmiechać z zamkniętymi ustami. I szybko znalazła sobie starszych, bogatych protektorów, chętnych przyzwolnić zapłacić obdarzonej magnetycznym wręcz urokiem Kreolce za jej czas.

Dobra passa skończyła się wraz z rewolucją. Kiedy w 1794 roku, podczas terroru, został aresztowany jej mąż, Rose wiedziała, że będzie następna. Więzienie Carmes nazywane było przedsiönkiem gilotyny: więzione kobiety ścinały włosy, żeby nie musiał tego robić kat, i starały się zająć w ciążę, bo ciężarnym odraczano wyrok. Aleksander stracił głowę 23 lipca. Rose spodziewała się, że do niego dołączy, ale cztery dni później zamach stanu zmiotł Robespierre’a. Uciekła spod gilotyny dosłownie w ostatniej chwili.

Napoleon miał 26 lat, gdy 32-letnia wdowa de Beauharnais wysłała do niego swoje go syna, Eugeniusza, by odzyskał szablę oj-

ca. W Rose spodobało mu się wszystko, poza imieniem, więc je zmienił: na Józefinę. Młody generał nie miał sobie równych na polu bitwy, ale na salonach sobie nie radził i potrzebował światowej kobiety, która popchnie jego karierę. Józefina z kolei nie była już pierwszej młodości i potrzebowała męża, który się nią zaopiekuje na pełen etat. Przynajmniej dla Napoleona szybko jednak przestał to być związek czysto pragmatyczny.

Dyrektoriat wysłał młodego bohatera najpierw na podbój Włoch, a gdy tę nie-możliwą misję wykonał – do Egiptu. Stęskniony Bonaparte zasypywał żonę listami, w których na przemian wyznawał jej miłość (choć ten najsłynniejszy, „wracam za trzy dni, nie myj się” podobno jest apokryfem), obrażał się, że pisze tak rzadko, i błagał, by pisała częściej. Józefina w tym czasie zabawiła się z kochankiem, i to tak niedyskretnie, że o romansie plotkował cały Paryż. Napoleon – który, swoją drogą, też bynajmniej nie był żonie wierny – wybaczył jej tę zdradę.

Zabawa w Aleksandra Wielkiego skończyła się pod Akką. Armia została zdziiesiątkowana przez tropikalne choroby, flota rozbita przez Nelsona, ale Napoleon, który zostawił swoich żołnierzy na pastwę losu, wracał do Paryża jako bohater – zadbał wcześniej, żeby biuletyny z frontu przedstawiały go jako zwycięzcę.

A status etatowego zbawcy ojczyzny przydał się podczas zamachu stanu 18 brumaire’a (10 listopada 1799 roku), który obalił nieudolny dyktatoriat. Napoleon został pierwszym konsulem, a w 1804 roku sam

nałożył sobie na skronie cesarską koronę. Jacques-Louis David utrwalił dla potomności inny moment: ten, w którym Napoleon koronował Józefinę, jako mniej arogancki.

Pięć lat później małżeństwo zakończyło się rozwodem: cesarz Francuzów potrzebował dziedzica, a 45-letnia żona nie mogła mu go dać. Miał już wówczas dwoje nieślubnych dzieci, w tym syna z Marią Walewską, ale liczył się tylko potomek z prawego łóża. Zapewniła mu go 20-letnia austriacka księżniczka Maria Ludwika.

W międzyczasie Napoleon podbił lub zwasalizował większość Europy, upokarzał królów, cesarzy i carów i w wielkim stylu roznosił armie przeciwników. Fanów militarnej historii odsyłam do biografii Roberta, odwiedził większość pól napoleońskich bitew i je obszernie relacjonuje.

Fortuna przestała Napoleonowi sprzyjać w 1812 roku wraz z nieudaną wyprawą na Moskwę. Car Aleksander, zamiast stanąć do decydującej bitwy i dać się pokonać, wycofywał się aż do samej Moskwy. Bitwa na jej przedpolach, pod Borodino, nie przyniosła rozstrzygnięcia. Napoleon za długo zwlekał w spalonej przez Rosjan stolicy, a odwrót Wielkiej Armii przez marznące błota zdziiesiątkował to, co z niej zostało. Z ponad pół miliona żołnierzy do domów wróciło 40 tysięcy.

Po przegranej w bitwie narodów pod Lipskiem Napoleon został zmuszony do abdykacji. Cesarz, który trząsł Europą, dostał we władanie włoską wyspę, Elbę. Maria Ludwika do niego nie dołączyła, wróciła pod skrzydła taty. Józefina, po rozwodzie żyjąca wygodnie w pełnym dzieł sztuki pała-

cyku Malmaison, zmarła w 1814 roku: maj był zimny, a ona przywitała cara Aleksandra ubrana zgodnie z obowiązującą modą – w lekką i wydekoltowaną suknię. Miała 51 lat.

Po roku na Elbie Napoleon wrócił i spróbował raz jeszcze. Nie był już młodym, zdolnym generałem, który wygrywał (niemal) każdą bitwę, bo był szybszy i sprawniejszy od konkurencji i wolał atakować, niż się bronić. Jego przeciwnicy przejęli, a nawet udoskonaili jego metody. Ale żołnierze wciąż go kochali: charyzmy Napoleona i ich miłości wystarczyło na obalenie Burbonów i zebranie kolejnej Wielkiej Armii.

Sto dni karnawału zakończyła pruska szarża pod Waterloo. Tym razem Brytyjczycy nie chcieli ryzykować i wysłali Napoleona na Świętą Helenę, wysepkę na południe od równika, 1900 kilometrów od wybrzeży Afryki. Ostatnie sześć lat życia był cesarz spędził w wilgotnym, pełnym szczurów domu pośrodku niczego, czytając powieści i użerając się z angielskim nadzorcą. Zmarł w 1821 roku, najpewniej na raka żołądka, choć podejrzewano też otrucie arszenikiem. Jego ostatnie słowa miały brzmieć „Francja, armia, Józefina”.

Najtrwalszym dziedzictwem Napoleona jest legenda, którą sam za życia tworzył, i kodeks cywilny. Oba są mocno antykobiece.

Bonaparte był mistrzem PR, pierwszym propagandystą ery nowoczesnej, a swój wizerunek zbawcy ojczyzny kreował ekspercko i kontrolował obsesyjnie (w 1804 roku w Paryżu było 70 gazet, sześć lat później już tylko cztery). Jak pisze Nina Martyris w „Paris Review od Books”, Napoleon „był głównodowodzącym niezwykle udanej kampanii reklamowej i cenzorskiej, której cyniczne motto było jego własną dewizą: »Liczy się nie to, co jest prawdą, ale to, co ludzie myślą, że jest prawdą«”.

Militarnych biuletynów i rozkazów dnia Bonaparte używał jak Donald Trump Twitera: jako metody bezpośredniego dotarcia do bazy, czyli żołnierzy, choć też do szerszej publiczności.

Często równie oszczędnie gospodarował w nich prawdą: z nieudanego oblężenia Akki zrobił zdobycie i zrównanie z ziemią miasta, bo wiedział, że nikt w Paryżu jego fake newsów z Palestyny nie zweryfikuje. Zawsze przedstawiał się jako militarnego geniusza, który roznosi wszelkie przeszkody – „jest szybki jak błyskawica, a uderza jak grom” – a przy okazji jada to samo co szeregowcy i razem z nimi moknie w deszczu.

Równie skutecznie w służbę propagandy Napoleon zaprzął sztukę. Nakazał uwiecznić na płótnie wszystkie swoje ważniejsze zwycięstwa i masowo zamawiał portrety. Za ich słuszną linię ideologiczną odpowiadał dyrektor Luwru, Dominique Vivant, który dawał artystom dokładne instrukcje, co mają malować.

Na najsłynniejszym obrazie, pędzla wspomnianego już Davida, „Napoleon przekraczający Przełęcz Świętego Bernarda w 1800 roku”, widzimy przyszłego cesarza na białym koniu. Rumak unosi się na tylnych nogach, a wiatr rozwiewa jego grzywę i karminowy płaszcz jeźdźcy. Jego przystojna, młoda twarz ma wyraz spokojnej determinacji, umięśnione łdki ścisną boki zwierzęcia, a uniesiona dłoń wskazuje cel (w rzeczywistości Napoleon pokonał przełęcz na mule, okutany w futra). Na skale pod kopytami jego konia widać, mocno już zatarty, napis „Hannibal”, nieco świeższy „Karol Wielki” i zupełnie nowiutki „Bonaparte”. Mało subtelne, ale skuteczne.

Późniejsze portrety pokazują Napoleona już raczej nie jako żołnierza, tylko męża stanu, często w stroju sugerującym bardziej rzymskiego cesarza niż XIX-wiecznego polityka. Wszystkie projektują obraz triumfującej męskości: kobiety, jeśli w ogóle się na nich pojawiają, są tylko tłem. A najlepiej gdy, jak Józefina podczas koronacji, są na kolanach.

Napoleon o płci przeciwnej – wyłączając własną matkę, o której mówił, że „jest kobietą odważną i utalentowaną, bardziej męską niż kobietą, dumną i szlachetną” – nie miał najlepszego zdania. A nie bawiąc się w eufemizmy: kawał był z niego mizogina. Kobiety, uważał, są mniej inteligentne niż mężczyźni, dlatego ich miejsce jest w domu, nie w sferze publicznej. Powinny być też łagodne, oddane i posłuszne mężowi oraz skromnie się ubierać – służyć wyłącznie ozdobie i prokreacji. Zakochał się co prawda w kobiecie, która się w ten obraz niespecjalnie wpisywała, jednak nie widział związku – ale również Józefina zadowolala się rolą szyi, która kręci głową. Prawdziwą dezaprobatę Napoleon rezerwował dla tych przedstawicieli płci przeciwnej, które w jego oczach usurpowały sobie męskie role, czyli przejawiały polityczne lub intelektualne ambicje. „Nie lubię kobiet, które robią z siebie mężczyzn tak samo, jak nie lubię zniewieściałych mężczyzn”, stwierdził.

Znalazł też czas na uwagi co do programu nauczania w szkole dla dziewcząt. „Od ich edukacji wymagamy nie tego, by dziewczęta myślały, ale by wierzyły. Słabość kobiecych umysłów, niestabilność ich idei, miejsce, jakie zajmą w społeczeństwie, ich potrzeba wiecznej rezygnacji z siebie oraz łatwego i hojnego miłosierdzia – wszystko to może być zaspokojone jedynie przez religię”.

Kiedy intelektualistka, pisarka i lwica salonowa Germaine de Staël niebacznie zapy-

I dopilnował, żeby w nim pozostały, za pomocą Kodeksu Napoleona, który został przyjęty we wszystkich podbitych przez Francję krajach, w tym na ziemiach polskich, i wywarł ogromny wpływ na prawodawstwo nie tylko w Europie. A jego przepisy dotyczące kobiet zaczęto reformować dopiero pod koniec XIX wieku.

Kodeks Napoleona kobiety zasadniczo ubezwłasnowolniał. Relegował do roli dzieci, które spod kurateli ojca przechodziły bezpośrednio pod opiekę męża. Nie miały prawa do rozporządzania majątkiem ani zawierania umów bez zgody męskiego opiekuna. Nawet ich dzieci należały do męża i pod jego opiekę trafiały w razie rozwodu. Dużo łatwiej było go też uzyskać mężczyźnie: kobieta mogła rozwieść się z mężem tylko wtedy, gdy ten do wspólnego domu wprowadził kochanek. Niewierność żony była zaś nie tylko powodem do rozwodu, ale i wsadzenia niewiernej do więzienia.

Można spekulować, czy Napoleon w ten sposób odreagowywał własne małżeńskie upokorzenia: nie był w stanie wzbudzić u Józefiny takiej miłości, by była mu wierna, to chciał na niej tę wierność wymusić. Być może to równie daleko idąca interpretacja, jak ta, którą kierował się w swoim filmie Ridley Scott: że Józefina była jedynym słabym punktem Napoleona, miłością jego życia, motorem jego decyzji. Ale nie odrzucałabym też jej zupełnie.

Militarnych biuletynów Bonaparte używał jak Trump Twittera. Z nieudanego oblężenia Akki zrobił zrównanie miasta z ziemią, bo wiedział, że nikt w Paryżu jego fake newsów nie zweryfikuje

tała cesarza, kogo uważa za największą kobietę w historii, odparł „tę, która urodziła najwięcej dzieci”. Ją samą nazywał wariatką, intrygantką i krową – i wygnał z Francji.

Towarzysz Napoleona na wygnaniu na Świętej Helenie, Emmanuel Las Cases, w swoich wspomnieniach też zanotował parę uwag byłego cesarza o kobietach. „Dążcie do równości, ale to szaleństwo: kobieta jest naszą własnością tak samo, jak drzewo owocowe jest własnością ogrodnika”, miał pouczać rezydentki Świętej Heleny. „Zgodzicie się, panie, ze mną, że tylko błąd w ocenie i brak wykształcenia mogą skłonić żonę do przekonania, że jest równa mężowi. Każda płeć ma swoje atrybuty i obowiązki: wasze atrybuty, panie, to piękno, wdzięk, fascynacja, wasze obowiązki to uległość i zależność”.

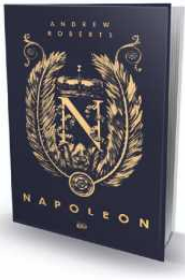
Druga połowa XVIII wieku przyniosła Francuzkom, przynajmniej tym z klasy wyższej, jak de Staël, nieznaną wcześniej swobodę: prowadziły salony, uczestniczyły w debatach politycznych, ich głos, choć nieformalnie, się liczył. Rewolucja dała im prawo dziedziczenia, rozwodu i opieki nad dziećmi. Olympe de Gouges w „Deklaracji praw kobiety i obywatelki” domagała się jeszcze więcej: prawa wyborczego. Już jakobini uznali, że to lekka przesada, i posłali de Gouges na gilotynę. Dla Napoleona, który co prawda wybił się dzięki rewolucji, ale nienawidził chaosu i gardził motłochem, prawa kobiet oznaczały zagrożenie dla porządku. „Społeczeństwo zostałoby całkowicie zdeorganizowane, gdyby kobiety zostały wyrwane ze stanu zależności, w którym muszą pozostać”, miał powiedzieć.

Sam Scott, w przeciwieństwie do Napoleona, nigdy się silnych kobiet nie obawiał. Choć wiele jego filmów – „Gladiator”, „Helikopter w ogniu”, „Królestwo niebieskie”, „Robin Hood” – to „męskie”, oczekujące testosteronem kino i nikt tak wspaniale jak on nie pokazuje wyrzynania się białą bronią na ekranie, to Scottowi zawdzięczamy także ikoniczne kinowe bohaterki: twardszą od samego Obcego Ellen Ripley czy buntowniczkę Thelmę i Louise. Męskość reżysera wytrzymała zarówno żołnierzkę robiącą pompki na jednej ręce (J.I. Jane), jak i obnażenie patriarchalnych mechanizmów uciskania kobiet i męskiej agresji („Ostatni pojedynek”).

I trudno odmówić słuszności jego obserwacji, że za fasadą nieznoszącego sprzeciwu tyrana chowa się często zagubiony chłopiec, a poza ubermęskiego zdobywcę świata kryje kruchutkie ego i emocjonalne deficyty.

Bo tylko facet patologicznie niepewny swojej męskości musi niższość kobiet zdekretować prawem. ●

„Napoleon” Andrew Robertsa ukazał się właśnie w wydawnictwie Znak



Fuczenie

Promowanie feminatywów nie powinno polegać na tym, że narzucamy komuś na siłę żeńskie formy zawodów i funkcji. Zwracanie się do Elżbiety Witek per marszałkini to przemoc.

Michał Rusinek



Podobno najważniejszą świętą jest święta konsekwencja. Jeśli wytykamy jakiś grzech swoim politycznym przeciwnikom, to powinniśmy się zastanowić, czy sami go nie popełniamy. Niedawno ukazał się w „Gazecie” tekst Wojciecha Maziarskiego intrygująco zatytułowany: „Co kryje się za językowymi fobiami Elżbiety Witek”. Autor fuczy w nim na „niedoszłą panią wicemarszałek Sejmu”, że ofuknęła ona dziennikarkę, która powiedziała o niej „marszałkini”. Gdyby tak rzeczywiście było, to sam do fuczenia Maziarskiego bym się dołączył. Zdaje się jednak, że rzeczona dziennikarka nie mówiła o Elżbiecie Witek, ale do Elżbiety Witek. A to zmienia postać rzeczy.

Redaktor Maziarski tłumaczy: „Sęk w tym, że to, jakich form używa mówiący i do jakich norm językowych się stosuje, zależy tylko od niego. Pani Elżbiecie Witek nic do tego, jakich sformułowań używa ten czy inny dziennikarz, bo to jego sprawa”. Nie do końca jest to prawda. Jeśli bowiem jakaś osoba nie życzy sobie, żeby wobec niej używać jakiejś formy, to stosowanie jej jest formą przemocy wobec tej osoby. Chyba redaktor Maziarski zgodzi się, że zwracanie się za pomocą tzw. deadname do osoby transpłciowej lub postkolonialnymi określeniami jak „Eskimos” do Inuity czy „Murzyn” do osoby czarnej – jest wysoce niestosowne. I pewnie sam by takie zachowania tępił. Nie mam zamiaru bronić światopoglądu ani politycznych zachowań eksmarszałkini Sejmu Elżbiety Witek, ale jeśli ona nie życzy sobie, by zwracać się do niej za pomocą tego określenia, to należy to uszanować, jeśli się samemu deklaruje poszanowanie dla innych osób, które nie życzą sobie, by w jakiś sposób się do nich zwracać. Ktoś z Państwa mógłby mi teraz zarzucić, że sam użyłem określenia „marszałkini”. Proszę jednak zwrócić uwagę, że nie zwróciłem się tak do niej. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek w przyszłości miał taką sposobność, ale gdybym miał – zwróciłbym się do niej tak, jak sama sobie tego życzy. Albo inaczej: nie zwracałbym się do niej tak, jak sobie tego nie życzy. Tak samo jak staram się nigdy nie misgenderować i nie zwracać się do nikogo za pomocą deprecjonujących określeń etnicznych czy rasowych.

Maziarski pisze dalej, że „szacunek dla innych ludzi wymaga, by ich akceptować takimi, jacy są, i nie robić im uwag na temat sposobu mówienia, tak jak nie robimy im uwag na temat koloru ich włosów, krzyżyków na szyi czy kolczyków w nosie. Taka ingerencja w ich tożsamość byłaby nie tylko zwykłym chamsstwem, lecz przede wszystkim uzurpacją zdradzającą autorytarne, dyktatorskie zapędy”. Nie posunąłbym się aż tak daleko w samobiczowaniu, bo warto zauważyć, że to – o dziwo – akurat nie Elżbieta Witek wy-
kazywała „autorytarne zapędy”, ale wy-

kazuje je redaktor Maziarski. W dodatku wyciągając z własnego rozumowania autorytarny wniosek: „Jeśli więc ktoś pyta, dlaczego pani Witek nie powinna była zostać wicemarszałkiem sejmu, to odpowiadam: między innymi właśnie dlatego”. Zauważmy, że sam w tym zdaniu pisze o „wicemarszałku”, a nie „wicemarszałkini”, więc sam przyznaje sobie prawo wyboru, którego odmawia komuś innemu. Mimo że to, jak się mówi do nas, powinniśmy sobie móc wybrać sami. Maziarski ma rację, że sobie przyznaje to prawo; nie ma racji, odmawiając go innym.

Forma „marszałkini” jest stosunkowo nowa, a to, co nowe, do czego nie jesteśmy przyzwyczajeni, postrzegane bywa przez nas jako błąd (podobnie jak np. forma „sekretniżni”, co do której mieli wątpliwości niektórzy czytelnicy mojego poprzedniego felietonu). Co więcej, często wydaje się nam formą przynależną do innego, nowego, a więc wciąż dla nas obcego porządku świata, którego się najwyuczajniej boimy. Jeśli ten porządek świata kłóci się z tym, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, w którym się już jakoś rozgościliśmy – formą buntu przeciwko niemu jest bunt przeciwko językowym formom do niego przynależnym. Nazywamy je modą, nowinkami, formami zideologizowanymi. A czasami, jeśli słyszymy je po raz pierwszy, mogą być dla nas po prostu niejasne znaczeniowo. W trakcie używania może się jednak okazać, że te nowe formy lepiej, pełniej, precyzyjniej określają rzecz lub osobę, której dotyczą.

Słowo jest zrozumiałe wówczas, gdy jak najprecyzyjniej określa to, czego dotyczy, czyli swój desygnat. Innymi słowy, słowo powinno być zgodne z desygna-tem. Zgodne także w tym sensie, że desygnat – jeśli tak się składa, że jest żywy i umie mówić – powinien wyrazić zgodę na słowo, którym się go określa. I może ofuknąć tego, kto określa go niezgodnie z jego własnym rozumieniem siebie. Jeśli ktoś mnie pyta, czy musi używać formy „gościni”, która go (lub ją) razi i w jego (lub jej) uszach zgrzyta – odpowiadam, że nie musi, chyba że życzy sobie tego osoba, do której się zwraca. Pojawienie się w języku polskim w ostatnich czasach bardzo wielu nowych – lub starych, ale zapomnianych – feminatywów wzięło się z pewnej społecznej potrzeby: z obserwacji, że kobiety czują się wykluczone lub deprecjonowane przez patriarchalną polszczyznę. Promowanie feminatywów – które sam staram się uprawiać – nie powinno polegać na tym, że narzucamy komuś na siłę żeńskie formy zawodów i funkcji; nie powinniśmy przecieć: „do wczoraj byłaś lekarzem, a od dzisiaj będziesz lekarką”. I nie może prowadzić do wyszydzenia tych kobiet, które z różnych, niekoniecznie politycznych powodów nie chcą, by zwracać się do nich za pomocą tych form. Być może potrzebują nieco więcej czasu, żeby się do feminatywów przyzwyczaić; jak do nowych butów, które z początku mogą się wydawać niewygodne i zbyt ekstrawaganckie, a potem okażą się naszymi ulubionymi.

Tak więc zarówno gdyby pani marszałek postanowiła narzucić zwracanie się do kobiet pełniących funkcję wicemarszałków w formie męskiej, jak i gdyby pani marszałkini chciała narzucić zwracanie się do nich w formie żeńskiej – byłby to wyraz takich samych zapędów autorytarnych, przeciwko którym należałoby się zbuntować, fuczeć, a może i podać w wątpliwość jej kompetencje jako marszałka/marszałkini. Jeśli już o coś walczyć, to warto o wolność wyboru, a nie o zastępowanie jednego przymusu innym. ●

Adam Michnik poleca. **Izaak Babel, bezczelny tchórz**

ŻE TEŻ NIE DALI MI SKOŃCZYĆ

• Izaak Babel po aresztowaniu przez NKWD, 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Niby się bał.

I naraz wyskakiwał z czymś, na co najśmielszy by się nie odważył

Anna Arno

W najlepsza pora, by pochylić się nad życiem i dziełem Izaaka Babla. Pisał po rosyjsku, choć nie był przecież rodowitym Rosjaninem, lecz Żydem z Odessy. Niezręcznie mówić o Bablu, bo w 1920 r. walczył przeciw Polakom i z tych przeżyć stworzył „Armię konną” – swoje arcydzieło. Był pisarzem sowieckim, zaangażowanym w śmiertelnie niebezpieczny, karkołomny taniec z władzami. Nie wiadomo, czy naprawdę pracował jako tłumacz w Ceka, czy tylko to sobie wymyślił dla zabezpieczenia pozycji. Na pewno miał znajomych czekistów: dzięki ich przychylności wyprawił za granicę matkę, siostrę i żonę.

Kiedy obręcz wokół niego zaczęła się zaciskać, rozgłaszał nawet, że pisze powieść o czekistach (nigdy nie powstała albo przepadła wraz z nim w czeluściach Łubianki). Wreszcie jedna z jego kochanek, zmysłowa redaktorka, została potem żoną „krwawego karła” Nikołaja Jeżowa [komisarza bezpieczeństwa] i zapewne za ten romans Babel zapłacił najwyższą cenę.

...

„Chłopak był ze mnie kłamliwy” – przyznaje narrator jednego z opowiadań. Babel kłamał nagminnie. Przymuszony przez okoliczności albo z wewnętrznej potrzeby. Jako żołnierz armii Budionnego napotkanym Żydom plótł bajki o sowieckim raju: „ekspresy, bezpłatne żywienie dzieci, teatry, międzynarodówka”.

W ciągłych rozjazdach, bez dobytku, Babel mylił tropy, zacierał ślady. „Lubił się ukrywać, tak żeby nikt nie wiedział, gdzie jest, lubił się konspirować” – opowiadał zaprzyjaźniony muzyk jazzowy Leonid Utiosow. Miewał też inne powody do blagi. Pod jego tekstami nagminnie widniała adnotacja: „fragment większej całości”. Powieści czy też cykli opowiadań nie kończył, może wręcz nie miał zamiaru. Mamił tylko wydawców i redaktorów i przejadał zaliczki. „Wszystkich bujał, nawet gdy chodziło o drobnostki” – pisał krytyk Korniej Czukowski. W tajemnicy przed żoną trzymał nieślubnego syna ze znaną aktorką. Później, gdy przez kilka tygodni był z żoną i córką w Paryżu, nie przyznawał, że w tym czasie w moskiewskim mieszkaniu czeka nowa ukochana. Ale kłamał też w liście do sze-

■
*Czerwień w opowiadaniach
Babla to kolor rewolucji
i Armii Czerwonej.
Ale też czerkieskiej czapeczki
i purpurowych bryczesów,
szkarłatnego słońca
i krwawej mgły,
jego „skapanej w krwi Rosji”*

fa organizacji partyjnej, gdy wymyślał, że zaraz po operacji żony (nie była chora) pragnie sprowadzić ją „na wolność”, do Sowietów.

Nie mógł przecież inaczej. Szedł też w zaparte, gdy twierdził, że rozmowa, którą Aleksander Dan ze Lwowa przytoczył w „Wiadomościach Literackich” latem 1930 r., była wymyślona. Czy sowiecki pisarz mógł się przyznać do przywołanych przez dziennikarza wypowiedzi? „Pędziłem ciągiem propagandy przez wielkie pobożwiska, pisałem ulotki i rozrzuciałem je po martwych obszarach. Tłusta była wówczas ziemia, krwιά i proklamacjami chcieliśmy ją użyźnić”.

Podobnie nie mógł wyjawić, że był informatorem pierwszego biografa Stalina Borisa Souvarine’a i kiedy rozmawiał z nim w Paryżu w 1932 r., nie gryzł się w język: „– Wie pan, co szeptano, gdy Stalin wyjechał [na urlop], zostawiwszy w oplakanyim stanie sprawy państwowe, zwłaszcza gospodarkę? – mówił Babel. – Nasrał i wyjechał”.

● ● ●

„Są pisarze z losem łatwym i tacy z losem trudnym – pisał Babel kilka lat przed śmiercią. – Prawda, są jeszcze i ci bez żadnego losu. Ja zaliczam się do tych drugich”.

To ważne, że biografia Aleksandra Kaczorowskiego „Babel. Człowiek bez losu” pojawia się teraz, kiedy los Babla – nieufor-mowany, zakłamaný, wymazany – wydaje się szczególnie dotkliwy. Kiedy „okopy, roz-bebeszone fabryki”, mordy i gwałty w Ukrainie to nie tylko opis wydarzeń sprzed stu-lecia.

Czerwień w opowiadaniach Babla to kolor rewolucji i Armii Czerwonej, ale też czerkieskiej czapeczki i purpurowych bryczesów, aksamitnych obić, malinowej dłoni, wreszcie szkarłatnego słońca i krwawej mgły, jego „skąpanej w krwi Rosji”. Pisał tylko prawdę. Jak powiedział pisarzowi Konstantemu Paustowskiemu: „W moim herbie będzie zapisana dewiza »autentyczność«”.

Opowiadanie „Moje pierwsze honorarium” to rodzaj przewrotnej poetyki Babla. Oto 20-letni aspirujący pisarz, spragniony miłości, już, już gotów wysuplać dziesięć rubli pod latarnią, na poczekaniu wymyśla swój fantastyczny rodowód: otóż był „chłopczykiem” na utrzymaniu u pewnego Ormianina i nigdy jeszcze nie kosztował kobiecego ciała.

Wzruszona prostytutka oddaje chłopcu honorarium i zdradza wszystkie swe kobie-

U Babla dar opowieści nieraz bywa zapręgany w służbę erosa: aby dotknąć krągłych bioder i ramion, sprawić, by zatrząsł się podbródek wrażliwej damy. Babel wierzy w zmysłową moc języka, który jest ciepły, czuły, ale też precyzyjny: „frazja rodzi się w kształcie jednocześnie i złym, i dobrym” – pisze w opowiadaniu „Guy de Maupassant”. „Tajemnica sprowadza się do ledwie wyczuwalnego przesunięcia. Dźwignia powinna dobrze leżeć w dłoni i grzać się w jej cieple. Użyć jej należy tylko raz, a nie dwa”.

Młody literat bez grosza zgodził się poprawić przekład z francuskiego, wykonany przez ambitną panią mecenasową. „W jej tłumaczeniu nie zostało ani śladu z frazy Maupassanta – swobodnej, płynnej, o długim, namiętym oddechu”.

Próżno chyba szukać w historii literatury drugiego opowiadania, którego tematem byłoby redagowanie cudzej literackiej roboty. Tutaj każde słowo się liczy, interpunkcja staje się narzędziem namiętności: „Żadne żelazo nie może wejść w ludzkie serce z tak mrozzącą siłą, jak kropka w porę postawiona. Słuchala, skłaniając głowę i rozchyłając karminowe wargi. Czarny promień błyszczał w lakierowanych jej włosach, równo przygładzonych, rozczesanych na przedział. Opięte pończochą nogi o silnych i delikatnych łydkach rozstawiły się na dywanie”.

● ● ●

Babel nie wyglądał na pisarza. „Średniego wzrostu, wysokie czoło, ogromna głowa, twarz niepisarska, ubrany skromnie, ciekawie opowiada” – komentował ich pierwsze spotkanie pisarz Wiktor Szklowski. „Nie przypomina literata ani dawnego kawalerzysty, lecz raczej kierownika szkoły wiejskiej” – dziwił się amerykański pisarz Michael Gold, który poznał Babla w Paryżu w 1935 r. „A może raczej makler czy komiwojażer?” – spekulował Paustowski. Niewysoki, z krótką szyją, wyprostowany niczym baletnica. Kąciaki oczu i ust, z wydatną dolną wargą, uniesione, gotowe do uśmiechu – facecji czy kpiny. Najważniejsze były jednak oczy – błyszczące, zawsze ruchliwe, zza grubych szkieł.

Kozacy mówili o nim „okularnik” („oczkastryj”). Dla nich okulary – podobnie jak zadbane paznokcie – to atrybut inteligenta. „Tutaj rżną za okulary” – tak komentant uświadamia Lutowa – alter ego Babla, narratora „Armii konnej”. Swoje szkła Babel często przecierał, bo chciał widzieć dokładniej, więcej. Podczas kremacji przyja-

przerwy i w przystępie rozpaczý spalil własną chatę; dlaczego Maszerika z wydawnictwa »Rola i fabryka« najpierw przypawiła mężowi rogi, a potem zaczęła się zajmować biomechaniką; jakie wiersze pisał zabójca prezydenta Francji, białogwardzista Gor-gulow; jak umarł stary buchalter, którego on, Babel, widział jeden jedyny raz w okienku administracji »Prawdy«; co ma w torebce paryżanka siedząca przy sąsiednim stoliku; czy Mussolini kontynuuje fanfaronadę, kiedy zostaje sam na sam z hrabią Ciano”.

Krytycy oburzali się, że zmyśla. Bo czy to możliwe, że ciężarna karczmarka uwierzyła nieznajomemu Herszele, że jest przyby-szem z zaświatów, i zaopatrzyła go na drogę w podarki dla bliskich zmarłych? Wiarygodny jest za to opis wieczery, jaką swoimi bajkami zapewnił sobie Herszele; można się domyślać, że autor nieraz bywał głodny: „Suty ognie huczał w piecu. W dużym saganie kipiała woda, śnieżnobiałe pierożki nurzały się w pianie. W złocistym rosóle podrygiwała tłusta kura. Z piekarnika bił zapach płacka z rodzynkami”. Gdy Bablowi zarzucano zmyślenie, w jego obronie Maksym Gorki mówił: „Człowiek to istota fizjologicznie realna, a psychologicznie – fantastyczna”.

● ● ●

„Urodziłem się w 1894 r. w Odessie, na Mołdawance, jako syn żydowskiego kupca” – pisał w „Życiorysie własnym”. Nazwisko pisarza brzmiało wówczas Bobel. Mołdawanki, w której w „Opowiadaniach odeskich” grasuje Benia Krzyk, pisarz nie mógł zapamiętać z dzieciństwa: był w powijkach, kiedy rodzina przeniosła się do Mikołajowa. Mie-li ogród, gołębnik i podwórko, które zimą zmieniało się w ślizgawkę.

W jednym z opowiadań przywołał nastroj sobotniego popołudnia, obfity obiad („faszerowana ryba z chrzanem, potrawa, gwoli której warto przejść na judaizm”) i od-rabianie lekcji pod czujnym okiem babci, która swój rosyjski okraszała polskimi i żydowskimi słowami, lecz „miała do nauki osobliwe nabożeństwo, wierzyła mi i wierzyła we mnie”.

Zapewne Babel jest podobny do tego chłopca – zaczytanego w Turgieniewie, pogryzającego piernik i słuchającego bajania niepiśmiennej babci. Ale choć lubił pierwszoosobową narrację, jego opowiadania nie są wprost autobiograficzne. W „Historii mojego gołębnika” opisał pogrom mikołajowski, którego był świadkiem jako dziecko. Ale w rzeczywistości nie zginął w nim nikt z rodziny, a sklep ojca nie został spłądowany. Być może gdzieś w sąsiedztwie mieszkała zmysłowa mężatka, która nosiła kimona i pobudzała erotyczne fantazje dziesięcioletniego Izaaka – jeśli ona sama nie jest wytworem fantazji. Tak z surowej przędzy życia powstaje literatura.

W „Początku” Babel barwnie przywołał chwilę, która naprawdę zdecydowała o jego losie. Początkujący literat, bez zimowego okrycia, ale z plikiem opowiadań pod pachą – odrzuconych już przez niejedną redakcję – udał się na audyencję do koryfeusza sowieckiej literatury Maksyma Gorkiego. Ten stwierdził, że zdolny adept nie jest jeszcze gotowy na debiut: „Niczego szanowny pan dokładnie nie zna, ale wielu rzeczy się domyśla...”. Kazał mu iść między ludzi.

Jak opowiadał Babel: „Byłem przez ten czas żołnierzem na froncie rumuńskim, potem pracowałem w Czeka, w Narkomprosie, brałem udział w ekspedycjach żywnościowych 1918 roku, walczyłem w armii konnej, byłem w odeskim Komitecie gubernialnym, byłem redaktorem technicznym w 7. drukarni radzieckiej w Odessie, reporterem w Petersburgu i w Tyflisie itd., itp.”.

Lista zajęć praktykanta literatury nie jest biograficznie prawdziwa, ale Gorki naprawdę został akuszerem twórczości Babla; ten zaś wyznaczone przez mistrza zadanie potraktował poważnie. Miał znajomych poetów, ale także inżynierów, dżoków, pszczelarzy i cymbalistów. Erenburg z podziwem opowiadał, że wystarczyło mu

parę dni, powiedzmy w Marsylii, by zgromadził pełen wór reporterskich wiadomości, choćby „o strajku w porcie, o jakiejś starzejącej się kobiecie, bodajże pracce, która otrzymawszy niespodziewanie wielki spa-dek, otrula się gazem”.

Babel na pewno kiedyś macał szydelkowe kalesony polskiego żołnierza. Jadł homara w paryskiej garkuchni i kluski z masłem w polskim domu. Twierdził, że musi się opierać na faktach: „Muszę znać wszystko, aż do najdrobniejszego włókna, inaczej na nic moja pisanina”.

Paustowski przecierał oczy, gdy zobaczył 22 wersje krótkiego opowiadania. Tymczasem Babel gryzł się, czy jest gotowe, czy nie dałoby się jeszcze bardziej go skondensować.

„Ta nieustanna selekcja stwarza własnie siłę języka i stylu – wyjaśniał przyjacielowi. – Biorę jakikolwiek drobiazg, anegdotę, epizod podpatrzony na jarmarku i robię z tego rzecz, od której nie mogę się więcej oderwać: jest polyskująca, gładka i obtoczona jak kamyk na plaży, trzyma się dzięki powiązaniu poszczególnych drobin. I to powiązanie jest tak trwałe, że nawet piorun nie mógłby go rozbić. Oto opowiadanie, które będzie czytane i zapamiętane”.

● ● ●

Babel umiał pokazać wściekłość żołnierza, któremu dowódca odebrał konia, i pełne godności szaleństwo ofiary kolektywizacji. Pod jego piórem żydowska narzeczona wygląda jak panna młoda z „Chłopskiego wesela” Bruegla.

Okrutny, patrzący na świat bez moralnej hierarchii Babel jest zarazem estetą, który nawet na pobożowisku, w smrodzie alkoholu i spoconych ciał podnosi oczy na zachód słońca: „Za oknem, za brudnymi szybami rozlewał się zmierzch, szmaragdowe jego strugi (...). Noc była fioletowa, ciężka jak górski kryształ. Porżnięta była żyłami zastygłych strumieni; gwiazda sięgnęła blaskiem aż w głąb studni czarnych chmur”.

Rzeczywistość Babla jest wyjąskrawiona: wyszlifowana, wielobarwna, mieniająca się odcieniami. Był bowiem poetą w prozie. Nieskromnie przyznawał, że tylko geniusz może postawić obok siebie dwa przymiotniki. „Prawda u Babla jest rzetelna, ale skrywa jego osobiste pasje” – tłumaczył Jerzy Pomianowski, któremu zawdzięczamy mistrzowskie przekłady tej prozy. „Prawda – powtarzam – jest rzetelniejsza bez kro-niki”.

W wypadku Babla możemy porównać „kronikę” i opowiadanie. W armii konnej Siemiona Budionnego 26-letni Izaak Babel zajmował się pracą sztabową i agitacją. Prowadził „dziennik działań bojowych” i pisał teksty propagandowe. Równolegle notował własne wrażenia. „Dziennik 1920 roku” zachował się nieomal cudem – w 1927 r., przed wyjazdem do Francji, Babel oddał go na przechowanie kijowskiej znajomej – i na szczęście nigdy nie odebrał. Fragmenty dziennika po raz pierwszy ujrzaly światło dzienne pod koniec lat 50.

Zapiski Babla są zwięzłe, ostre. Po obu stronach widział bestialstwo. Pogrom dokonany przez Polaków: „obrnzali brody jak zwykle, potem zebrali na rynku 45 Żydów, zapędzili do rzeźni, tortury, obcinanie języków, krzyki na cały plac”. Ze skurczem serca nie przyznaje się do swojej żydowskiej tożsamości: „Rozmowy z Żydami, moja krew, oni myślą, że jestem Rosjaninem, i coś mi się w duszy odmyka”.

Pisze bez tchu, równoważnikami zdań, raz po raz wyznaczając sobie zadania na potem. Brody: „To miasto europejskie, Galicja, trzeba opisać. (...) Piach ciężki, nieprzebyty. (...) Z tego dnia – opisać czerwonoarmistę i powietrze. (...) Zapamiętać chłopczyka z pejsami. (...) Żeby tylko nie zapomnieć tego popa z Laszkowa; nieogolony, pocziwy, wykształcony, może i pazerny, ale co to za pazerność – kura, kaczką, domostwo, żył jak należy, śmieszne grawiury”.

U Babla nie ma winnych i niewinnych, zwycięzców i pokonanych. Odezwa Piłsud-

Mandelsztam dopytywał, co tak ciągnie Babla do agentów tajnej policji. Pragnie podejść do miejsca, skąd zawiadują śmiercią? „Nie, palcami dotykać nie będę; pociągnę tylko nosem: czym pachnie?”

ce sekrety. „Wiele lat minęło od tamtej chwili. Przez ten czas po wielokroć dostawałem pieniądze – od redaktorów, od rozmaitych uczonych mężów, od Żydów handlujących starymi książkami. Za sukcesy, które były klęskami, za klęski, które stawały się zwycięstwem, za życie i śmierć dawali mi oni nędzną zapłatę, o wiele mniejszą niż ta, którą otrzymałem w młodości od pierwszej mojej czytelniczki”.

ciela Eduarda Bagrickiego zajrzał przez wizjer, aby zobaczyć, jak ciało obraca się w popiół. „Człowiek powinien wiedzieć wszystko – pouczał kolegę. – To nieapetyczne, ale ciekawe”.

„Znaczną rolę odgrywał też nos – wiecznie i niezmordowanie ciekawy – wspominał Ilja Erenburg. – Babel chciał wiedzieć wszystko: co odczuwał jego kolega z pułku Kozak kubański, kiedy pił przez dwa dni bez

skiego wydaje mu się wzruszająca, a Polska kusząco pachnie Zachodem. Wojna Babla to nie jest miejsce bohaterskich popisów: to mierzwa i ścierwo, brutalne odruchy: „straszne pole, usiane zarąbanymi, nie-ludzkie okrucieństwo, niewiarygodne rany, roztrzaskane czaszki, młode, białe, nagie ciała błyszczą w słońcu, porozrzucane notesy, kartki, książeczki wojskowe. Ewangelia, zwłoki w zbożu”. Obrazy jak z „Okropności wojny” Goi: „Dlaczego nie opuszcza mnie ten ciężki smutek? Dlatego, że daleko od domu, dlatego, że obracamy wszystko w ruinę, idziemy jak wicher, jak lawa, znieprawdzeni przez wszystkich”.

U Gorkiego spotkał szefa NKWD Jagodę. Zapytał, jak się zachować, gdyby się wpadło „w łapy waszych ludzi”. – Trzeba iść w zaparte

...

Opowiadania z cyklu „Armii konnej” były pisane z perspektywy czasu i z pamięci, nie zaś na podstawie dziennikowych notatek. To, co tam Babel zapisywał gorączkowo, tutaj zostało przedstawione tonem chłodnym, obrane ze zbędnych słów. W sierpniu 1920 r. na bieżąco notował w Cześnikach: „Sad owocowy, pasieka, rozwalanie uli, coś straszego, rozpaczliwy brzęk pszczół, rozsadzają ule prochem, otuleni płaszcami idą do ataku na ule, bachanalia, wyluskują ramy szablami, miód kapie na ziemię, pszczoły bronią się żądlami. Kozacy wykurzają je smolistymi, płonącymi szmatami”.

W opowiadaniu „Droga do Brodów” ta scena, skondensowana, zmienia się w metaforę wojennej pożogi: „Bolej nad pszczołami. To stały zniszczone przez wrogie armie. Na Wołyniu nie ma już pszczół”.

W 1923 r. opowiadania „Armii konnej” były drukowane w pismach „Krasnaja Now” i „Lef” (sprawę pchnął sam Majakowski), a niebawem ukazały się w książce. Zrobiły furorę; „Prawda” obwołała go wschodzącą gwiazdą sowieckiej literatury. Nikogo nie oburzyły opisanie przez Babla zbrodnie. Krwiożerczość sowieckich żołnierzy, ich chciwość i prostactwo zostały zrównoważone opisami podobnych postaw wroga.

Bablowi zarzucano co innego: jego opowieść to nie epos, lecz marginalia. Próżno tu szukać szarż i starć: zamiast pokazywać bohaterskie czyny i dramatyczne starcia, pisarz pałęta się na tyłach.

Jak wyjaśnia Aleksander Kaczorowski: „Babel opisał jednak tylko to, czego doświadczył. Nie brał bezpośredniego udziału w walkach, nie uczestniczył w kawalerijskich szarżach i walkach na pierwszej linii frontu; poznał za to pracę sztabu armii i 6 Dywizji, był świadkiem chaotycznych poczyniń Budionnego i Woroszyłowa (...). Wiedział, że budionnowcy z premedytacją

torturowali wziętych do niewoli polskich oficerów (...). Widział, jak zarzynali jeńców, mordowali Żydów, gwałcili kobiety”.

W literackiej polemice wziął udział sam Budionny. W podpisanym jego nazwiskiem artykule zarzuca Bablowi, że nie ukazał „decydujących batalii walki klasowej”, lecz nieokrzesaną bandę grabieżców.

Stając w obronie Babla, Gorki stwierdzał, że opiewa on bohaterów, którzy „nie znają lęku i czują głęboko wielkość swojej walki”. Jeszcze tym razem wyprosił u Stalina „głowę tego pokracznego żydowskiego okularnika strojącego się w piórka jasnej sławy koczaczey” (słowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego). Nic dziwnego, że po śmierci starszego przyjaciela w 1936 r. Babel stwierdził: „Teraz nie dadzą mi żyć”.

...

Babel był poputczykiem, jak Pasternak czy Jesienin. Ale jego ideologiczna postawa zawsze zdawała się niepełna. Przypomina się jego bohaterka Hapa Huźwa, która dopytuje, co będzie po kolektywizacji „z tymi babami, które się puszczają”. „– A będzie dla nich jakie życie? – Będzie – powiedział sędzia. – Tylko inne, lepsze”.

Wiacesław Połoiński, naczelny pisma „Nowyj Mir”, już w 1931 r. głowił się nad postawą Babla: na pozór godny zaufania, ale przecież widać, że „rewolucja jest mu skrajnie obca”. Najwyraźniej więc Babel tylko na pokaz zachwycał się budową nowej wioski. Nie mógł gloryfikować armii konnej. Wojna to panika, zamęt, błoto, najniższe instynkty spuszczone z łańcucha. „W całej tej historii najbardziej mi szkoda niedopitej herbaty” – zapisał w sierpniu 1920 r.

Czy można uwierzyć, że Babel szczerze zachwycał się „wybitnym stylistą” Stalinem? Na zjeździe pisarzy sowieckich w 1934 r. chwalał jego starannie „szlifowane” przemówienia, oszczędne, lecz „muskularne” słowa. „Wcale nie mówię, że wszyscy mają pisać jak Stalin, ale powinniśmy tak jak Stalin nad słowem się trudzić”. A przecież agenci GPU dosłyszeli, jak w kulisach mówił, że Stalin po rosyjsku ledwo duka, nie ma wyczucia stylu ani znajomości literatury.

Fenomen tego wystąpienia analizował w paryskiej „Kulturze” Herling-Grudziński: niemożliwe, by Babel poważnie chwalał „wybijane młotem” mowy „wielkiego językoznawcy”. „Jedno z dwojga: albo Stalin przelknął ten zjadliwy panegiryk równie gładko jak parę tysięcy oklaskujących Babla osłów (...), a w takim razie trudno przypuścić, by przy swojej wrodzonej gruboskórności przejrzał sam nawet po pięciu latach; albo zatrute kolce tej róży przebiły jednak jego skórę, a w takim razie nie do wiary, by aż pięć lat zwlekał z odpłatą. Z czego wniosek, że ukryty chichot Babla, utrzymany w najłepszym stylu dawnych – mądrych i drwiących – błaznów nadwornych, musiał władcy »rozpracować« na piśmie dopiero w roku 1939 jakiś usłużny (wobec adresata) i zawistny (wobec przedmiotu donosu) kolega po piórze autora »Opowiadań odeskich«”.

Babel igrał z ogniem. Mandelsztam dopytywał, co go tak ciągnie do agentów tajnej policji. Pragnie podejść do miejsca, skąd zawiadują śmiercią? „– Nie – odpowiedział Babel – palcami dotykać nie będę; pociągnę tylko nosem: czym pachnie?”. Jeden z najbardziej uderzających rysów Babla w rozmowie z Aleksandrem Watem odkrył Paustowski: „Był odważnym, zuchwałym tchórzem. Tchórz, tchórz – i nieraz pać! wyskakuje z czymś, na co najśmielszy się nie odważy. Krążył, zbierając materiał, koło czekistów. Jak zafascynowana cma. Aż przyskrzynili go”.

W 1927 r. Babel mógł zostać w Marsylii, która przypominała mu Odesę. W 1933 zachłystywał się Rzymem i przeciągał pobyt w oszałamiającej urodą Florencji. Dwa lata później wraz z Pasternakiem został odelegowany na kongres antyfaszystowski w Paryżu. Mieszkał z żoną i córką i „biegał jak zając” po mieście. Bywał u Erenburga i w ambasadzie, poznał m.in. An-

WIER SZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Taniec śmierci

Zwłoki królowej angielskiej Elżbiety II wystawiono w pałacu Westminster Hall w zabalsamowanym ciele ukryto złotą koronę.

Zwłoki króla światowego futbolu wystawiono na pokaz na stadionie w Santos w zabalsamowanym ciele ukryto złotą piłkę.

Zwłoki papieża światowego katolicyzmu wystawiono na pokaz w bazylice św. Piotra w zabalsamowanym ciele ukryto złotą bulę.

Zwłoki zamordowanych mieszkańców Buczy Rosjanie zostawili na rozstrzelanych ulicach w poszarpanych ciałach ukryli miny-pułapki.

Zwłoki ofiarne Żydów i Palestyńczyków gniją w grobie Abrahama pod dekalogiem Kanaanu.



FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Kazimierz Brakoniecki** – ur. w 1952 r., poeta, eseista, tłumacz, animator kultury, kurator sztuki polskiej XX wieku. Autor licznych książek poetyckich i autobiograficzno-eseistycznych od 1979 r. Ostatnio opublikował „Lekcję poezji dla zaawansowanych” (Instytut Mikołowski 2023). Należy do Wspólnoty Kulturowej „Borussia” w Olsztynie i PEN Clubu. Wiersz niepublikowany.

dré Malraux. Ale także tym razem wrócił – w Moskwie została Antonina Pirożkowa, z którą od kilku lat dzielił życie. Wciąż chroniony przez Gorkiego mógł zresztą mieć nadzieję, że wkrótce znowu dostanie paszport. „Że też nie dali mi skończyć” – powiedział podobno w chwili aresztowania, w Pieriedielkinie, o świcie, 15 maja 1939 r. Kilka lat wcześniej u Gorkiego spotkał szefa NKWD Gienricha Jagodę. Zapytał, jak się zachować, gdyby się wpadło „w łapy waszych ludzi”. Trzeba iść w zaparte. Delikwent jest bezpieczny, dopóki wszystkim sam zaprzecza – zapewniał Jagoda. W 1938 r. sam został rozstrzelany za spisek, szpiegostwo i zdradę.

Przesłuchiwany przez kilka dni i torturowany Babel przyznał się do związków z trockistami, antysowieckich rozmów i szpiegowskich kontaktów z Malraux. Wyznał też, że wraz ze swoją byłą kochanką Jewgieniją Jeżową oraz jej mężem planowali zamach na Stalina.

Babel rozumiał, że przyczyną jego aresztowania była znajomość z żoną Jeżową – która zresztą pół roku wcześniej popełniła samobójstwo. Jeżow wyobrażał sobie potężny spisek, w który Jewgienija rzekomo została wciągnięta przez Babla. Z kolei śledczy musieli udowodnić, że organizatorem spisku jest sam Jeżow (trzeba było domniemywać zarówno jego, jak i jego domniemywanych współników).

Babel próbował odwoływać swoje zeznania, bo obciążały znajomych. Na ostatnim zdjęciu ma opuchniętą twarz i podbite oko. 25 stycznia 1940 r. po raz ostatni pisał odwołanie. Dwa dni później został rozstrzelany.

Jego prochy zostały złożone w zbiorowym grobie na cmentarzu Dońskim w Moskwie. „Czegokolwiek chciał, nie mógł klamać”.

To dosyć paradoksalne stwierdzenie Andrzeja Drawicza. Czyż Babel nie dał nam dostatecznych dowodów na to, że był mistrzem kamuflażu, nieomal patologicznie zmyślał? Prowadził podwójne prywatne i publiczne życie, ukrywał adresy, utrzymywał podejrzone znajomości. „Wyśmiewał słowa o Bogu, a jednak przestrzegał pisarskiego dekalogu: nie pisać fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Może nawet próbował, ale materiał mu się sprzeciwił”. ●

*Cytaty z Babla za wydaniem: Izaak Babel, „Utwory zebrane”, wstęp Jerzego Pomianowskiego, Muza SA, Warszawa 2012. Przełożyli Jerzy Pomianowski (głównie) i inni. Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](http://wyborcza.pl/magazyn)

Aleksander Kaczorowski, „**Babel. Człowiek bez losu**”, wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023



DAVID GIBSON*, PROFESOR BIOLOGII ROŚLIN, W ROZMOWIE Z **KASPREM KALINOWSKIM**

Sprawa syna Lindberghów to początek botaniki sądowej. W jaki sposób szczebel drabiny pomógł znaleźć porywacza syna milionera?

– To jedna z pierwszych spraw sądowych, w których wykorzystano dowód botaniczny. Dotyczyła porwania syna Charlesa Lindbergha, po tym, gdy jako pierwszy w historii samotnie przeleciał przez Atlantyk. Szczebel od drabiny, której użył porywacz, był kluczowym dowodem – pozwolił policji powiązać podejzanego z miejscem zbrodni. To bardzo ważna część każdego śledztwa – dochodzenie polega przecież na łączeniu podejrzanych z miejscami zbrodni czy ofiarami. W tym przypadku była to drewniana drabina, porzucona w trzech częściach w zaroślach.

W postępowaniu sądowym powołano eksperta – Arthura Koehlera, leśnika pracującego dla Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych

re dowody z miejsca zbrodni, gdy je opuszcza.

Niemal każdy słyszał o Tedzie Bundym, ale bardzo, bardzo niewiele osób słyszało o jego historii, w której głównym dowodem były liście i ziemia. W jaki sposób rośliny pomogły skazać samego Teda Bundy’ego?

– Władze od dawna podejrzewały Teda Bundy’ego o kilka morderstw. W jego skazaniu pomogły liście i ziemia, które przyczepiły się do podwozia. To znów rodzaj dowodu, który wiąże podejrzanego z miejscem zbrodni. Śledczy ustalili, że rośliny przyczepione do vana Bundy’ego rosły również tam, gdzie zlokalizowano zwłoki jego ostatniej ofiary. Dowód był zupełnie nieoczekiwany. Wielu seryjnych morderców stara się upewnić, że nie pozostawia śladów, które mogłyby powiązać ich z miejscami zbrodni, ale zapomina o roślinach.

Inny seryjny morderca, Charles Cullen, sięgał po rośliny, aby zabijać własnych pacjentów.

– Tak, botaniczka Jane Bock w 1982 r. jako pierwsza badała zawartość żołądka. Dostarczono jej materiały z żołądka ofiary morderstwa, o którym właśnie mówiłem. Chciała poznać nazwy różnych fragmentów roślin, które wyciągnęła z treści. W tym czasie nie było jeszcze kolekcji próbek referencyjnych. Dosłownie wyszła do supermarketu i kupiła trochę sałaty, fasoli, oliwek. Przeżuwała je określonej liczbie razy, wypłukiwała i analizowała kawałki po mikroskopem. W ten sposób ustaliła, jak wygląda np. sałata w żołądku, a następnie porównała ją z próbką z żołądka ofiary i była w stanie dopasować do swoich próbek. Opublikowała niewielką książkę, w której sфотографowano wiele z tych próbek, co ułatwiło pracę kolejnym śledczym.

Botanik Mark Spencer mawiał, że „jeżyny często rosną tam, gdzie ludzie zrobili złe rzeczy innym ludziom”. Nad zwłokami rosną konkretne rośliny?

– Wciąż nie wiemy za dużo na ten temat. To obszar, który wymaga wielu

mi, a inne zakopywane. Wszystko, aby poznać proces rozkładu ciała – stopień rozkładu pomaga określić przebieg wydarzeń. Notuje się, w jakim stanie są zwłoki, i odnosi rozkład do warunków środowiskowych.

Pierwszą dużą trupią farmę – Sądowe Centrum Antropologiczne – założył dr William Bass w Tennessee. Dzisiaj w Stanach Zjednoczonych jest co najmniej siedem takich placówek. Potem powstał ośrodek w Australii. To jedyne miejsce, w którym można przeprowadzić tego rodzaju badania w sposób etyczny, ponieważ ciała zostały przekazane do browolnie. Badania mojej koleżanki Gretchen Dabbs wykazały między innymi, że wysychająca skóra zwłok wyeksponowanych na suche wiatry wiejące w południowym Illinois jest kolonizowana przez różne grzyby.

A samobójstwa? Rośliny pomagają rozstrzygnąć, czy zdarzył się wypadek, czy było to samobójstwo?

roślin. Wiele z nich, szczególnie w przypadku roślin zapylanych przez wiatr, po prostu ląduje na ziemi. Pierwszy przypadek, o którym wspominałeś, pochodził z Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Próbowano ustalić, skąd pochodzili ludzie złożeni w masowych grobach. Zbadano glebę, minerały w glebie oraz pyłki. Odkryto, że pyłki pokrywają się z konkretnymi miejscami pochówku. Ofiary miały śladowe ilości pyłku na ciałach, po pierwszym pochówku zostały wykopane, a następnie przetransportowane i pochowane gdzie indziej. Za każdym razem przenoszono jednak pyłki z pierwotnych miejsc. Pozwoliło to zespołom dochodzeniowym ustalić, gdzie ofiary były zabite. Na przykład w miejscu pierwotnym o nazwie Lazete zidentyfikowano pyłki zbóż (głównie kukurydzy *Zea mays*), trawy, sosny (*Pinus*) i świerku (*Picea*), które znaleziono również w próbkach z miejsca wtórnego o nazwie Hozdici Road.

Jeśli chodzi o rdzennych Amerykanów, to są interesują-

Seryjni mordercy nie zostawiają śladów, które wiążą ich z miejscami zbrodni, ale zapominają o roślinach

PYŁEK LUDOBÓJCÓW

w Wisconsin – aby się jej przyjrzał. Ten z łatwością ustalił, jakiego rodzaju drewna użyto. Większość pochodziła z tartaku, w którym pracował podejrzany. Do tego część była ze strychu jego domu. Podejrzany kupił lub ukradł trochę drewna z miejsca, w którym pracował, aby zrobić drabinę, jednak mu go nie wystarczyło. Porywacza zgubiło to, że zrobił jedną z podłużnic drabiny ze zużytego kawałka słabej jakości drewna sosny żółtej.

To chyba pierwszy raz w historii, kiedy drabina była dowodem wystarczającym do skazania kogoś na karę śmierci.

– Ta sprawa wciąż jest przywoływana, ponieważ była pierwszą sprawą w Stanach Zjednoczonych, a być może na świecie, gdy dowody botaniczne zostały w czasie rozprawy uznane za cenne i wiarygodne.

A Edmond Locard?

– Racja. Nazywany był Sherlockiem Holmesem Francji. Mniej więcej w tym samym okresie, w latach dwudziestych i trzydziestych, założył pierwsze laboratorium kryminalistyczne w Lyonie. W swoich pracach mówił o wielu przypadkach, w których wykorzystał dowody roślinne. Określał je jako pyłki (z franc. les poussières). Fragmenty roślin lub nasiona stały się dowodami. Sformułował również podstawową zasadę kryminalistyki: „Każdy kontakt pozostawia ślad”, i może to obejmować materiał roślinny. Najważniejsze, że przestępca zawsze zabiera ze sobą niektó-

– Cullen, zwany „aniołem śmierci”, podawał pacjentom szpitala, w którym pracował jako pielęgniarz, wysokie dawki leku, który pierwotnie pochodził z roślin. Niskie dawki digoksyny przepisywane są pacjentom przy leczeniu zastoinowej niewydolności serca. Wysokie są zabójcze. Z substancją tą powiązano również zgon włoskiego władcy i autokraty Cangrande della Scala, który zmarł w 1329 r.

A rośliny, które znalazły się w naszym żołądku? Dostarczają wskazówek botanikom?

– To jedno z bardziej zaskakujących zastosowań dowodów botanicznych w kryminalistyce. Jedzenie jest przechowywane w żołądku przez pewien czas. Niektórzy mówią, że od dwóch do sześciu godzin, zanim przedostanie się do dolnej części jelita. Jeśli przeanalizujemy zawartość żołądka ofiary, mamy wgląd w ostatni posiłek. W niektórych sprawach pomógł on ustalić ciąg wydarzeń, które doprowadziły do przestępstwa. W jednym przypadku śledczy wiedzieli, że ofiara jadła lunch z chłopakiem. Oczywiście, chłopak jest zawsze pierwszym podejrzanym w sprawach o morderstwo, jednak zawartość żołądka nie pasowała do tego, co wspólnie jedli. Pozwoliła jednak ustalić, gdzie dziewczyna zjadła ostatni posiłek, a była to sałatka z restauracji Wendy’s. Potem pojawiły się kolejne dowody i ustalono, z kim go zjadła.

W tej sprawie Jane Bock przeżuwała wielokrotnie każdą próbkę, aby ustalić, co jadła ofiara?

badan. W czasie kopania grobu gleba zostaje nieco napowietrzona, co umożliwia rozwój nasionom, które się w niej znajdują. Obszar tworzący się wokół rozkładającego się ciała nazywamy wyspą rozkładu zwłok. Uważa się, że rodzaje roślin, które będą rosły nad pochowanym ciałem, mogą być różnicą od tych rosnących w otoczeniu. Dostrzeżenie tej różnicy może być niezwykle przydatne do zlokalizowania grobu, ale wciąż brakuje badań na ludziach. Do tej pory prowadzono jedynie badania nad ciałami świń, które miały zastąpić ludzkie zwłoki. W jednym z nich ustalono, że roślina jednoroczna *Tesdalianudicaulis* (chroszcz nagolodygowy) i inne rośliny kwasolubne (rosnące dobrze w kwaśnej glebie) mogą być potencjalnymi wskaźnikami zaburzenia warunków glebowych, charakterystycznego dla tajnych grobów. Nasza wiedza jest więc niepełna.

Na całym świecie powstaje wiele tzw. trupich farm. To ośrodki, w których bada się rozkład ludzkich zwłok. Niektóre ciała są po prostu kładzione na zie-

Po zjedzeniu tej rośliny ofiary wypłacały pieniądze z bankomatu, a później nie pamiętały kradzieży

– W jednej ze spraw w Tajpej, stolicy Tajwanu, znaleziono ciało młodej kobiety leżące w rynsztoku przy ulicy. Początkowo sądzono, że została potrącona przez samochód. Zauważono jednak materiał roślinny wpłątany w jej włosy, co wydało się policji nietypowe. Odkryto, że trzy pietra wyżej znajdowały się balkony ze skrzynkami na rośliny. Rosła w nich psianka czarna (*Solanum nigrum*), którą znaleziono we włosach ofiary. Ustalono, że kobieta, która w przeszłości miała problemy psychiczne, rzuciła się z dachu budynku. W locie uderzyła głową w balkon, na którym rosły rośliny.

Spożycie roślin to częsty sposób popełniania samobójstwa?

– Tak, to jeden z popularnych sposobów. Wiele roślin, które uprawiamy w naszych ogrodach albo które rosną w otoczeniu, jest toksycznych w wystarczająco wysokich dawkach. Według legendy Shen Nung, drugi mityczny cesarz Chin, który opisał właściwości ponad tysiąca ziół, zmarł po spożyciu żółtego kwiatu pewnego chwastu (prawdopodobnie śmiertelnie trującego *Gelsemiumelegans*). W wielu przypadkach ludzie dodają takie zioła do herbaty lub piją z nich wywar.

Najbardziej interesującą częścią pana książki jest ta, w której pan wspominał, że rośliny przydatne były w skazaniu Serbów bośniackich oraz w uznaniu praw Indian do ziemi. W jaki sposób?

– Obie te historie dotyczą pyłków, które są uwalniane przez kwiaty

cym przypadkiem. W sprawie Delgamuukwa przeciwko królowej rośliny pozwoliły uznać roszczenia lokalnej ludności o przyznanie prawa do ziemi na podstawie historii mówionej (adaawk), bo w niej przechowała się opowieść o wielkiej powodzi i Medeeu – niedźwiedziu, który wyszedł z jeziora. Kiedy geolodzy przyjrzeni się sprawie, odkryli, że znalezione w osadach z jeziora ziarna pyłku i makroskamieliny świadczyły o wystąpieniu w przeszłości nagłego przyrostu roślin wodnych. Czas powodzi również zgadzał się z opowieściami.

Czy DNA każdej rośliny jest unikalne? Możemy je wykorzystać podobnie jak DNA ludzi?

– Po raz pierwszy DNA roślin wykorzystano dopiero w 1992 r. w sprawie Maricopa. Chodziło o ciało w hrabstwie o tej samej nazwie. Policja miała już podejrzanego, ale nie mogła powiązać go z miejscem zbrodni. Badacze wykazali, że strąki nasienne znalezione w pick-upie pochodziły z drzewa, w pobliżu którego policja znalazła ciało. Jednak w okolicy rosło wiele takich drzew, więc materiał mógł mieć praktycznie każdy kierowca – trzeba było powiązać je z konkretnym drzewem. Po raz pierwszy wykorzystano więc DNA wyekstrahowane z materiału roślinnego w celu powiązania sprawcy z miejscem zdarzenia. Wykazano, że strąki nasion w pick-upie pochodzą z drzewa, pod którym znaleziono ciało.



A jak pan jako botanik sądowy czyta o śmierci Sokratesa, który zażył truciznę?

– Cóż, wersja Platona prawdopodobnie nie została napisana w czasie wydarzenia. Sokrates po skazaniu na śmierć miał możliwość wyboru, w jaki sposób umrze. Wybrał cykutę. Po wypiciu naparu z zalew-dwie sześciu-ośmiu liści szczwołu plamistego (*Coniummaculatum*) filozof doznał paraliżu, który ostatecznie doprowadził do śmierci. Jednak do typowych objawów zatrucia należą wymioty, zaburzenia mowy, drgawki i na koniec paraliż mięśni oddechowych, prowadzący do uduszenia się, więc Platon prawdopodobnie upoetyzował przebieg wydarzeń.

Historycy podejrzewają, że trucizny zakończyły również życie Aleksandra Wielkiego i cesarza Klaudiusza.

– Jeśli chodzi o Aleksandra, objawy, które u niego wystąpiły, jak drgawki i halucynacje, są typowe dla zatrucia strychniną z drzewa *Strychnos nux-vomica* (kulczyby wronie

oko). A jego żona, Roksana, miała dostęp do tej substancji.

Z kolei śmierć Klaudiusza pasuje do zjedzenia muchomora czerwonego (*Amanitamuscaria*). Według innej wersji trucizna działa zbyt wolno, więc w celu wywołania wymiotów polaskotano go piórkiem posmarowanym śmiertelnie toksyczną dawką ekstraktu z arbuza kolokwinty (*Citrulluscolocynthis*) – środka przeczyszczającego często wykorzystywanego przez rzymskich lekarzy.

Trucie było dość powszechnym sposobem na pozbycie się ludzi. Istnieje wiele tajemniczych zgonów, w których główną rolę mogły odegrać trucizny.

Współcześnie próbowano otruć Baracka Obamę czy Donalda Trumpa.

– Jedną z najbardziej trujących roślin jest rycyna, pochodząca z rącznika pospolitego. W przypadkach, o których wspomniałeś, Obama i Trump otrzymali pocztą sproszkowaną rycynę. Jednak nic im się nie stało, ponieważ prezydent

nie otwiera własnoręcznie poczty, a proszek zaalarmował służby. W przeszłości jednak odnotowano wiele udanych prób. Bułgarski dysydent Georgi Markow, który mieszkał w Wielkiej Brytanii, w 1978 r. czekał na przystanku na autobus. Jeden z przechodniów ukłął go parasolem. W deszczowym Londynie nie ma nic podejrzanego w przechodniu z parasolem, ale autopsja wykazała niewielką metalową kulkę z rycyną. Pokryto ją woskiem, który roztopił się w temperaturze ludzkiego ciała. Kilka tygodni wcześniej identyczny zamach przeprowadzono na innego dysydenta, Władimira Kostowa w Paryżu, ale wosk otaczający kulkę się nie roztopił.

Czy możliwa jest zbrodnia doskonała z wykorzystaniem roślin?

– Prawdopodobnie nie. Wraz ze wzrostem technik śledczych możemy analizować fragmenty roślin, pyłki, zawartość żołądka czy trucizny, które pozostawiają ślady.

Jednak w przypadku niektórych trucizn organizm metaboli-

• **Arthur Koehler, technolog drewna, który badał drabinę użytą do porwania dziecka Lindbergha** FOT.AP

zuje je szybko i w ciele nie pozostaje zbyt wiele śladów. Stąd nierozwiązane zbrodnie, bo nie znaleziono dowodów. W mojej książce „Dowody zbrodni. Jak rośliny rozwiązują zagadki kryminalne” nazywam to „ślepotą na rośliny”. W zbyt wielu przypadkach śledczy nie analizują śladów roślinnych, a większość nie ma za sobą odpowiedniego szkolenia botanicznego, aby rozpoznać dowody roślinne, nie mówiąc o ich identyfikacji.

Nie każde użycie roślin musi się wiązać z zabójstwem.

– Niektóre rośliny, zwłaszcza w Ameryce Południowej i Środkowej, są wykorzystywane przez przestępców, którzy wstrzykują je ofiarom lub nakładają chusteczkę na twarz.

Użycie skopolaminy (burundangi lub „oddechu diabła”) powoduje coś, co eksperci nazywają przejściową amnezją globalną. Ofiary na pewien czas tracą pamięć, ale jednocześnie zachowują poczucie tożsamości i zdolność do wykonywania codziennych czynności. Są przy tym posłuszne. W Kolumbii odnotowano wiele tzw. przejażdżek za milion dolarów. Po podaniu burundangi ofiary wypłacały np. pieniądze z bankomatu, a później nie pamiętały kradzieży. Działanie jest podobne do pigulek gwałtu. Niestety nie-

Dowodem przeciwko serbskim żołnierzom skazanym za ludobójstwo były pyłki kwiatowe

które z takich substancji szybko ulegają rozkładowi i trudno jest udowodnić przestępstwo.

A przemysł roślin? To dochodowy biznes?

– Moim zdaniem istnieją dwie główne grupy roślin, które są przemycane – orchidee, ponieważ cenią je kolekcjonerzy, oraz drzewa tropikalne na meble. Przemycanych jest więcej palisandrowców niż kości słoniowej, która plasuje się na drugim miejscu. Jeśli chodzi o drzewa, to na drugim miejscu są drzewa agarowe.

Roślinny przemysł przemysłowy jest bezlitosny. Wiele z gatunków tropikalnego drewna występuje bardzo rzadko w tropikalnych lasach deszczowych, które są wycinane. Istnieją jednak międzynarodowe przepisy dotyczące transportu rzadkich roślin. Muszą one uzyskać specjalną certyfikację, jeśli ktoś chce przewieźć je przez granicę międzynarodową, ale władze bywają przekupywane. W branży meblarskiej określa się przewożone drewno jako inny ga-

tunek, na który nie jest wymagane pozwolenie.

Szacuje pan, że udaje się przechwycić ok. 1 proc. przemycanych roślin. Może nie zdążymy uratować rzadkich gatunków?

– Nie jest jeszcze za późno, by spróbować to powstrzymać. Wciąż istnieje wiele rzadkich gatunków, choć w przypadku niektórych jest już niestety za późno. Na przykład *Grammangis spectabilis* – w jego siedlisku na Madagaskarze pozostało tylko dziewięć dziko rosnących osobników. Jednym z powodów, dla których dość trudno wylapać taki proceder, jest to, że na przykład rzadkie orchidee przemycane nie wraz z pięknymi kwiatami, ale w formie wegetatywnej. To same liście, które wyglądają na coś pospolitego. Rzadkie orchidee często mieszane są z bardzo pospolitymi. Kontrola niewiele zmienia, ponieważ wyglądają tak samo. Trzeba by przeprowadzić testy DNA.

A czy nowoczesna technologia nie ułatwia zadań?

– W dużych roślinach niektórych gatunków, które występują w wolności, umieszczane są chipy. To trochę jak z chipami wszczepianymi zwierzętom domowym, np. psom. Jeśli roślina gdzieś się pojawi, można zidentyfikować, skąd pochodzi.

Do identyfikowania próbek drewna wykorzystywana jest również sztuczna inteligencja. Jednak może ona pomóc w ustaleniu gatunku tylko na podstawie próbek, które znalazły się w bazie danych.

A eksperci w dziedzinie botaniki?

– Brakuje ekspertów i specjalistycznych szkoleń. Po studiach nie ma wielu ofert pracy dla botaników, zwłaszcza w dziedzinie kryminalistyki. Dlatego laboratoria kryminalistyczne zwykle nie mają wyszkolonych botaników i poszukują zewnętrznych ekspertów. Laboratoria mają speców, którzy badają pozostałości po wystrzale, rozpryski krwi, ludzkie DNA i inne dowody chemiczne, ale na ogół nie zatrudniają botaników. Nastąpiło również odejście od tradycyjnego rodzaju wiedzy botanicznej, której uczy się studentów. Na uniwersytecie, z którego właśnie odszedłem na emeryturę, Uniwersytecie Południowego Illinois, Wydział Biologii Roślin został wchłonięty przez Szkołę Nauk Biologicznych. To ogólne zjawisko. Moim zdaniem to wielka strata. Przez lata prowadziłem unikatowy kurs z botaniki sądowej, ale jestem już na emeryturze. Poza książkami specjalistycznymi mam w planach napisanie kryminału, do czego namawiają mnie znajomi. ●

*David Gibson

• Jest profesorem biologii roślin i znakomitym badaczem uniwersyteckim. Pracował na Uniwersytecie Południowego Illinois w Carbondale, jest starszym redaktorem czasopi-sma „Journal of Ecology”

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



Autorką wielu haseł jest **Edyta Cieślak-Budyta**

MISIE TO PODOBA

Najprzeróżniejsze okazje były przyczynkiem do powstania „Weekendówki”, ale takiej chyba jeszcze nie było. Otóż od 2002 roku 25 listopada celebrowany jest jako Światowy Dzień Pluszowego Misia, bo właśnie tego dnia, tylko sto lat wcześniej, miano wyprodukować pierwszy egzemplarz tej najpopularniejszej na świecie zabawki.

Zacznijmy od nazwy – pluszowy miś, z angielska teddy bear, zawdzięcza ją prezydentowi USA Theodore’owi Rooseveltowi, nazywanemu zdrobniale „Teddy”. Podczas polowania na niedźwiedzie w Missisipi w listopadzie 1902 roku Holt Collier, znany myśliwy i towarzysz prezydenta, wraz z obławą osaczyli i przywiązali do drzewa dużego niedźwiedzia, ale kiedy przybył Roosevelt, Collier powiedział mu, by nie strzelał do zwierzęcia, gdy to jest skrupowane. Prezydent zgodził się, prasa podchwyciła historię o miłosiernym polityku, a na słynnym rysunku Clifforda Berrymana niedźwiedź zmienił się w niedźwiadka. I tak w świat poszedł „teddy bear”.

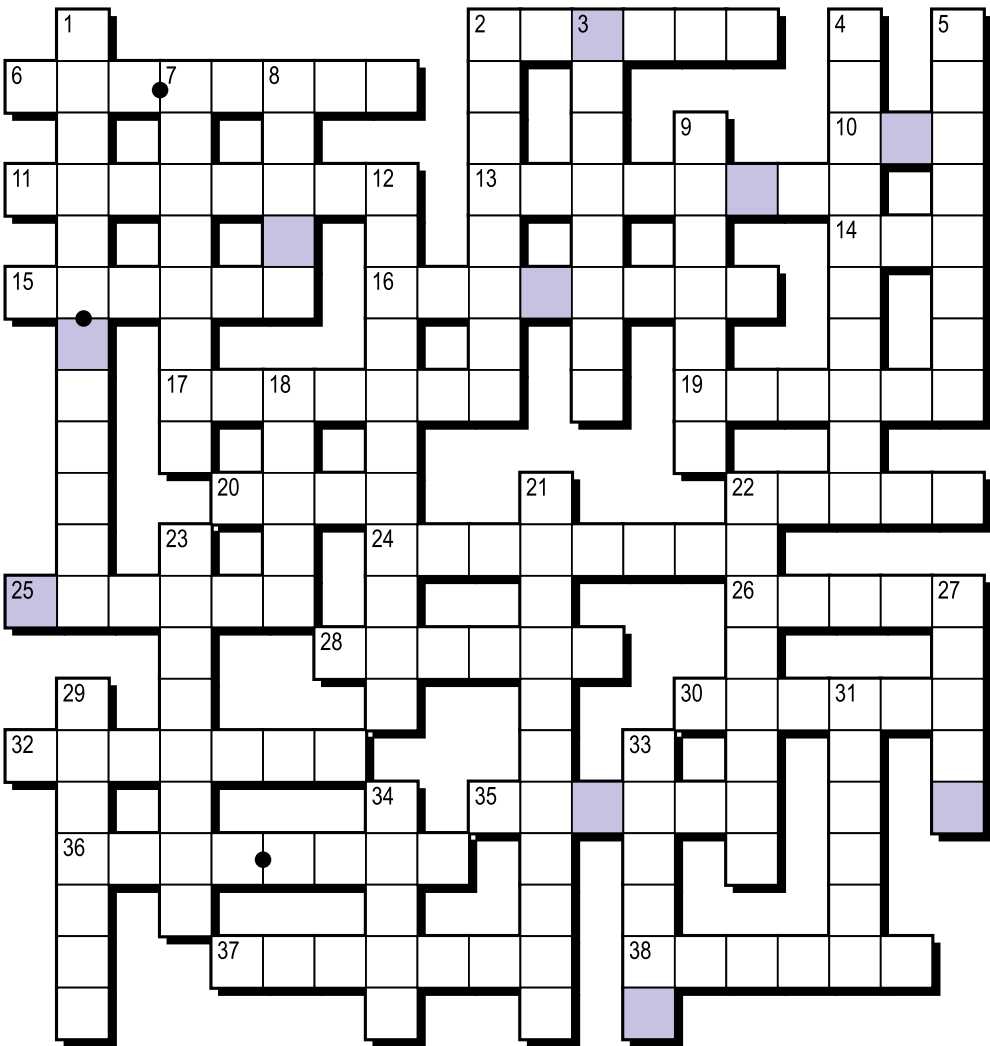
Rycinę na łamach „The Washington Post” zobaczył Morris Michtom, wynalazca i biznesmen, i wpadł na pomysł produkcji pluszowych zabawek, którą rychło rozkręcił.

Jednakże w tym samym mniej więcej czasie, nieco tylko wcześniej, podobny koncept przyszedł do głowy Niemcowi Richardowi Steiffowi. Był on bratankiem Margarete Steiff, która swego czasu uszyła dla niego pluszowego słonia zabawkę. Słonik tak się spodobał dzieciakom z sąsiedztwa, że Margarete rozkręciła produkcję, choć zawodowo zajmowała się szyciem sukien. Richard tymczasem podrośł i już jako student odwiedził zoo w Stuttgarcie. Tam zobaczył krzyżówkę niedźwiedzia brunatnego z polarnym, i tak w jego głowie narodził się pomysł na zabawkowego misia.

Miś ów, nazwany 55 PB (55 od rozmiaru w centymetrach, P jak plusz, B od niemieckiego „beweglich”, czyli „ruchomy” – bo miś miał ruchome kończyny), został zaprezentowany przez Steiffa na targu zabawek w Lipsku w 1903 roku. Ale szał nie zrobił. W ostatniej chwili wypatrzył go Hermann Berg, wysłannik nowojorskiej firmy zabawkarskiej George Borgfeldt & Company. I zamówił zawrotną liczbę 3 tysięcy egzemplarzy. Steiffowie wyrobili się z produkcją, całą partię zapakowano na statek, ale do dziś ślad po owych 3 tysiącach misiów nie pozostał. Legenda głosiła, że pluszowy ładunek zatonął gdzieś na oceanie, ale najprawdopodobniej żadna z zabawek, ze względu na delikatną konstrukcję, po prostu nie przetrwała zbyt długo. Gdyby jednak odnalazł się jakiś oryginalny miś z tamtego ładunku, dziś wart byłby fortunę.

Tamtych 55 PB może nie ma, ale na całym świecie od tamtego czasu pojawiły się miliony pluszowych misiów. A dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy tym najwierniejszym przyjaciółom dzieci oraz generalnie wszelkim zabawkom, które niestrudzenie umilają najmłodszym i tym trochę starszym czas. A o pomoc w ułożeniu dzisiejszej krzyżówki poprosiliśmy najlepszą ekspertkę, czyli Edytę Cieślak-Budytę, przedszkolankę z warszawskiego Kolorowego Przedszkola.

Wszystkiego pluszowego! ●
Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 78 z 4.18:

Poziomo:

- 3) La Strada 6) Spielberg
- 9) The Doors
- 11) Nomadland 12) Laura
- 13) Stone 16) Arizona
- 20) Teksas 21) Kalifornia
- 22) Kansas 26) Monica
- 28) Steven 29) Wyatt
- 31) stan 33) harleye
- 37) Steinbeck 38) auta
- 39) Eddie 40) motele
- 41) Peter Fonda 42) zjazd

Pionowo:

- 1) Newman 2) Hell
- 4) Thelma 5) droga
- 7) punkt 8) gangi
- 10) serial 12) Lee
- 13) sekta 14) Oklahoma
- 15) euforia 17) Reno
- 18) znak 19) neon
- 23) Angeles 24) sława
- 25) Easy Rider 27) Federico
- 30) traktor 32) Troup
- 34) mistrz 35) depesz
- 36) Hauer 40) Max

HASŁO:

BONNIE I CLYDE

ZABAWKI

Hasła Edyty Cieślak-Budyty oznaczono inicjałami (ECB). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) pacynki Jima Hensona
- 6) Chudy z bajki... (ECB)
- 10) przyjaciel każdego dziecka (ECB)
- 11) pistolet zabawka, na kapiszony lub korki
- 13) nie pacynka (ECB)
- 14) może być planszowa lub na boisku (ECB)
- 15) w kotka i myszkę, w ciuciubabkę, w chowanego

- 16) puszczone na wietrze (ECB)
- 17) elektryczna – często większą pasją tatusia niż synusia
- 19) w pudełku każdego budowniczego (ECB)
- 20) czerwony kolega Wielkiego Ptaka i Ciasteczkowego Potwora
- 22) „made in ...”, na etykietach milionów zabawek
- 24) chętnie sklepane przez modelarzy
- 25) nazwisko wykonawcy piosenki „Baw się lalkami”
- 26) włóczki albo wełny, ulubiona zabawka niejednego kotka

- 28) standardowo składa się z 28 kamieni
- 30) trójząb, bosak, wiosło, ostatek i ... (bierki)
- 32) gra polegająca na podrzucaniu i chwytaniu obracającej się szpulki sznurkiem umocowanym na dwóch pateczkach
- 35) zabawka dla psiaka lub ząbkującego malucha
- 36) wirowa obręcz bioderkowa
- 37) autko z amortyzatorami
- 38) Angela, angielska pisarka („Magiczny sklep z zabawkami”)

Pionowo:

- 1) węgierski sześcianik

- 2) taki pluszak, że plus 1 do szczęścia
- 3) zabawka szykowana na lany poniedziałek
- 4) elektroniczne zwierzątko („Jeść, pić, spać – jak ...”)
- 5) obowiązkowe na placu zabaw
- 7) hop-linka Rocky’ego
- 8) pływają na każdym rosale (ECB)
- 9) wyposażenie domku dla lalek
- 12) rurka z barwnymi szkiełkami tworzącymi po potrząśnięciu symetryczne wzory
- 18) szmacianka – przyjaciółka każdej dziewczynki (ECB)

- 21) pułki z pudełka, do ataków dywanowych jak znalazł
- 22) instrument muzyczny w sam raz dla kilkulatka
- 23) gra polegająca na układaniu krzyżówki z losowanych liter
- 27) tytułowy bohater „zabawkowej” piosenki Urszuli
- 29) Pierre, francuski aktor komediowy („Zabawka”)
- 31) obrazek po cięciach
- 33) „... lubią misie, misie lubią ...”
- 34) znajdziesz go u Lema (ECB)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ